



**Bohaterowie
nieromantyczni**

XVla. 4219

BIBLIOTEKA WIEDZY HISTORYCZNEJ



HISTORIA POLSKI

RYSZARD KOŁODZIEJCZYK

XVIa 4219

**BOHATEROWIE
NIEROMANTYCZNI**

*O pionierach kapitalizmu
w Królestwie Polskim*



WARSZAWA
WIEDZA POWSZECHNA

Obwoluta, okładka i karta tytułowa
J. CZ. BIENIEK

BIBLIOTEKA INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
Uniwersytetu Warszawskiego

Wpisano do Dział VIIIa Nr 60154-B
inventarza

Redaktor: Maria Nietyksza
Korektor: Barbara Gers

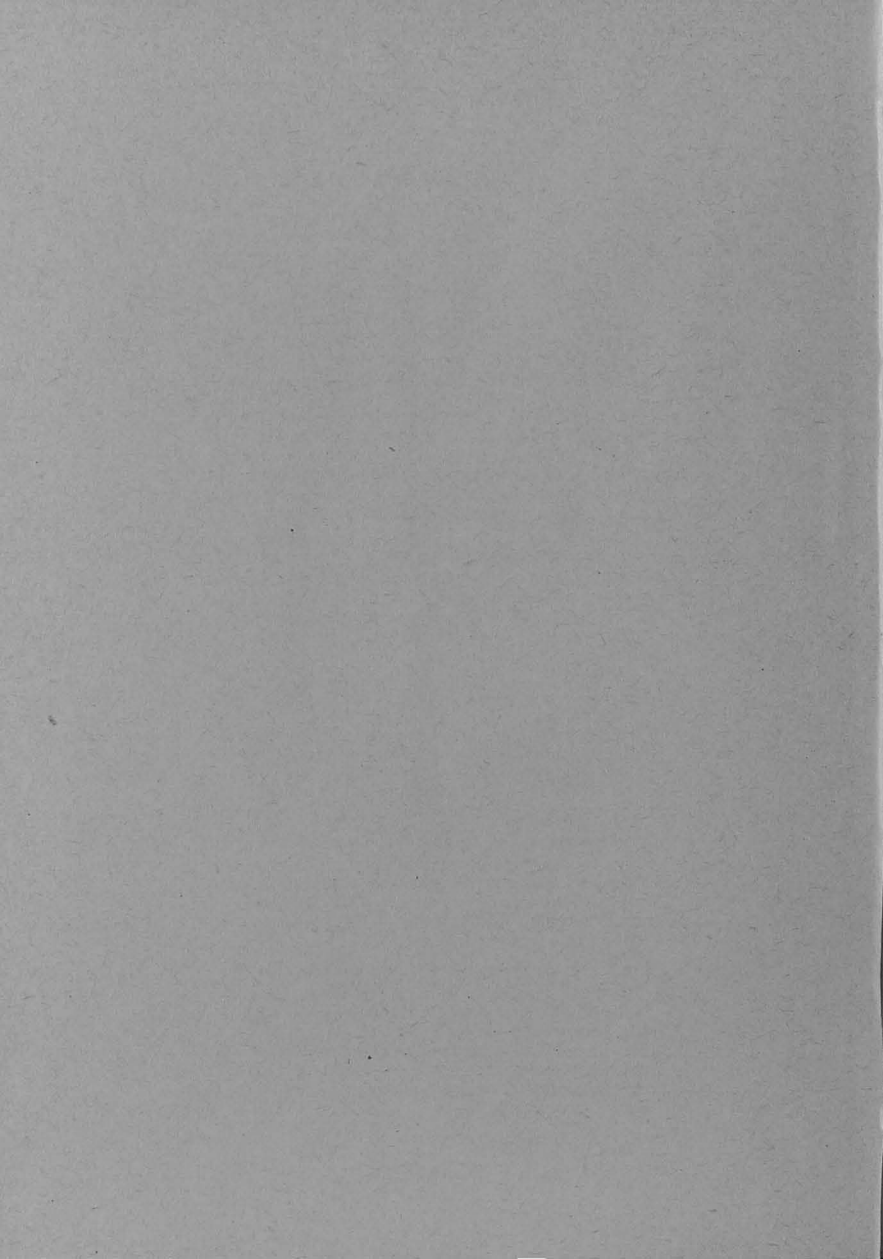
Printed in Poland

PW „Wiedza Powszechna”, Warszawa 1961. Wydanie I
Nakład 4.253 egz. Objętość 12,75. ark. wyd. 11,25. ark.
druk. + 2,25 ark. druk. wkładek. Papier IV kl. 60 g.
(z fabryki w Kluczach) form. 61 × 86. Oddano do składu
15.V.1961. Podpis. do druku 26.X.1961. Druk ukończono
w styczniu 1962 r.
Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie.
Zam. nr. 864 S-79 Cena zł 18.—

1281-K-1981

S P I S T R E Ś C I

OD AUTORA	7
TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE	
Rozwój Warszawy po 1815 r. — Ludność miasta. — Początki Resursy Kupieckiej. — Ucisk polityczny w Królestwie Polskim przed powstaniem listopadowym. — Życie towarzyskie warstw wyższych. — W obliczu powstania listopadowego. — Arystokracja a burżuazja. — Warunki kształtowania się kapitalizmu w Królestwie. — Nowa obyczajowość mieszczańska. — Epoka paskiewiczowska. — Niespokojne lata 1846—1848. — Warszawa-Magdalena narodu . . .	9
PROCES PANA JÓZEFA, CZYLI WYCINEK Z DZIEJÓW BANKU POLSKIEGO	
Skąd pochodziły kapitały na kosztowne inwestycje. — Powstanie Banku Polskiego. — Życie i działalność prezesa Banku Józefa Lubowidzkiego. — Śledztwo i proces. — Ostatnie lata pana Józefa	53
PANI KUPCOWA HRABINA LUBIEŃSKA — PRZYCZYNEK DO HISTORII RODZINY LUBIEŃSKICH	
Małżeństwo pani Konstancji. — Rodzina Lubieńskich. — Dom Handlowy przy ulicy Królewskiej w Warszawie. — Pan Henryk robi fortunę. — Katastrofa. — Polemiki wokół działalności Lubieńskich	81
KARIERA I UPADEK PIOTRA STEINKELLERA	
Dwa jubileusze. — Rodzina Steinkellerów. — Pierwsze kroki w Warszawie. — Złotodajna sól. — Dominium żareckie. — Karety kurierskie pana Steinkellera. — Cynk. — Bankructwo, koniec kariery	105
KOLEJ ŻELAZNA WARSZAWSKO-WIEDEŃSKA	
Pierwsze projekty. — Towarzystwo Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. — Koń czy parowóz? — Prace na linii Warszawa-Niwka. — Rozwiązanie Towarzystwa i przejęcie budowy przez rząd. — Otwarcie Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. — Robotnicy kolejowi	144
PRZYPISY BIBLIOGRAFICZNE	173



OD AUTORA

Na wstępie uprzedzamy: nie szukajcie w tej książce jeszcze jednej karty z bohaterskiej przeszłości naszego narodu. Poświęciliśmy ją bowiem nie tej na ogół znanej historii, mówiącej o tradycjach walk narodowowyzwoleńczych, lecz innej, zbyt mało dotychczas popularyzowanej, którą trudno nazwać bohaterską.

Na treść książki składają się szkice poświęcone losom kilku postaci, bliżej znanych historykowi dziejów gospodarczo-społecznych Polski, których literatura naukowa obdarzyła mianem pionierów współczesnego przemysłu i handlu, techniki i cywilizacji.

Szkice obejmują niewielki stosunkowo wycinek porozbiorowych dziejów społeczeństwa polskiego. Od 1815 r. doprowadzamy je do połowy lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, nie uwzględniając już czasów wielkiego ożywienia politycznego, które poprzedziło wybuch powstania styczniowego. Ujęliśmy w nich dwa okresy dziejów Królestwa Polskiego: jeden, tzw. konstytucyjny, zamykający się w latach 1815—30, drugi — paskiewiczowski, z lat 1832—56, oba przedzielone powstaniem listopadowym.

Są to czasy nie tak odległe od naszych. Sto kilkadziesiąt lat — to przecież życie zaledwie kilku pokoleń. Choć z drugiej strony — olbrzymi postęp techniki i rozwój nauk ścisłych w ogóle, dokonany w ostatnim półwieczu, jak również zmiany ustrojowe, jakie zaszły w naszym kraju, oddaliły nas od tamtej epoki na ogromny dystans, nie dający się wymierzyć zwykłą miarą czasu.

A jednak pierwsze dziesięciolecia XIX w. są nam bliższe, niż mogłoby się to na pozór wydawać. Właśnie wtedy myśl ludzka wpadła na trop wynalazków technicznych, które legły u podstaw wielkiej rewolucji przemysłowej.

Jak już wspominaliśmy, treść książki stanowi opis działalności kilku pionierów gospodarki kapitalistycznej na polu przemysłu, handlu, bankierstwa i rolnictwa. Józef Lubowidzki, Henryk i Tomasz Łubieńscy oraz ich liczni bracia, wreszcie Piotr Stein-

keller — to bohaterowie poszczególnych rozdziałów. Wyeksponowaliśmy te okresy ich życia, które najściślej wiązały się z rozwojem gospodarki Królestwa Polskiego. Wszyscy oni byli w swoim czasie gwiazdami na firmamencie wschodzącego kapitalizmu. Każdego z nich pasowały późniejsze pokolenia burżuazji na rycerza epoki wszechwładnego kapitału. Każdy z nich swą błyskotliwą karierę kończył krachem. To zapewne stanowiło jedną z przyczyn, że potomni wystawiali im pomniki. No, bo łatwiej przecież uznać za altruistę i rycerza bez skazy człowieka, który w ostatecznym rachunku swej działalności nie wyniósł z niej żadnego majątku, nierzadko kończąc więzieniem.

O tym, że wybraliśmy tych właśnie ludzi, nie zadecydował fakt, iż wszyscy skończyli bankructwem. Chodziło głównie o to, że działali wspólnie, nie tylko w tym samym okresie, ale w ścisłym związku z sobą i współzależności podejmowali rozmaite inicjatywy gospodarcze. Różna była ich rola w ówczesnej gospodarce Królestwa Polskiego, czemu staraliśmy się dać wyraz, idąc śladem przekazów źródłowych. Tyle o bohaterach książki.

Rozpoczynamy ją opisem Warszawy w owej epoce, kreśląc obraz ówczesnego życia towarzyskiego warstw arystokratyczno-biurokratycznych i najzamożniejszej burżuazji. Temat to sam w sobie zasługujący na odrębne omówienie, tu potraktowaliśmy go tylko szkicowo jako wprowadzenie Czytelników w atmosferę, w jakiej działali nasi bohaterowie. Spotykamy ich bowiem po raz pierwszy w salonach warszawskiej society.

TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE

Rozwój Warszawy po 1815 r. — Ludność miasta. — Początki Resursy Kupieckiej. — Ucisk polityczny w Królestwie Polskim przed powstaniem listopadowym. — Życie towarzyskie warstw wyższych. — W obliczu powstania listopadowego. — Arystokracja a burżuazja. — Warunki kształtowania się kapitalizmu w Królestwie. — Nowa obyczajowość mieszczańska. — Epoka paskiewiczowska. — Niespokojne lata 1846—1848. — Warszawa-Magdalena narodu.

Warszawa w początkach trzeciego dziesięciolecia ubiegłego wieku, gdy bohaterowie naszej książki rozpoczynali tu swą karierę w przemyśle i handlu, stała u progu poważnych przeobrażeń. Nielatwo zablźniały się rany odniesione przez miasto w burzliwych latach Księstwa Warszawskiego.

Obraz naszej stolicy w tamtym, przejściowym okresie nie mógł wzbudzać nadziei na szybką odmianę. „Większa część pałaców stała pustkami [...] ludność spadła na sześćdziesiąt i kilka tysięcy i cała skupiła się jak krew do serca, do murów Starego i Nowego Miasta [...] Nalewki, Leszno, Nowy Świat pełne były domków drewnianych, na pół w ziemię wrosłych, a przy głównych ulicach było ich niemało [...] W odległych stronach, zaczawszy od Dzieciątka Jezus aż do rogatki Mokotowskiej z jednej, a pod Wolskie z drugiej, stały tu i ówdzie browary, gorzelnie i młyny, a pomiędzy nimi chaty słomą kryte, ogrody i pola zasiane zbożem.”¹ Opis pamiętnikarza można by uzupełnić informacją, że w 1815 r. wysiano na terenie miasta 1300 korcy zboża, liczba zaś krów trzymanyh w Warszawie dochodziła do 1500, a świń do 2600 sztuk.²

Ów stan rzeczy jednak nie był trwały. Ogólny rozwój handlu, przemysłu i rolnictwa w Królestwie Polskim oraz stabilizacja polityczna po 1815 r. wpłynęły na przyspieszenie rozwoju Warszawy. Wymownie ilustruje to zjawisko szybki wzrost liczby mieszkańców miasta. Już w 1818 r. sięgała ona 100 tys. osób.

Historyk i kronikarz dziewiętnastowiecznej Warszawy, Franciszek Maksymilian Sobieszczański, entuzjazmując się bujnym rozkwitem syreniego grodu w tamtych latach, pisał w 1847 r.: „Wzrost Warszawy codzienny, a prawie zadziwiający obraz przedstawiał. Z wszech stron miasta przybywały i całe ulice zabudowywały się murowanymi domami. W miejsce kilku niepoczesnych dworców i lepianek stawały ozdobne i wyniosłe kamienice. Nowy Świat jeszcze przed czterdziestu laty zaledwie trzydzieści murowanych, a i to w części jednopiętrowych domów mający (reszta bowiem składała się z drobnych dworców przez niezamożnych obywateli zamieszkałych), od 1815 r. szybko, jak żadna z ulic Warszawy, powstał i nowymi w kształcie pałaców kamienicami zapełnił się [...] Przyozdobiła go niemało w 1823 r. przy zakończeniu wytknięta prześliczna aleja Nową Drogą Jerozolimską zwana [...] Na miejscu spalonych w 1814 r. pawilonów pałacu Kazimierzowskiego powstały obszerne gmachy szkolne z dziedzińcem drzewami otoczonym i kwiatami upiękaszonym we środku, w których to gmachach w 1818 r. w dniu 14 maja otworzony Uniwersytet młodzież w wyższych umiejętnościach doskonalił [...] Na starożytnej Miodowej ulicy stanął szereg sklepów pod kolumnami licznie uczęszczanych, a dla wielkiego świata wówczas modnych”³.

Nowoczesne budownictwo prywatne, jak również szczególnie intensywne w dwudziestych latach XIX w. budownictwo instytucjonalne oraz wznoszone zakłady przemysłowe kształtowały nowy obraz miasta, przeobrażającego się stopniowo w centrum administracji, handlu i przemysłu kapitalistycznego w Królestwie Polskim. Burzono stare, niejednokrotnie zabytkowe obiekty, jak bramy Krakowską i Nowomiejską w 1817 r., ratusz Starego Miasta i budynki Pociejowa w 1818 r. Ten sam los podzieliły niektóre z licznych kościołów i klasztorów, w innych ulokowano zakłady przemysłowe i szkoły. Sobieszczański stwierdzał w związku z tym: „Ciche tedy i spokojne mury, odwieczne mieszkanie dzievic Bogu poświęcających się lub surowych zakonników, wesola młodzież, opuszczona starość i kalectwo lub szereg młotów i kowadeł użytecznej fabryki zajęły”⁴.

Zmieniał się wygląd miasta. Rosły murowane, kilkupiętrowe budynki, przeznaczone na czynszowe kamienice dla wciąż zwiększ-

szającej się liczby mieszkańców. Regulowano i brukowano ulice i place miejskie, powstawało wiele okazałych gmachów rządowych.

„[...] Przypatrując się postępowi wzrostu Warszawy, widzimy w 1825 r. w cyrkulach 4. i 6. szybką nadzwyczaj zmianę. Tam bowiem gdy starozakonnych przeprowadzono, we dwa lata część ta miasta zabudowała się i zaludniła. Ulica Wałowa na przykład przedtem za ledwie mizernym przesmykiem będąca, pięknymi domami zapełniła się. Podobnie ulica Nowiniarska, niegdyś wąski tylko pomiędzy ogrodami dla pieszych przechód stanowiąca, od-tąd okazałymi kamienicami zabudowała się. Ulica Świętojerska, przed kilku laty lichymi dworczynami zapełniona, same okazałe ma domy. Na miejscu drewnianych klitek na Franciszkańskiej ulicy znajdujących się powstały o dwóch piętrach i kilkunastu, niektóre o kilkudziesięciu oknach domy murowane. W 1826 r. z miejsca będącego między zejściem się ulic Senatorskiej, Żabiej i Rymarskiej utworzył się plac, jeden z najokazałszych w Warszawie, przy którym powstała budowla Banku Polskiego i Giełdy. Stare i zniszczone zabudowania na rogu ulic Senatorskiej i Bielańskiej, Gołubskiem zwane, pięknymi i ogromnymi kamienicami zastąpione zostały. Ulica Bielańska, przedtem prawie przez połowę drewnianymi dworakami i parkanem zabudowana, w 1828 r. miała już tylko jeden domek drewniany, reszta wszystko ozdobne gmachy murowane. Dawny pałac Mniszchowski przy ul. Senatorskiej, w 1829 r. przez Towarzystwo Resursy nabyty i prze-robiony, ubarwił okazały plac, zewsząd okazałymi pałacami rządowymi i prywatnymi otoczony. Zrzucone zostały liche domki drewniane na rogu ulic Mazowieckiej i Królewskiej, widok pięknej budowli kościoła ewangelickiego zasłaniające, a na ich miejscu wolny plac murawą zasiany, wdzięcznie całą świątynię okrążył. Przybył w 1830 r. mowy pomnik brązowy pamiętce Mikołaja Kopernika poświęcony, przez sławnego Thorwaldsena ukształcony i w Warszawie przez Jana Gregoire ulany, a na placu przed domem b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk wznoszący się. Troskliwością rządu rozszerzono lub w dogodniejsze miejsca przeniesiono szpitale: Dzieciątka Jezus, Świętego Ducha i Starozakonnych. Powstał i fabrycznymi wyłącznie prawie gmachami pokrył się Solec, na wstępie którego ogromna budowla młyna parowego

o pięciu piętrach przez akcjonariuszów pod nazwiskiem Towarzystwa Wyrobów Zbożowych wystawiona. Dalej wielka fabryka machin i odlewów żelaznych Banku Polskiego, słynna swymi kościami i dywanami fabryka Jana Geismar, produktów chemicznych Kijewskiego i wiele innych. A w ślad za tym wszystkim jutrzienka oświaty i przemysłu, handlu i rękodzieł świetnie wschodziła i szczęśliwą rokowała przyszłość. Nigdy Warszawa nie była tak jak wtenczas ludną i okazałą, nigdy handel w tak kwitnącym nie był stanie.”⁵

Pełne zachwyty wypowiedzi o zabudowie Warszawy przynosiła ówczesna prasa i kalendarze. „Corocznie kilkadziesiąt stawa domów — pisał nieznany bliżej autor — w ciągu lat 7 nowych wzniesiono 200, a odnowiono 769 [...] kto kilka lat nie był w Warszawie, dziwi się tak nagle wzrosłej piękności tej stolicy.”⁶

Stara, przeważnie drewniana, ciasno zabudowana i otoczona średniowiecznym murem Warszawa ustępowała przed wysuwającym się na pierwszy plan murowanym budownictwem prywatnym i publicznym. W 1816 r. było tu 1229 domów murowanych i 2073 drewnianych. W 1827 r. liczba domów murowanych powiększyła się do 1345, podczas gdy liczba domów drewnianych zmniejszyła się do 1816. Miasto, podzielone na 8 cyrkulów, w 1824 r. miało 197 ulic, nie wliczając Pragi z jej 17 ulicami.

Do pryncypalnych ulic i placów władze miejskie zaliczały w 1828 r.: Nowy Świat, Świętokrzyską, Krakowskie Przedmieście, Bednarską, Królewską, Trębacką, Senatorską, Nowosena-torską, Elektoralną na odcinku do Chłodnej, Podwale i plac przed Zamkiem, Św. Jana, Rynek Starego Miasta, Gołębią, Freta, Franciszkańską, Świętojerską, Rynek Nowego Miasta, Zakroczymską, Nowiniarską, Nalewki, Długą, Miodową, Przejazd, Żabią, Rymarską, Plac Targowy za Żelazną Bramą, Graniczną, Grzybowską, Bagno, Bielańską, Grzybową i Ordynacką.⁷ Nie wszystkie wymienione ulice miały bruki, choć i w tym zakresie zrobiono wówczas sporo. W 1848 r. było w Warszawie 141 ulic brukowanych na ogólną liczbę 220. Miasto posiadało już wtedy 1883 prywatne budynki murowane, drewnianych zaś tylko 1165.⁸

Poważny udział mieszczaństwa we wznoszeniu domów mieszkalnych wskazywał na wzrost zamożności sfer kupieckich i rzemieślniczych oraz niektórych grup kształtującej się inteligencji.

Żywo rozwijał się handel zarówno drobny, jak i wielki, zwłaszcza skoncentrowany w kilku prywatnych firmach, zwanych Domami Handlowymi. Sytuacja gospodarcza Królestwa Polskiego w czasie gdy ministrem skarbu był książę Ksawery Drucki-Lubecki oraz pomyślna koniunktura na rynkach zagranicznych sprzyjały rozwojowi miejscowej produkcji rolniczej i przemysłowej.

Warszawa, centrum gospodarcze, polityczne i kulturalne Królestwa, była siedzibą wielu instytucji administracji państwowej, biur i urzędów, jak również miejscem zakwaterowania znacznej części armii polskiej. Skupiał się tu personel urzędniczy, inteligencja — tzw. wolne zawody, młodzież wojskowa, pracownicy prasy, teatru, szkolnictwa itp. Stolica przyciągała też ludność ze wsi i prowincjonalnych miast Królestwa, a także z pozostałych zaborów. Osiedlało się również sporo cudzoziemców. W dużym ośrodku przemysłowo-handlowo-administracyjnym, wobec taniości artykułów rolniczych, stosunkowo łatwiej było się utrzymać, ponieważ istniały tu większe możliwości zarobku. Mimo to znaczna część ludności stolicy wegetowała, żyjąc z pracy w rzemiośle, drobnym handlu, przemyśle bądź ze służby. Dobrze powodziło się kupcom, bankierom, fabrykantom, wyższym urzędnikom.

W Warszawie w 1825 r. znajdowało się 5808 fabryk i wraştatów rękodzielniczych.⁹ W 1824 r. stolica miała 123 867 mieszkańców. Handlem zajmowały się wówczas 6133 osoby. W tej liczbie znalazło się 53 bankierów, wekslarzy i właścicieli kantorów loteryjnych, zaliczanych do najzamożniejszego mieszczaństwa. Kapitaistów żyjących z procentów, czyli lichwiarzy, było 337, kupców i kramarzy 541, handlarzy bydła, koni i zboża 178 i wreszcie 5024 mniej zamożnych oraz zupełnie drobnych handlarzy tabaki, pachoiarzy krów, szynkarzy, przekupniów, faktorów, tandeciarzy, traktierników, cukierników, właścicieli kawiarń, winiarzy, oberżystów, markietanów i bilarzystów*. Widać stąd, że handel, wykazujący w omawianym okresie żywe tendencje rozwojowe, zatrudniał wielu mieszkańców miasta.

Rzemiosło warszawskie dawało pracę około 11 tys. osób. Służbą domową zajmowało się 16 466 osób, nie licząc rozmaitych po-

* Bilarzyści — właściciele lokali, w których grywano w bilard, licznych wówczas w Warszawie.

krewnych zawodów, jak stróże domowi (1160), słudzy browarni* (690) i kościelni (82). Wyrobników miała wówczas Warszawa 9069. W sumie więc wymienione grupy zawodów obejmowały najliczniejsze rzesze mieszkańców miasta, w przytłaczającej większości żyjących z własnej pracy. Znaczną część służby domowej, najuboższych rzemieślników, czeladników i terminatorów oraz wszystkich wyrobników można uważać za ówczesny proletariats warszawski.

Urzędników publicznych znajdowało się w Warszawie 1620; wielu z nich wegetowało zapewne na głodowych pensjach. W tym czasie mieszkało w stolicy 10 księgarzy, 91 aptekarzy, 34 lekarzy, 109 akuszerok, 44 chirurgów, 3 dentystów, 32 felczerów i cyrulików, 22 geometrów, 10 architektów, 51 aktorów i 323 nauczycieli, którzy w większości reprezentowali tzw. wolne zawody. Na najniższym szczeblu drabiny społecznej trzeba by umieścić 2486 osób „z jałmużny oraz w szpitalach żyjących”.¹⁰

W obrębie poszczególnych grup społecznych i zawodowych występowały poważne różnice w wysokości zarobków, a tym samym i w poziomie życia. Inaczej powodziło się jubilerowi czy majstrowi białoskórnikowi, a inaczej najliczniejszym wśród rzemieślników warszawskich krawcom lub szewcom. We wspomnieniach szewca warszawskiego, którym jak się zdaje był sam Stanisław Hiszpański, zamożny obywatel i członek Delegacji Miejskiej w 1861 r., znajdujemy następujący fragment: „Dawniej występok lub ostatnia nędza oddawały dziecko miasta na naukę do szewca, trwającą 6—10 lat [...] Straszne było dla mnie wyzwalenie się na czeladnika; chciałem porzucić rzemiosło i dostać się do fabryki Evansa, lecz gdy mi się to nie udało, musiałem zostać przy kopycie”¹¹. Lokaj czy kamerdyner był arystokratą w prównaniu z ogółem służących, zarówno kobiet, jak i mężczyzn. W najtrudniejszym położeniu znajdowała się liczna rzesza wyrobników oraz czeladzi rzemieślniczej.

Znaczne różnice dawały się zauważyć wśród urzędników, których również można by podzielić na „arystokrację” i „proletariat”, rekrutujący się z pisarczyków, praktykantów biurowych itp. W grupie wolnych zawodów do najbardziej uprzywilejowa-

* Słudzy browarni — robotnicy zatrudnieni w browarach, licznych wtedy w stolicy, nie w produkcji.

nych należeli architekci, wybitniejsi adwokaci i notariusze oraz lekarze. Był pracowników pióra: dziennikarzy i nielicznych pisarzy, nie był godny zazdrości. Pisarstwo nie zapewniało wówczas utrzymania, stąd wielu pisarzy żyło raczej z własnego majątku lub z pensji urzędniczej.

Oto wybrane dla przykładu zarobki przedstawicieli niektórych zawodów. W 1825 r. murarz warszawski otrzymywał dziennie 85—100 groszy*, cieśla 103—119 groszy, stolarz 135—175 groszy, malarz 135 groszy, robotnik niewykwalifikowany 45—58 groszy, kancelista około 112 groszy. W tym samym czasie referendarz nadzwyczajny w Radzie Stanu zarabiał prawie 8 tys. złotych polskich rocznie, to jest około 666 groszy dziennie, a prezydent miasta 1 tys. groszy dziennie.¹² Trudno ustalić dochody ówczesnego kupca, samodzielnego majstra czy lekarza. Kształtowały się one różnie, w zależności od obrotów handlowych, wielkości zakładu rzemieślniczego bądź wziętości u pacjentów, zapewne jednak utrzymywały się na poziomie znacznie wyższym niż zarobki każdego z wyliczonych tu rzemieślników. W pojedynczych przypadkach mogły nawet przewyższać pensje wspomnianych przedstawicieli wysokiej hierarchii urzędniczej.

Ceny podstawowych artykułów żywnościowych w 1828 r., a więc w tym samym mniej więcej okresie, kształtowały się w sposób następujący: funt** mięsa wołowego 8 groszy, wieprzowego 7 groszy, słoniny 15 groszy, funt chleba pytlowego 3 grosze, razowego 2 grosze, funt soli 6 groszy, masła 23,5 grosza, 1 jajko 2 grosze, 1 litr mleka około 4,5 grosza, kilogram kaszy gryczanej około 8 groszy, ćwierć litra najtańszej wódki, tzw. szumówki, około 7 groszy, butelka najtańszego (marcowego) piwa 7 groszy.¹³ Uwzględniając wydatki na mieszkanie, opał i ubranie obliczono, że łączne koszty skromnego utrzymania 4—5 osobowej rodziny ówczesnego plebejusza wynosiły około 3 złotych dziennie.¹⁴

W opisywanym okresie najgorzej wiodło się warszawskim wyrobnikom, pracującym dorywczo i najniżej wynagradzanym. Na

* 1 ówczesny grosz stanowił 1/30 złotego polskiego.

** 1 funt = 405,5 g. Był to tzw. funt nowopolski. Miary nowopolskie obowiązywały w Królestwie Polskim w latach 1819—1848.

łamach ówczesnej prasy nierzadko pojawiały się krótkie wzmianki o śmierci z nędzy. Bezdomni zamarzali w zimie. W numerze 25 „Kuriera Polskiego” z 1829 r. czytamy: „Walenty Podgórski, wyrobnik lat 44 mający, oraz nieznamy z imienia i nazwiska mężczyzna lat około 40 mieć mogący, zakończyli życie z powodu przeziębienia, pierwszy w rowie przy drodze Jerozolimskiej, a drugi na placu rządowym drzewa.”

Po powstaniu listopadowym koszty utrzymania wzrastały szybciej niż średnia zarobków przeciętnego rzemieślnika czy wyrobnika.¹⁵ Nic więc dziwnego, że nędza, a w ślad za nią choroba, gościły stale w progach domostw tej najliczniejszej rzeszy mieszkańców Warszawy.

Wstrząsające opisy, dotyczące stanu zdrowotnego warszawskiego plebsu, zamieszczały fachowe periodyki lekarskie. W sprawozdaniu szpitalnym za rok 1845 drukawanym w tomie XVI „Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego” z 1846 r. stwierdzono, że wśród pacjentów ze środowiska „biednej klasy” było „[...] niemało włóczęgów i próżniaków, których dostawiało do szpitala biuro policji lub dom przytułku i pracy; było też wiele biedaków z ulic nadwiślańskich, zamieszkujących mokre i ciasne komórki. Otóż chorzy tacy przybywali do nas prawie wszyscy z jedną chorobą, której głównymi cechami były: ogólny nadzwyczajny sił upadek, ból głowy, ból wszystkich członków, a nade wszystko [...] ból w nogach, gorączka i mniej więcej silne rozpalenie skóry, a najczęściej cały poczet zjawisk gastrycznych [...] Prawie wszyscy byli młodzi, lecz mieli wejrzenie mizerne, byli nędzni, wychudli i, rzecz dziwna, częstokroć obok tych zjawisk, ciężką chorobą odznaczających, narzekali na głód i pragnienie.”

Do pełniejszego obrazu warunków bytu mieszkańców miasta brak nam danych dotyczących licznej grupy arystokracji ziemskiej oraz majątnej szlachty zasiedziałej w stolicy. Ona to wraz z najzamożniejszym mieszczaństwem stanowiła elitę społeczną Warszawy.

Ożywienie gospodarcze w Królestwie Polskim w okresie poprzedzającym powstanie listopadowe stwarzało pomyślne warunki dla wzrostu zamożności miejscowej burżuazji. Szczególnie handel i banki przynosiły jej wysokie zyski. Dorabiali się majątków właściciele większych zakładów przemysłowych i kupy. Świado-



Zamek w Warszawie
Litografia M. Scholza z 1853 r., Muzeum Narodowe w Warszawie,
fot. H. Romanowski

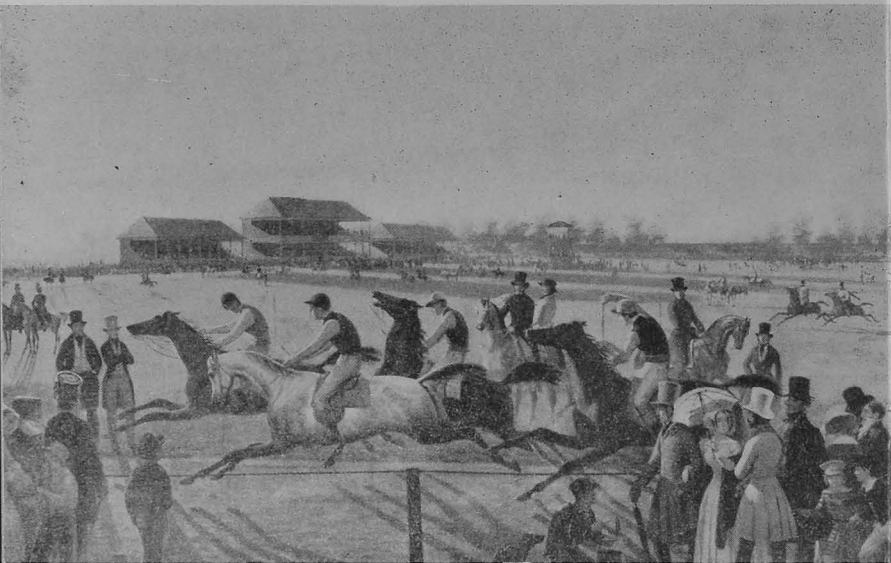


W Dolinie Szwajcarskiej
Drzeworyt H. Pillatiego, „Tygodnik Ilustrowany”, 1860



Loteria fantowa w Ogrodzie Saskim
Rysunek H. Pillatiego, „Kłosy”, 1865

Wyścigi na Polu Mokotowskim
Obraz olejny J. Suchodolskiego, Muzeum Historyczne m. st. Warszawy



mość wzrostu znaczenia ekonomicznego czyniła z mieszczaństwa element dojrzały, niż w okresie Sejmu Czteroletniego. Trzeba jednak pamiętać, że droga, którą mieszczaństwo polskie miało dojść do całkowitej emancypacji społecznej i politycznej, była stosunkowo długa i trudna. Wiekowe uprzedzenia stanowe stopniowo tylko, nie bez wpływu władzy zaborczej, ulegały pewnemu złagodzeniu. Najczęściej zbliżenie dwóch — jakże różnych grup społecznych: burżuazji i ziemiaństwa — brało początek od prowadzonych wspólnie interesów w najrozmaitszych dziedzinach życia gospodarczego.

W latach dwudziestych XIX stulecia, stanowiących punkt wyjścia książki, można mówić jedynie o pierwszych krokach w kierunku przyszłego sojuszu burżuazji i obszarnictwa. Początki tego przymierza były bardzo skromne i ograniczały się do sporadycznie występujących wzajemnych związków. Zbliżeniu sprzyjał zarówno wzrost zamożności górnych warstw mieszczaństwa, jego stopniowa emancypacja społeczna i polityczna, jak i zmniejszenie się znaczenia gospodarczego i politycznego arystokracji rodowej i szlachty w porównaniu z rolą jaką odgrywały one w wieku XVIII. Działo się to na tle wzrostu znaczenia pieniądza — jednej z najbardziej rzucających się w oczy konsekwencji kształtującego się kapitalizmu. Na platformie interesów łatwiej było znaleźć wspólny język przedsiębiorczym przedstawicielom szlachty i bogatym mieszczanom.

Szczególnie istotną rolę w tym zbliżeniu odegrała w Warszawie instytucja Resursy Kupieckiej. Powstała ona w 1820 r. Pierwszą swą siedzibę miała w dawnym pałacu Młodziejowskiego przy ulicy Miodowej, naprzeciwko kościoła Kapucynów. Dopiero w 1829 r. przeniosła się do pałacu Mniszchów przy ulicy Senatorskiej, zakupionego dla niej przez kupca i przemysłowca Piotra Steinkellera, jednego z bohaterów naszej książki. Nawiasem mówiąc, transakcja kupna i sprzedaży pałacu dla Resursy przynosiła Steinklerowi 200 tys. złotych polskich zysku. Warunki tego niecodziennego kontraktu nie przewidywały oczywiście, że Steinkler zyska przydomek ojca Resursy Kupieckiej, w której po śmierci „fundatora” wystawiono jego popiersie.¹⁶ W tym samym czasie istniała w Warszawie tzw. mała Resursa, zwana również nową, mająca swą

siedzibę w pałacyku Dekerta. Nie odegrała ona jednak większej roli.

Otwarcie Resursy Kupieckiej w Warszawie odpowiadało zapotrzebowaniu społecznemu ówczesnego zamożnego mieszczaństwa. Inicjatywę jej założenia podjął starszy Zgromadzenia Kupców, Wojciech Sommer, oraz kupcy: August Doepler, Franciszek Koebler, Henryk Velthusen, Jerzy Kurtz, Józef Gotti, Mikołaj Blohm i Jakub Liedtke. Wszystkich tych ludzi późniejszy historyk, Aleksander Kraushar, nazwie dobrymi Polakami, ofiarnymi obywatelami, zasłużonymi w dziejach miasta na polu handlu i przemysłu.¹⁷ Współczesny pamiętnikarz, Tymoteusz Lipiński, przekazał w zapisku z grudnia 1826 r. interesującą wzmiankę o jednym z nich: „Zmarły w br. Wiesiołowski zostawił w posagu córce swej będącej za kasztelanem Oebchelwitzem [kuratorem generalnym w Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego], szacowny zbiór numizmatyczny grecki i rzymski, oraz etruski itd. Ogłoszono zbycie onego za 24 000 dukatów. Wszyscy powątpiewali, aby się znalazł w kraju amator, będący w stanie wyłożyć podobną sumę. Aliści wnet nadspodziewanie nabył go August Doepler, za 200 tysięcy zp. [złoty polski] gotówki, dodając do tego wieś z porządnym mieszkaniem pod Krakowem. Ten Doepler, przeszło lat 50 mający, jest dzierżawcą obu loterii, pamiętają go wszyscy kupczykiem w sklepie korzennym. Oprócz nowo nabytego skarbu posiada gabinet talarów ze wszystkich krajów świata, zbiór monet polskich ma nader rzadki i liczny. Będąc bezdzietny i nie mając bliskich krewnych, łoży cały swój majątek na numizmata, jeździ za granicę, skupuje, koresponduje z uczonymi; ma swoich za granicą agentów, którzy mu dostarczają do jego zbioru i donoszą, gdzie co jest do nabycia. W tych dniach jeździł do Brześcia Litewskiego i nabył za 40 000 zp. numizmatów, a jak sam mi mówił, że za bezcen z powodu rzadkości wielu sztuk, a mianowicie talar Zygmunta I autentyczny; jest on pozłacany, widać, że był w kubek wprawiony. W tymże czasie nadesłano mu ogromny medal srebrny z Niemiec, wybitý z polecenia Bony dla Zygmunta Starego w 1527 r., za który dał 950 zp. Taki medal posiada w zbiorze swoim i nasz Niemcewicz”¹⁸. Drobnny kupczyk, potem zamożny przedsiębiorca, współzałożyciel Resursy Kupieckiej i zbieracz „numizmatów” oraz pamiątek narodowych — oto

ciekawym przykładem drogi rozwojowej jednego z przedstawicieli burżuazji warszawskiej.

Statut Resursy Kupieckiej z 1820 r. określał tę instytucję jako „Stowarzyszenie kupców i obywateli warszawskich w celach wspólnej, godziwej rozrywki i towarzyskich zebrań na tle muzycznych produkcji oraz rozmów w sprawach zawodowych i potocznych”. Na członków przyjmowano tylko kandydatów „[...] mających niepodległą egzystencję [...] światłych [...] obyczajnych [...] majątkowo pod względem wnoszenia składek odpowiedzialnych”. Opłata wstępna wynosiła 72 złote polskie, a roczna składka 90 złotych polskich, co w owym czasie stanowiło niemałą kwotę. Jeden z punktów statutu głosił, że upadłość majątkowa członka pociąga za sobą wykreślenie go z Resursy.¹⁹ Była to instytucja o charakterze ekskluzywnym, reprezentująca zamożne sfery kupieckie, rzemieślniczo-przemysłowe, właściciele ziemskich, wyższą biurokrację oraz niektóre dobrze sytuowane grupy inteligencji.

Ten elitaryzm oburzał Henryka Mackrotta (syna fryzjera), znanego w Warszawie przed powstaniem listopadowym szpiega, „najwierutniejszego łotra”, który od 1817 r. pozostawał na usługach wielkiego księcia Konstantego. W czasie swej szpiegowskiej działalności złożył około 15 tys. raportów pisanych po francusku. Wiele z nich przyjmował osobiście wielki książę Konstanty.* Pod datą 2 lutego 1821 r. Mackrott zanotował: „Ogólne zdumienie budzi fakt, że Resursa Kupiecka robi takie trudności osobom chcącym odwiedzać jej zebrania i zabawy. Na jutrzejszy bal może otrzymać bilet wstępu tylko osoba dopuszczona przez całe zgromadzenie albo przynajmniej przez komitet balowy”. Węsząc wszędzie spiski polityczne, szpieg dopisał na końcu notatki: „Niektórzy twierdzą, że Resursa jest nową lożą masońską”.²⁰ 7 lutego 1821 r. szpieg donosił: „»Kurier Warszawski« podaje, że na pierwszym bankiecie Resursy Kupieckiej wzniesiono toast »Kochajmy się«. Resursa przyjęła te dwa słowa za swoje hasło”²¹. To nawiązanie do znanego sarmackiego zawołania rzuca pewne światło na charakter instytucji. Dwa dni wcześniej Mackrott pisał: „Wśród gości balu w Resursie Kupieckiej [były] dwie księżne, tj. ks. Mokra-

* Mackrott zginął z rąk ludu warszawskiego podczas powstania listopadowego, 15 sierpnia 1831 r.

nowska i ks. Jabłonowska, większa ilość wojskowych, m. in. generałowie Knorring i Kurnatowski²². Wynika z tego, że Resursa była od początku miejscem spotkań towarzyskich również arystokracji i generalicji.

*

Wzmagający się ucisk policyjny wywoływał wzrost nastrojów antycarskich w Królestwie Polskim, do czego w niemałym stopniu przyczyniła się także osoba wielkiego księcia Konstantego. Powstawały organizacje spiskowe, obejmujące swą działalnością głównie młodzież wojskową i inteligencją.

Nastroje warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej, gorliwie śledzonej przez licznych szpiegów i donosicieli, charakteryzuje raport Mackrotta z 18 czerwca 1821 r.: „Rzęsiste brawa studentów w teatrze, gdy aktor Żółkowski pyta Demona Asmodeusza: »Czy w piekle są również szpiedzy?« Odpowiedź Asmodeusza: »Tak, i tam są« — wywołała huczne oklaski studentów. Ich radość była bezgraniczna, gdy Żółkowski dodał: »To tak jak u nas«²³.

Aresztowanie Waleriana Łukasińskiego w 1822 r. i rozbicie Towarzystwa Patriotycznego po upadku w 1825 r. powstania dekabrystów zaostriły jeszcze bardziej sytuację polityczną w Królestwie Polskim. Nowy car Mikołaj I, następca Aleksandra I, od razu przystąpił do bezwzględnego zaprowadzania „porządku”. W relacji Waleriana Łukasińskiego, tragicznego bohatera ruchu patriotycznego, który spędził w więzieniach carskich 46 lat, w tym 37 w kazamatach Szlisselburga, Mikołaj I „[...]Oznajmiwszy swoje panowanie groźnym manifestem, zaczął początek swego panowania wieszaniem, wygnaniem, zsyłką, więzieniem i tym podobnymi [...]”²⁴ O pierwszych krokach nowego cara w podobny sposób pisał pamiętnikarz-arystokrata, hrabia Józef Krasieński: „W. Ks. Mikołaj na tron rosyjski wstąpił [...] szpiegostwo szerzy się bez końca [...] sądy, więzienia i mordy tajemne przejmują zgrozą wszystkich”²⁵. Sąd Sejmowy nad członkami Towarzystwa Patriotycznego, odbyty w Warszawie w 1828 r., podsycił nastroje niepokoju i wzburzenia. Potęgowała je działalność silnie rozwiniętego aparatu policyjnego oraz gorliwej cenzury.

„Wielebna cenzura — cytujemy za pamiętnikiem Lipińskiego — coraz więcej żelazną swą dłonią gnębi redaktorów naszych i publiczności nieznośniejszą się staje. Zgroza bierze czytać przekre-

ślone przez nią miejsca. Warto troskliwie zbierać podobne numera i zachować do odczytywania w następnych, może łaskawszych czasach — w istocie są takie miejsca przez nią wzbronione, nad którymi zastanawiając się rozważnie, nie sposób dociec dlaczego i jaki miała w tym powód nie przepuścić! Co więcej, widziałem egzemplarz »Gazety Polskiej«, gdzie donosząc o zgonie czeigodnego Surowieckiego, radcy Komisji Oświecenia, wyrażono: cnotliwy obywatel — nie podobało się P. Łubkowskiemu [Romanowi] cenzorowi i przemazał cnotliwy, a napisał natomiast: dobry. To już wyraźne nadużycie!! W tych dniach zatrzymano na poczcie i nie wydano żadnych gazet zagranicznych. Nie wolno jest brać z poczty nawet gazety niemieckiej handlowej, póki przez ręce cenzury nie przejdzie, chociaż pismo to jedynie donosi o targach zbożowych i innych produktach. O tempora!!”²⁶

Charakterystyczne było stanowisko cenzury wobec braci Wincentego i Bonawentury Niemojowskich, słynnych przywódców „kaliszan”*. Nie przepuszczano w prasie najmniejszej wzmianki, w której figurowało nazwisko któregoś z Niemojowskich. „Razu pewnego — relacjonował pamiętnikarz — Niemojowski [Wicenty] podpisał się w ogłoszeniu, że sprzedaje owce merynosy. Kto by pomyślał, że i to nie przejdzie przez szpary cenzury? Dopiero za poświadczeniem Komisji Spraw Wewnętrznych przeszedł ten liberalny artykuł.”²⁷

Ani represje władz zaborczych wobec polskich patriotów, ani antycarskie nastroje w społeczeństwie nie przeszkadzały sferom wyższym urządzać przyjęć i zabaw, w których uczestniczyli wysocy dostojnicy carscy. Na przykład 21 października 1827 r. „Członkowie Towarzystwa Resursy Kupieckiej dawali wielki obiad, na który zaprosili Nowosilcowa, konsulów i senatorów z Petersburga przybyłych.”²⁸

Ówczesną Warszawę odwiedzali słynni artyści, przyjmowani entuzjastycznie przez publiczność stolicy. „Dnia 21 [października 1827 r.] pierwszy był koncert Lipińskiego [Karola — wybitnego skrzypka]. Przed godz. 5-tą teatr był w oblężeniu od publiczności

* „Kaliszanie” — liberalni politycy szlacheccy pochodzący przeważnie z Kaliskiego. Reprezentowali zamożne ziemiaństwo Królestwa, wprowadzające kapitalistyczne formy gospodarowania. Obrońcy konstytucji 1815 r., główni przedstawiciele opozycji sejmowej w Królestwie Polskim przed powstaniem listopadowym. Nie dopuszczeni na Sejm w 1825 r.

ści; potrzeba by było trzykroć obszerniejszego miejsca, aby zdołała objąć słuchaczy. Żaden z artystów nie był huczniej i z tak wielkim przyjęty uniesieniem. Łoże i krzesła, a nawet większą część biletów parterowych już zakupiono na przyszły koncert [...] Zabrzmiały gazety nasze pochwałami gry Lipińskiego; wszędzie gdzie się tylko ruszył, słyszysz powtarzane jego nazwisko, prasy litograficzne zajęte są wytłaczaniem jego wizerunku, pisma publiczne ogłaszają jego biografię. Pierwsze domy ubiegają się w przyjęciu go, a mianowicie jenerałowie rosyjscy dają dla niego obiady i wieczory. Resursa Kupiecka przyjęła go na swego członka honorowego i dała świetną ucztę, na której spehmiano pochlebne dla rodaka naszego toasty.”²⁹

24 maja 1829 r. miała miejsce w Warszawie koronacja cara Mikołaja I na króla Polski. Uświetniły ją wspaniałe uroczystości dworskie, których opis przytaczamy za współczesnym pamiętnikarzem: „Koronacja odbyła się w zamku w kaplicy, skąd rozpoczął się marsz ceremonialny do kościoła św. Jana przez szpaler gwardii i orkiestr, wygrywających poloneza Kurpińskiego na nutę »Witaj królu!« Droga była wysłana pašowym sukнем, na estradach, poza szeregami batalionów, przyglądały się damy i publiczność, baldachim niosło 12 jenerałów. Król, pontyfikalnie ubrany, z żoną obok, prowadzony był przez Dzierzbickiego i Krasińskiego Józefa; przed najjaśniejszym państwem szedł senat, ministrowie, posłowie zagraniczni i świta cesarska, przed samym królem mistrz ceremonii z łaską Żaboklicki, łowczy dworu Batowski, łowczy Biliński i koniuszy Gutakowski. Przysięgę odebrał Woroniecz, prymas, po dokonanych obrzędzie marsz ceremonialny powtórzył się do zamku przy odgłosie dzwonów i hymnu granego *God save the King*. Obiad uroczysty w zamku, Lipiński i Paganini grają koncerta, muzyką dyrygował Kurpiński, śpiewał Soliwa, Włoch. Po obiedzie służba królewska złożona z szambelanów i kamerjunkturów oraz śpiewacy i śpiewaczki obiadowali u Bronca*, gdzie podochocony Lipiński wlaźł na stół, a Paganini słuchając jego muzyki pił zdrowie. Odznaczyły się śpiewami: panna Gładkowska, chwalona

* Broniec Adam — drugi mąż Marianny z Dorpowskich Grudzińskiej, matki Joanny Grudzińskiej, księżnej łowickiej, żony wielkiego księcia Konstantego.

przez cesarstwo, która potem wyszła za ministra sekretarza stanu Grabowskiego, panna Wołkow, przystojna i miła, ale rozpuściła się hulając za granicą, panna Janikowska, umarła z suchot; wieczorem bal u namiestnika i iluminacja rzesista w mieście. 25-go bal koronacyjny w zamku, na którym przez cały wieczór tańczono jednego poloneza tyllko [...] 26-go spacer cesarstwa na Bielany; wieczorem panna Sontag, późniejsza hr. Rossi, śpiewa królestwu. 27-go bal u Sobolewskiego ministra dla dam dworskich. 28-go prezentacja u dworu kupców i mieszczan; feta dla ludu na Ujazdowskim placu; bal dla obywateli miasta w ratuszu [...] 29-go bal kupiecki w bankowym gmachu, urządzony przez Łubieńskiego Henryka; dalej idą bale prywatne u Zamoyskich, Nowosilcowa, Potockich; nie obeszło się przy tym bez przedstawień teatralnych, baletów i oper”³⁰.

Również sale Resursy Kupieckiej były widownią kilku uroczystych balów i przyjęć. 20 maja wydano wielk bal, w którym wzięła udział większość członków oraz liczni obywatele z prowincji. „Bawiono się znakomicie i z największym entuzjazmem wznoszono toasty za zdrowie cesarza i jego rodziny”. Bywali w Resursie: przyszły dyktator powstania listopadowego generał Józef Chłopicki, przyjaciel cara Aleksandra I z lat młodości książę Adam Czartoryski, prezes Banku Polskiego hrabia Ludwik Jelski, hrabiowie Kicki, Szydłowski i Wielogórski.³¹

Po przeszło miesięcznym pobycie w Warszawie, 25 czerwca 1829 r., car Mikołaj I wyjechał na Podole, odprowadzany aż do Łucka przez wielkiego księcia Konstantego.

Manifestacje wiernopoddańcze burżuazji i arystokracji nie odzwierciedlały postawy większości społeczeństwa Warszawy, w którym narastał niepokój i niezadowolenie z systemu carskich rządów w Królestwie. Młodzież coraz bardziej parla do powstania. W tej sytuacji Mackrott i jemu podobni nie utawali w nadmiernej gorliwości, utrwalając w raportach nawet najbardziej niewinne wydarzenia. 4 października 1829 r. zanotował Mackrott: „Od niedawna wznowione zostały zebrania towarzyskie starej Resursy Kupieckiej*. Zebrania te nie są na razie liczne. Resursę odwie-

* Starą Resursę Kupiecką, mającą od 1829 r. swą siedzibę w pałacu Mniszchów, nazywano również wielką.

dzają: ks. Walenty Radziwiłł, lekarze Kintzel i Mayer, Zakrzewski, Stubnicki, Jaworek i Powalski — przychodzą codziennie, grają w karty, czytają gazety i rozmawiają¹³². Pod datą 2 listopada tegoż roku czytamy: „W starej Resursie Kupieckiej wydano wesoły obiad jako inaugurację sezonu zimowego. Było obecnych 67 członków Resursy, toastów nie wznoszono. Z wybitniejszych osobistości byli obecni: ks. Walenty Radziwiłł, hrabiowie Jelski, Tymowski, Kicki, Plater, Sołtyk (młodszy), wiceprezydent [miasa Warszawy] Lubowidzki [...] Z konsulów zagranicznych był tylko sekretarz konsula austriackiego baron Heneberg¹³³.”

Pierwszy dzień nowego, 1830 roku niczym nie wróżył nadchodzących wydarzeń. W sferach towarzyskich Warszawy bawiono się jak zwykle, hucznie i wesoło. „Wieczorem dnia tegoż liczne było zgromadzenie u pani Anny Wąsowiczowej (z domu Tyszkiewiczówna, z pierwszego ślubu żona Aleksandra Potockiego). Każdy z zaproszonych obowiązany był przynieść z sobą jakikolwiek fant obwinięty i przy tym kilka stosownych wierszy, po czym sposobem loterii odbywało się ciągnięcie, odczytywano wiersze i oddawano przedmiot wygrywającemu. Owe fanty cechowały po większej części humor i skłonność ofiarujących. I tak konsul pruski Schmidt, znany ze swego gustu do gastronomii, złożył dwa bażanty z napisem: »Nad wszystkie w świecie fanty, wolę tłuste bażanty«. Teodor Szydłowski dwie butelki szampana, wierszy nie pomnę. Jeden ze starożytników przyniósł bożka egipskiego i te wiersze: »Przetrwawszy wieki, przebywszy wieki, przychodzę od Maroku, życzyć nowego roku«. Gdy przyszła kolej na Niemcewicza, odwijają jeden po drugim arkusze i co znajdują? — oto spory damski urynał. Nie dosyć na tym, trzeba było przeczytać w głos należąca do niego strofę: »Z saskiej porcelany, kształtnie ulany, w ofierze przynoszę, napelnij go proszę«. Niemcewiczowi wszystko ujdzie, niektóre wszakże damy obraziły się tym pomysłem, mianowicie gospodyni i wygrywająca ten fant panna Róża Mostowska.¹³⁴”

Doskonale bawiono się przez cały karnawał 1830 r. Salony warszawskie rozbrzmiewały dźwiękami orkiestr tanecznych i gwarem rozmów prowadzonych przeważnie po francusku. Inaczej zresztą trudno byłoby porozumieć się bywalcom tych salonów, gdyż oprócz arystokracji polskiej oraz nielicznych jeszcze wów-

czas przedstawiciele kół finansowych i dyplomatycznych gościły one także arystokrację rosyjską.

Towarzystwo warszawskie w niewielkim tylko stopniu zdawało sobie sprawę z napięcia politycznego ogarniającego ludność Warszawy i całego Królestwa. Nie doceniało jego siły i znaczenia. Bagatelizował je również wielki książę Konstanty. Tylko szpiegdy i policja warszawska węszyli coś niepokojącego w podminowanej atmosferze stolicy, choć władze nie chciały dawać wiary ich raportom i donosom. Na murach Warszawy zaczęły się pojawiać napisy ośmieszające władze carskie. Na Belwederze, siedzibie wielkiego księcia Konstantego, umieszczono ogłoszenie: „Dom wkrótce do wynajęcia”. Opinia publiczna ostrzej niż zazwyczaj piętnowała nadużycia wysokich urzędników miejskich. 3 listopada 1830 r. Mackrott raportował, że „policja warszawska usunęła z murów Warszawy następujący wiersz:

Woyda kupił dobra Szczaki
Za chleb, mięso i szczupaki”³⁵.

Była to wyraźna aluzja do znanych nadużyć władz miejskich w dziedzinie monopolu na sprzedaż pewnych artykułów spożywczych, zwłaszcza importowanych, nadużyć, którym miał patronować sam prezydent miasta, Woyda.

I w tym roku, jak zazwyczaj, wiele osób z towarzystwa warszawskiego „latowało” w Karlsbadzie, gdzie obok prezydenta Woydy można było spotkać Jana i Stanisława Łubieńskich z rodzinami, Konstantego Wolickiego, Jezierskich, Romana Sołtyka oraz wiele innych znanych postaci. Jesienią, po powrocie z kurortów, w salonach Warszawy rozkwitły znów gry hazardowe, uprawiane z pasją przez stałych bywalców. „Ćwik, kwindecz, diabełek i faraon na dużą skalę rozwinęły się u Krasińskiego Wincentego, dokąd poczęli się wciskać i nieuczciwi gracze, jak Nosarzewski, Sumiński, Karol Kossakowski, Kicki; towarzystwo przenosiło się kolejno do Małachowskiego, Hoffmana, Lewińskiego, Tymowskiego, Okęckiego, pasjonowani gracze byli: Chłopicki, Staś Potocki, Jaraczewski, Ludwik Kicki, generał Nowicki, Grabowski, młody Jezierski, Siemiątkowski, Woroniecki.”³⁶

29 listopada 1830 r. wybuchło powstanie. Warszawa stała się widownią patriotycznego zrywu młodzieży wojskowej oraz inte-

ligenckiej, popartej przez lud stolicy i część wojska. W tę noc z 29 na 30 listopada, gdy na ulicach Warszawy decydowało się, czy powstanie nabierze rozmachu, czy też zostanie stłumione w zarodku, znamienne było zachowanie arystokracji i zamożnego mieszczaństwa. Przyjęły one postawę wyczekującą. Podkreślał to między innymi Maurycy Mochnacki, jeden z czołowych działaczy politycznych powstania listopadowego i autor wielkiego dzieła o wydarzeniach 1830 i 1831 r. Z trzaskiem zamykały się bramy i okiennice domów Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia zamieszkałych w większości przez ludzi ze sfer burżuazyjno-arystokratycznych, którzy w ten sposób witali spiskowców ciągnących od Belwederu w stronę Arsenału. "Jakby nic się nie stało — pisał Mochnacki — jakby nic stać się nie miało, tak głucha, tak przerażająca cichość ogarnęła te okolice. Miasto spało!"³⁷ Nie inaczej zachowali się znani w sferach towarzyskich Warszawy bracia Łubieńscy, którzy wybuch powstania przywitali pełnym grozy okrzykiem: „Jakie to nieszczęście!”³⁸

Wkrótce jednak, już po wycofaniu się wojsk rosyjskich ze stolicy, zamożne mieszczaństwo wspólnie z arystokracją przystąpiło do opanowywania wzburzonego miasta i ujęcia w karby rewolucyjnie nastrojonego plebsu, powierzając troskę o „porządek” utytułowanym osobistościom, niejednokrotnie o chlubnej przeszłości wojskowej, które teraz objęły władzę w Warszawie. Ich pierwszym wkładem w powstanie było... rozbrojenie ludności cywilnej. Dokonał tego generał Tomasz Łubieński, naówczas wiceprezydent miasta. Oto co pisał o tym hrabia Andrzej Zamoyski, czynny współorganizator tych akcji „porządkowych”: „Z generałem Łubieńskim zgodziliśmy się, że najlepiej będzie zaprowadzić Radę Municypalną. Zająłem się tą czynnością, zaprosiłem znaczniejszych kupców, właścicieli domów, kilku mecenasów i adwokatów i przydawałem na obradach”³⁹. Do wybranych wówczas władz miejskich weszli znani ze swej lojalności wobec zaborcy kupcy: Przybysławski, Koehler, Sommer, Ziegler, Seydel i Grabowski, bankier Scholtz, architekt Lessel, aptekarz Żelazowski i inni. „Wróciliśmy porządek w rozkołatym spóółstwie miasta Warszawy — donosił o swojej działalności generał Łubieński — powoli go rozbrajamy, zajęliśmy pocztę, Komisję Oświecenia.”⁴⁰

Zastraszona i bardziej przewidująca część zamożnego mieszczaństwa oraz wiele rodzin osiadłej w Warszawie arystokracji już w pierwszych miesiącach powstania opuściło miasto, chroniąc się na prowincji pod opiekuńcze skrzydła wojsk carskich bądź też zapewniając mury Krakowa, który według artykułu z prasy ówczesnej „[...] nagle się zaludnił. Opuszczające Warszawę damy oczekują w tej starożytnej stolicy dawnej Polski chwili, w której całość [...] ojczyzny naszej ogłoszoną zostanie”⁴¹.

W prasie powstańczej ostro piętnowano zamożne warstwy społeczeństwa za ich niechętny, a często wręcz wrogi stosunek do powstania. Zarzucano wielu lekarzom warszawskim umyślnie uchylanie się od niesienia pomocy rannym żołnierzom, potępiano spekulację artykułami pierwszej potrzeby uprawianą przez elementy paskarskie, obwiniano burżuazję, że osłania swych synów przed służbą wojskową.

Powstanie listopadowe ujawniło z całą ostrością odmienność poglądów różnych warstw społecznych na kwestię walki o niepodległość. Uwidocznili oni antypowstańcze stanowisko elity arystokratyczno-mieszczańskiej, jej lojalizm wobec Rosji carskiej i strach przed wszelkim radykalizmem społecznym. Powstanie upadło między innymi dlatego, że kierownictwo walką przejęły konserwatywne ugrupowania arystokratyczno-szlacheckie, które ograniczyły jego rozmach i zasięg społeczny. Lewicy powstańczej udało się wprawdzie w krytycznym momencie wciągnąć masy do powstania i nadać mu charakter narodowy, jednakże jej chwiejność i wewnętrzne zróżnicowanie czyniły ją zbyt słabą, by mogła wywrzeć decydujący wpływ na bieg wydarzeń.

W okresie powstania uległo zahamowaniu życie towarzyskie w Warszawie, po 1831 r. zaś zmieniły się losy niektórych jego uczestników. Władze carskie stosowały represje wobec szlachty za jej udział w walkach powstańczych, wielu bywalców salonów warszawskich wyemigrowało z kraju. Zamożna burżuazja natomiast, która w oczach zaborecy nie skompromitowała się akcesem do powstania, miała rychło uzyskać dogodniejsze warunki rozwoju. Polityka caratu w Królestwie otwierała przed nią możliwości pomyślnego działania w sferze handlu i przemysłu. Choć więc z tytułu represji popowstaniowych zamknięto w 1832 r. granicę między Królestwem Polskim i cesarstwem, wskutek czego spadł

znacznie eksport na rynki wschodnie, nie odbiło się to zasadniczo na interesach bogacących się sfer handlowo-przemysłowych. Chwilowa stagnacja, najdotkliwsza w przemyśle sukienniczym Królestwa, nie była w stanie zatrzymać na dłużej rozwoju gospodarczego kraju. Nic więc dziwnego, że lata po powstaniu listopadowym sprzyjały dalszemu dorabianiu się w najróżniejszych formach, wśród których wciąż najatrakcyjniejsza była dzierżawa rozmaitych dochodów skarbowych i monopoli, oddawanych w ręce prywatne. Część arystokracji, która brała udział w powstaniu i pozostała w kraju, uzyskała przebaczenie carskie. Zważywszy wzrost pozycji społecznej obrastającego w bogactwo mieszczaństwa, coraz bardziej skłaniała się do współpracy z nim na polu gospodarczym i w ślad za tym do zbliżenia na towarzyskim gruncie.

Wykształcał się nowy obraz stosunków towarzyskich. Tomasz Łubieński, bywalec i ozdoba wielu salonów warszawskich, stwierdzał z żalem: „Zmniejszenie wielkich u nas fortun, podniesienie do mnogiej liczby i małych fortun, i gustu do zbytków, nie mogąc dogodzić temu zbytkowi w swoich jak dawniej salonach, przenosi go do zabaw i rozrywek publicznych”⁴². Wzrosło znaczenie Resursy Kupieckiej jako miejsca spotkań elity towarzyskiej w tym czasie. „Życie towarzyskie warstw handlowo-przemysłowych i urzędowych skupiało się w resursach »małej« i »wielkiej«. Mała resursa w pałacu Dekerta skupiała większych kupców i przemysłowców z pewną ilością miejskich dygnitarzy jako członków honorowych, wielka wydawała bale na tysiąc osób, na które przychodzili arystokraci i wysocy urzędnicy, ba, nawet sam książę-namiestnik. W małej resursie mówiono tylko po niemiecku, w wielkiej, zwanej także »kupiecką«, mówiono po francusku, niemiecku, trochę po rosyjsku, wyjątkowo tylko po polsku.”⁴³

Na balach okolicznościowych urządzanych w salach Resursy Kupieckiej po 1831 r. bywało towarzystwo poważnie zróżnicowane pod względem społecznym. Na podłożu coraz ściślejzego współdziałania w dziedzinie gospodarczej zaczęła powoli słabnąć izolacja arystokracji rodowej, której przedstawiciele wspólnie z bogatymi bankierami i przemysłowcami czynili honory gospodarzy wobec zaszczycającego ich swą obecnością księcia Iwana Paskiewicza, namiestnika carskiego w Królestwie.

Generał Tomasz hrabia Łubieński, bohater spod Somosierry, jeden z dowódców wojskowych w powstaniu, uzyskawszy przebaczenie cara Mikołaja I, rzucił się w wir interesów i zajęć towarzyskich. Bardzo czynny w życiu gospodarczym Królestwa, szczególnie w handlu, był stałym bywalcem zarówno salonów arystokracji, jak i Resursy Kupieckiej. W liście do ojca z dnia 2 stycznia 1838 r. donosił o balu sylwestrowym: „Bal w Resursie, na którym Henryk [brat generała] był gospodarzem, bardzo szczęśliwie się udał, było przeszło 1500 osób. Książę i księżna [Paskiewicz z żoną] byli na kolacji, bawiono się bardzo wesoło aż do godziny trzeciej po północy. Leon [syn generała] się rozhulał, młodzież daje sobie codziennie kolejno ostrygowe śniadania [...]” A oto relacja z karnawału warszawskiego w 1838 r.: „[...]Dziś mamy bal u konsula pruskiego, jutro spoczynek, we czwartek muszę być na obiedzie u ks. Michałowej Radziwiłłowej, wieczorem u Kwileckiego [...] na koniec na balu u Kossakowskich. W piątek wielki bal u Lubowidzkich, w sobotę bal składkowy w Resursie dla Henryka. On jeden zaproszony, a wszyscy płacą po 25 zp. W niedzielę w Zamku, jeśliby się nie udał projekt pikniku młodzieży”⁴⁴.

Za dowód zacieśniania się towarzyskich więzów między arystokracją a sferami zamożnego mieszczaństwa może między innymi służyć fakt, że gospodyniami balu sylwestrowego w Resursie w 1839 r. były księżna Teresa Jabłonowska i pani Marianna Steinkeller.⁴⁵

Z nazwiskami Steinkellerów, Lubowidzkich, Łubieńskich, Fraenklów, Epsteinów, Malczów oraz innych zamożnych warszawskich rodzin finansistów, arystokracji i wielkiej biurokracji styka się często czytelnik kronik towarzyskich i obyczajowych w ówczesnej prasie warszawskiej.

18 lutego 1846 r. w salach reutowych odbył się bal na rzecz ubogich pozostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. W notatce, która w związku z tym ukazała się w prasie, obok wielu utytułowanych dam z arystokracji wymieniono żony i córki wybitnych kupców i przemysłowców warszawskich, panie: Epstein, Brzezińska, Steinkellerową, Malczową, Fugierową i inne.⁴⁶

W Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności, w Towarzy-

stwie Zupy Rumfordzkiej*, w Komitecie Resursy Kupieckiej, wśród radców Banku Polskiego i członków giełdy warszawskiej — można znaleźć te same postacie reprezentujące finansjerę oraz sfery arystokratyczno-szlacheckie.

Ciekawy przekaz dotyczący salonów stołecznych w okresie po powstaniu listopadowym podaje znany dziennikarz warszawski Antoni Zalewski, który pod pseudonimem Baronowej XYZ pisywał korespondencje między innymi do krakowskiego „Czasu”: „Za mojej pamięci, przed laty czterdziestu, mieliśmy tu jeszcze kilkanaście domów niezmiernie miłych, wykwintnych i istotnie na miano salonów zasługujących. Była jeszcze taka ks. Teresa Jabłonowska, pani Rozalia Rzewuska, Lubomirska z domu, ks. Michałowa Radziwiłłowa, żona naczelnego wodza [z powstania listopadowego], pani Liza Krasieńska, pani Ludwikowa Małachowska, której trzy piękne córki skupiały około siebie całą niemal ówczesną młodzież, pani [Zofia] Ossolińska, Chodkiewiczówna z domu, Augustowie Potoccy, Aleksandrowie Przedzieccy, starzy państwo Kossakowscy, Ksawerowie Pusłowscy, Kazimierzowie Łubieńscy, Andrzejowie i Augustowie Zamojscy, pani Róża Sobańska, księżniczka Janina Czetwiertyńska [...] Leon Łubieński okraszał wszystkie zebrania swymi dowcipami, a generał Tomasz Łubieński wspomnieniam z epepei napoleońskiej. Był salon literacki p. Niny Łuszczewskiej, matki Deotymy, było wiele innych, których w tej chwili nie pomnę [...]”⁴⁷ W tych domach raczej nie bywało jeszcze wówczas bogate mieszczaństwo. Nadal utrzymywały one elitarny charakter. Natomiast wiele z wymienionych osób można było spotkać w bardziej demokratycznych salach Resursy Kupieckiej. Miejscem spotkań arystokracji z burżuazją był więc neutralny niejako teren Resursy, sale na Zamku itp. U siebie wciąż jeszcze wzdragano się przyjmować „nieurodzonych”.

Podejmijmy próbę bliższego określenia, co należy rozumieć przez pojęcie tzw. towarzystwa warszawskiego. Antoni Zalewski wypowiedział w tej sprawie kilka bardzo interesujących uwag. Choć jego korespondencje pochodzą z okresu późniejszego, nie-

* Towarzystwo Zupy Rumfordzkiej — filantropijne towarzystwo zajmujące się dożywianiem ubogich. Nazwa pochodzi od B. Rumforda, który wprowadził w Monachium, w jadłodajniach dla ubogich, zupę sporządzaną z odpadków mięsa, z grochu i krup. Zupę tę nazwano rumfordzką.

mniej jednak można je częściowo odnieść do epoki międzypowstaniowej. Wówczas bowiem zaczęły się dokonywać przemiany, które doprowadziły do ukształtowania stosunków opisywanych przez Zalewskiego. „Podczas kiedy pojęcie tout Cracovie [cały Kraków] i tout Léopol [cały Lwów] ogranicza się prawie wyłącznie do arystokracji i tych, co z nią w zażyłszych pozostają stosunkach, tout Varsovie [cała Warszawa] nie będzie tam, gdzie się same tylko mitry i korony zbiorą. Jeśli się u nas mówi, że na jakimś balu, koncercie, teatrze lub wyścigach była »cała Warszawa«, to znaczy, że widziano tam i historyczne nazwiska, i finanse, i wielki przemysł, i obywatelstwo wiejskie, sfery adwokackie, literackie, artystyczne, lekarskie itd., słowem wszystko, co miasto posiada wybitniejszego i zamożniejszego [...]”⁴⁸ „Dziś wyłącznie arystokratycznego salonu w Warszawie nie ma, bo i arystokracja nie nadaje przeważnego tonu życiu towarzyskiemu, miesza się ona coraz bardziej z finansami [...]”⁴⁹

Zmieniło się więc wiele w obrazie towarzystwa warszawskiego w porównaniu z pierwszą połową stulecia. Wzrost zamożności sfer finansowych i zwiększanie się znaczenia pieniądza obniżały wartość samego tylko pochodzenia bez oparcia o złoto. „[...] Nikt tu w żadnym kółku — pisał Zalewski — nie zapyta: »kto go rodzi i co ma«, tylko »czym jest i co robi« [...]” W stosunku do czasów, o których piszemy, była to — rzecz jasna — przyszłość.

W latach międzypowstaniowych sfery arystokratyczne Warszawa żywiły jeszcze wiele uprzedzeń wobec mieszczaństwa. Wśród szlachty utrzymywała się niechęć i pogarda do kupiectwa, do profesji lekarza, inżyniera itp. „W poczuciu swej wyższości klasowej — wspomina Ignacy Baranowski — szlachta lekceważyła »artes liberales«*, lekceważyła zawód technika, nauczyciela, lekarza, tym więcej kupca i rzemieślnika, nie szanowała nauki [...] Dla siebie nauki nie pragnęła. Wystarczyło jej stanowisko, jakie dawało urodzenie. Z zawodów mieszczańskich jedyny tolerowany wśród szlachty był zawód adwokacki [...] ale kto się wziął do miary i wagi, do zawodu nauczycielskiego, został lekarzem, ten tracił prawo zaliczania się do »urodzonych«.”⁵⁰ Podobną opinię wypowie znacznie później Ferdynand Hoesick: „Społeczeństwo

* Artes liberales — dosłownie: sztuki wyzwolone; tutaj chodzi o tzw. wolne zawody.

polskie jest przede wszystkim społeczeństwem szlacheckim [...] Szlachta, nie mówiąc już o arystokracji, w stosunku do mieszczaństwa zachowuje się w najlepszym razie trochę wyniośle [...]”⁵¹ Tak rzeczywiście było. Przesady stanowe miały w społeczeństwie polskim trwałą tradycję.

W Warszawie, gdzie jak w żadnym innym mieście polskim wzmocniło się mieszczaństwo, gdzie kwitł przemysł i handel, nic nie mogło zahamować dokonujących się przemian. Finansiści i przemysłowcy otwierali sobie powoli dostęp do sfer arystokratycznych, wchodzili coraz liczniej do ekskluzywnych salonów i coraz większą rolę odgrywali w życiu towarzyskim.

Władze carskie, stwarzając warunki do współdziałania sfer handlowo-przemysłowych i ziemiańsko-arystokratycznych ułatwiały nawiązywanie kontaktów towarzyskich. Doroczne bale i przyjęcia na Zamku pod prezydencją księcia-namiestnika oraz jego uczestnictwo w imprezach Resursy wpływało na pogłębienie wyłomu w dotychczasowej izolacji warstw „urodzonych”.

Zwraca uwagę duża liczba obcych nazwisk wśród zamożnej burżuazji. Przytaczaliśmy już poprzednio opinię znanego mecenasa i miłośnika przeszłości Warszawy Aleksandra Kraushara, który podkreślał polskość założycieli Resursy Kupieckiej. Podobnie brzmi wiele innych wypowiedzi pochodzących od ludzi związanych trwale z przeszłością miasta. Wybitny przedstawiciel warszawskiego rodu księgarzy, Ferdynand Hoesick, opowiadał w swych uroczonie napisanych pamiętnikach, że jego dziadek, Fryderyk Granzow, rodowity Niemiec osiadł w Warszawie w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, tak wrósł w społeczeństwo polskie, że podobno aż nienawidził Niemców, a swoje dzieci wychowywał na Polaków.⁵²

Asymilacja obcokrajowców znajdowała pełne poparcie w sferach kulturalnych stolicy. Nad wyraz trafnie charakteryzował ten proces wybitny lekarz Ignacy Baranowski: „W ogóle naród na asymilowaniu, przyswajaniu obcych mu pierwiastków najczęściej nie traci, a zyskuje. Uczucie polskie, posiadane na gruncie natury germańskiej, daje plon często bardzo szlachetny. Tylu znałem zacnych obywateli, jak Karol Szlenkier, Findeisen, Rephan, Scholtz i inni. Wymieniam bliżej osobiście mi znanych. Nazwisk do przytoczenia byłoby o wiele więcej. Wszyscy ci ex-Niemcy, znani mi,



Na Bielany

Rysunek H. Pillatiego, Muzeum
Historyczne m. st. Warszawy

Z cyklu: „Typy warszawskie”

Rysunek H. W. Gumińskiego,
Muzeum Historyczne m. st.
Warszawy





Mieszczanin i wyrobnica
Rysunek J. Kossaka, „Tygodnik
Ilustrowany”, 1862

Widok Warszawy od strony Pragi
Litografia M. Fajansa, Muzeum
Historyczne m. st. Warszawy



z gorącym uczuciem łączyli zmysł rzeczywistości, jakąś rozwagę, której rdzennym Polakom brak jest często. Podobne wrażenie zostawili mi tacy Żydzi, jak Jakub Natanson, jak jego syn Józef, jak Henryk Wohl, jak szereg zacnych i mądrych lekarzy o mniej nawet znanych nazwiskach, że wspomnę Kinderfreunda, przez długie lata naczelnego lekarza szpitala żydowskiego, Maksymiliana Hertza i innych⁵³.

To samo powtórzy w kilkadziesiąt lat później znany nam już dziennikarz Zalewski, kreśląc obraz życia towarzyskiego Warszawy lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia: „Tacy Szlenkierzy, Temlery, Szwedowie, Pfeifrowie, Spiessowie, Brunowie, Wernerzy, Herbsty, Simlery, Lilpopi, Sztrasburgery — to już kość z naszej kości i krew z naszej krwi, z dodatkiem refleksji, pracy, oszczędności i wytrwałości niemieckiej⁵⁴.”

Zjawisko asymilacji cudzoziemców w środowisku polskim można by udokumentować wielu innymi świadectwami. Niech więc duża liczba obcych nazwisk wśród burżuazji Królestwa nie skłania nas do sądu o obcości narodowej czołowych przedstawicieli tej klasy społecznej. Kapitalizm miał to do siebie, że powodując znaczne przemieszanie ludności, stwarzał zarazem przesłanki do zacierania się różnic narodowościowych i wyznaniowych w nieporównanie szybszym tempie, niż to się działo w czasach feudalizmu.

Przedstawiciele finansjery warszawskiej czynili pewne kroki w kierunku wzajemnego zbliżenia z ziemiaństwem i arystokracją. Wielu spośród burżua pochodzenia żydowskiego przyjmowało chrzest, czyniło starania o nobilitację, nabywało majątki ziemskie. Fraenklowie, Kronenbergowie, Bloch, Epsteinowie, Koniar — to najbardziej znani warszawscy finansiści pochodzenia żydowskiego, którzy przy użyciu wspomnianych środków zmniejszali dystans towarzyski w stosunku do Łubieńskich, Zamoyskich, Ostrowskich, Wielopolskich, Weyssenhoffów i innych rodzin arystokratycznych.

Niedaleka była przyszłość, gdy jeden z najbogatszych warszawskich finansistów i przemysłowców, Leopold Kronenberg, zasłużył sobie na laurkę zapisaną na kartkach pamiętników „Baronowej XYZ”: „Leopold Kronenberg wskazał dopiero, jak Żyd polski potrafi naprawdę społeczeństwu swojemu służyć, jak pozbyć

się może cech swojego pochodzenia, spolszczyć się i stać się istotnym kraju obywatelem. On o przyznanie tych praw obywatelskich nie dobijał się i nie napraszał, lecz sam je siłą swej inteligencji i pracy zdobył, on stanowisko swoje sam zajął i zajmwszy pokazał, w jaki sposób należy uznania w kraju się dorabiać i jak wszelkie dawne przesady oraz niechęć druzgotać [...] L. Kronenberg zasłużył na to, że na pogrzebie jego powiedziano: »Chowamy dziś jednego z najlepszych Polaków [...]« Przychodził bez fortuny, nazwiska, tradycji, homo novus*, nikomu nie znany, a od wszystkich prawie uprzedzeniami, przesądem i instynktową podejrzliwością odgradzony; wszystko, co posiadał, sobie samemu zawdzięczał; wszystko do czego doszedł, musiał sobie wywalczyć i zdobyć. Był dorobkiewiczem nie tylko fortuny i mienia, ale stanowiska, szacunku i uznania; zaczynał jak przeciętny karierowicz — skończył jako jeden z najlepiej zasłużonych kraju obywateli [...]»⁵⁵ Oto jakie uznanie zyskał ten bez wątpienia wybitny przedstawiciel polskiej burżuazji, który w opisywanej epoce dopiero zaczynał zapobiegliwie pomnażać odziedziczoną po ojcu niezbyt pokaźną fortunę bankierską.

Zważywszy, że cytowaną opinię wypowiadał autor zbliżony do arystokracji i z jej pozycji oceniający sztandarową postać polskiej burżuazji, warto zwrócić uwagę na następujące zagadnienie: Kronenberg reprezentuje tę samą klasę, która w wieku XVII w Anglii i w XVIII we Francji dokonała zwycięskiej rewolucji burżuazyjnej, obalającej feudalizm, a wraz z nim rządy i znaczenie arystokracji. Istotną zatem cechą ówczesnej burżuazji zachodnioeuropejskiej był jej bezkompromisowo wrogi stosunek do arystokracji. Różnice w czasie i w warunkach rozwoju kapitalizmu na ziemiach polskich i w zachodniej Europie sprawiły, że burżuazja polska nie tylko nie występowała przeciwko arystokracji, ale starała się z nią związać i pod wielu względami do niej upodobnić.

„Feudalizm nabiera elementów burżuazyjnych [...] burżuazja nabiera cech feudalnych”⁵⁶ — pisał Marks w 1848 r. w związku z kompromisem zawartym wówczas między pruską burżuazją i junkierstwem. Można to stwierdzenie odnieść też do zjawisk za-

* Homo novus (łac.) — nowy człowiek, w przenośni: nowicjusz.

chodzących w Polsce. Historia bowiem rozwoju pruskiej burżuazji wykazuje wiele cech zbieżnych z dziejami kształtowania się burżuazji polskiej. Zarówno w Niemczech, jak i u nas uformowanie się tej klasy przypadło na późniejsze czasy niż w Anglii i Francji, w związku z czym dokonywało się w innych warunkach. Od 1807 r. ani w państwie pruskim, ani na ziemiach Królestwa Kongresowego nie istniało już poddaństwo chłopów i choć jeszcze utrzymywała się pańszczyzna — problem rąk do pracy w rzemiośle i przemyśle kapitalistycznym nie odgrywał istotnej roli. Z tej więc strony rozwój burżuazji nie napotykał w zasadzie przeszkód. Umacnianiu się tej klasy zarówno w Prusach, jak i w Królestwie Polskim sprzyjał protekcjonizm władz państwowych. Czarci popierał w Królestwie działalność handlowo-przemysłową, w zamian za co kupcy i przemysłowcy odpłacali mu lojalnością. Jednocześnie sfery arystokratyczno-szlacheckie stopniowo odstępowały od tradycyjnych form gospodarowania folwarkiem, polegających na wykorzystywaniu pracy pańszczyźnianej, na rzecz nowych, kapitalistycznych form, przejawiających się w zatrudnieniu wolnonajemnej siły roboczej. Ponadto sfery te angażowały się w handlu i przemyśle, często w drodze rozwijania przetwórstwa płodów rolnych własnego folwarku.

Oczywiście zjawisko to w pierwszej połowie XIX w. nie było powszechne, ale już skromne jego początki spowodowały zbliżenie szlachty i burżuazji. Burżuazja nie była antyfeudalna, bo nią być nie musiała: panujący ustrój zapewniał jej korzystne warunki rozwoju. Sfery arystokratyczno-szlacheckie nie były nastawione antykapitalistycznie, ponieważ kształtująca się w Królestwie burżuazja nie tylko nie dążyła do podważenia ich pozycji, lecz zabiegała wręcz o współpracę z nimi.

Można — jak się zdaje — zgodzić się z apelem wybitnego arystokraty i przemysłowca sprzed powstania listopadowego, Antoniego Ostrowskiego, który swą książkę poświęconą sprawie reform społecznych w Polsce, zaopatrzył w znamienne motto: „Arystokracjo! Chceszli nie paść ofiarą nieuchronnej i już bliskiej świata reformy, wczesnie umysł twój, położenie tve osobiste i majątkowe do takiej usposabiają”⁵⁷. Najbardziej przewidująca część polskich ziemian weszła na tę drogę już w opisywanym okresie.

Zmiany, które niósł z sobą kapitalizm, znajdowały odbicie w twórczości literackiej. Jeden z bohaterów powieści Józefa Korzeniowskiego wypowiedział znamieny sąd: „Żyjemy w takim czasie, w którym ścisłość we wszystkim, buchalteria i rachunek stają się podstawą wszelkiego przedsięwzięcia i rękojmią powodzenia”⁵⁸. Jakie to inne niż rozrzutność, lekkomyślność, nie licząca się z kosztami wystawność życia warstw arystokratycznych szlacheckiej Rzeczypospolitej. Kult pieniądza jednak nie oznaczał, by uprawiający go ludzie nie umieli korzystać z dobrodziejstw, jakie dawało posiadanie kapitału. Przeciwnie, w oczach współczesnego pisarza słowo bankier stało się niemal synonimem możliwości używania dóbr doczesnych. „Bankier, albow to nie jedyny środek, aby jeździć konno, dawać bale, trzymać ekwipaże i co lato bawić w Karlsbad albo w Ems. Bankier, to bożyszczce domów rozkoszy [...] Niezwykły urok panuje wszędzie tam, gdzie tylko stąpi noga jednego z tych kuzynów fortuny; rozrywani wszędzie, odbierają hołdy i pokłony; każdy chętnie ujmuje ich za rękę na ulicy, ściska, przyjmuje do powozu i zaprasza na obiady. Dla bankiera też wszystkie drzwi stoją zawsze otworem [...]”⁵⁹

Kształtująca się burżuazyjna społeczność warszawska umiała korzystać z dobrodziejstw nowej epoki. Pieniądz, wygoda i zbytek, dostępne liczniejszej niż w okresie feudalizmu grupie, wносиły nowe elementy w życie stolicy. Współczesny pisarz, Józef Symeon Bogucki, relacjonował z aprobatą: „Co się dzieje z panoramą miasta, toż samo prawie jest ze społecznością, jej obyczajami, zwyczajami i tym wszystkim, cokolwiek stanowi publiczne i prywatne życie mieszkańców. Tak z każdym rokiem zabawy przybierają więcej uroku, teatru zyskują na okazałości, spaceru na swoich powabach, bale na przepychu, ale przede wszystkim prawdziwą wartość każdej rzeczy stanowi wygoda [...] Dawniej Warszawa zbyt może mało miała wygód, ale od pewnego czasu zaczęli się zjawiać ludzie, ale to ludzie prawdziwi filantropi, którzy stąd ni zowąd poświęcają swoje serca całkiem dla ludności [...] Najgrzeczniejsi z tych wszystkich są Francuzi, pootwierali oni u nas salony z napisem *entrée* [wejście] i *entrée* [przystawka]*, gdzie można zażądać nawet i potrawki z przedpotopowego strusia, by-

* W języku francuskim *entrée* ma kilka znaczeń, m. in. podane wyżej.

leby tylko publiczność lubiąca smaczno jeść i pić miała istotnie apetyt, luidory w kieszeniach i chciała koniecznie wygody, tak Węgrzy podlewają nasze gardła winem, Włosi karmią słodyczami, smażąc w cukrze kasztany, tatarak i rozmaite korzonki dla urozmaicenia literatury podniebienia; oni wszyscy na to tylko opuścili swe kraje, aby Warszawa miała przecież własną wygodę i przyjemność. Krawcy fatygują się do Paryża, Wiednia, Berlina i Lipska, szewcy jeżdżą do Londynu, aby tylko swoim poświęceniem sprawili nam wygodę [...] Szczęśliwa ta Warszawa; dla jej to jeszcze zabawy zjeżdżają się mistrze i artyści zagraniczni, którzy grają, śpiewają, tańczą i jeżdżą na koniach do góry nogami, akrobaci pokazują figle, atletyczni Herkulesy dźwigają belki w zębach, Beduini połykają noże; a nawet są ludzie łamiący się w różne strony jak gumma-lastyka”⁶⁰. Sądzimy, że autor — podobnie jak my — nie żywił złudzeń co do właściwych motywów tego domniemanego poświęcenia. Chodziło tu przecież o zyski, bo trudno posądzać o altruizm tych sympatycznych skądinąd cudzoziemskich przybyszów.

Popularny „Kurier Warszawski” w karnawalle 1853 r. reklamował w formie oryginalnego wierszyka pączki i ciastka najlepszych warszawskich firm cukierniczych, wśród których — już tradycyjnie — pełno było nazwisk włoskich, szwajcarskich i francuskich:

Nowy Świat, Semadeniego,
A zaś Krakowskie Przedmieście,
Znajdzie zaraz pączków dwieście;
Bo pod bokiem ma Biziego.
Jeśli się zaś rozweselim,
A pominiem się z Klopferem,
To się możemy spotkać z Belim,
Lub Vincentim lub Grohnertem;
Nimi bowiem się zaszczyca
I Senatorska ulica.
Na Miodową kto popłynie,
Znajdzie Wedla, co tam słynie.
Przy Teatrze znajdzie Loursa
Albo inną tam gdzie Bursa
Od Królewskiej, Strassburgera
Etcetera, etcetera.⁶¹

Z pewną dozą krytycyzmu oceniał kształtującą się nową obyczajowość mieszczańską współczesny autor, Wacław Szymanowski: „W mieście naszym, zwłaszcza przez klikanaście ostatnich lat, zbytłowne życie ogromnie się zagnieździło. Niechaj nikt tego wyrazu zbytłowne nie uważa w zupełnie ścisłym jego znaczeniu. Ten, który posiada wszystkiego kilkaset rubli dochodu na rok, będzie robić nadużycie, jeżeli choć kilkadziesiąt rubli nad swój zwyczajny budżet wydaje [...] A o te wydatki nader łatwo, bo najprzód życie jest dwa razy droższe niżli przed kilkunastu latami, po wtóre utrzymanie w dwójnasób tyle kosztuje, a nade wszystko każdy prawie chce żyć nad swój stan [...] Chciejmy tylko spojrzeć na powierzchowne wydatki, które same biją w oczy, a już ogromnej dopatrzmy się różnicy pomiędzy niedawną jeszcze przeszłością a terażniejszością. Przypatrzmy się wytworności ubiorów, lokalom, urządzeniu ich, umeblowaniu i zwykłym zabawom większości mieszkańców Warszawy. Ten, który zaledwie 200 lub 300 rubli dochodu rocznego posiada, musi mieć i zegarek złoty z takimże łańcuszkiem, i futro na zimę, i wykwiłtne stroje na lato, i będzie się nawet wstydził bywać na parterze albo na galerii w teatrze, albo iść piechotą na Bielany podczas Zielonych Świątek lub na wyścigi konne w czerwcu”⁶².

Życie ponad stan — oto do czego można byłoby sprowadzić przytoczoną charakterystykę niektórych grup społeczeństwa warszawskiego w początkach drugiej połowy ubiegłego wieku. Chęć dostatniego ubrania się i „pokazania się” za wszelką cenę, bez względu na realne możliwości, byle tylko być zaliczonym do warstwy żyjącej na tzw. poziomie. Były to niezawodnie pokutujące relikty szlachełczyzny, szczególnie w obyczajowości średniego personelu urzędniczego warszawskich biur. Jest jednak w omawianym zjawisku coś, co każe doszukiwać się w nim znamion nowych, burżuazyjnych norm obyczajowych. W ambicjach dorównania pod względem stylu życia najbogatszym sferom kapitalistyczno-ziemiańskim kryły się niezawodnie dążenia średniozamożnego mieszczaństwa do swoiście pojmowanej demokratyzacji życia. Zaspokajaniu tych ambicji sprzyjały przeobrażenia w życiu towarzyskim, które zaczynało przenosić się z elitarnych salonów arystokracji do bardziej dostępnych salonów finansjery, do sal Resursy i wreszcie na publiczne zabawy i festyny. Do-

rożki, dylizanse i kolej żelazna eliminowały konieczność posiadania własnego ekwipażu, platery mogły z powodzeniem zająć miejsce kosztownych sreber rodowych. Ponadto rozszerzał się krąg odbiorców zdobywszy technicznych ówczesnej epoki.

Wymienione zjawiska musiały wywrzeć wpływ na wygląd miasta, zmienić jego oblicze. Potwierdza to relacja felietonisty „Tygodnika Ilustrowanego”, który tak opisywał ulice miasta z ich świątecznym ruchem i gwarem: „Już od samego rana ruch niezwykły. Chodniki czyszczone są staranniej aniżeli w dniu powszednie, co wszakże nie dowodzi jeszcze wielkiego porządku, bo dobrze wiadomy jest pod tym względem konserwatyzm naszych stróżów, którzy kurz i błoto, jako pamiątki archeologiczne, pragną każdy w swoim wydziale zachować. Jeżeliś fizjonomista, to stań sobie w niedzielę około godziny 9-tej z rana na chodniku jakiejś uczęszczanej ulicy i przypatruj się tłumowi. Mężczyzn jeszcze łatwiej poznać ci będzie po zaroście, po kroju sukni, po wyrazie twarzy, wreszcie po chodzie i po mowie, który do jakiego stanu lub powołania należy. Ale ogłoszę cię za bardzo domyślnego, jeżeli tak samo potrafisz sobie dać radę z kobietami i rozpoznać wielką damę od urzędniczki, fabrykantkę od szwaczki. Na wszystkich też same krynoliny, też same materie, też same kapelusze najświeższych fasonów, w których nawet mody paryskie przesadzane bywają, też sama prawie wykwintność we wszystkim. Jeżeliś świeżo do Warszawy przybył, a zechcesz ze strojów o ludziach sądzić, pomyślisz sobie, że to miasto z samych prawie bogaczy złożone [...]”⁶³ Jest w tym opisie duża przesada, zapewne jednak autor felietonu dostrzegł charakterystyczny rys ówczesnej obyczajowości. Nowe warunki życia powodowały zacieranie się, przynajmniej na zewnątrz, tak wyraźnych jeszcze niedawno różnic w ubiorze i strojach. Ale niewątpliwie zmiany nie zaszły tak daleko, by trudno było odróżnić wielką damę, żonę fabrykanta, od urzędniczki czy szwaczki, jak usiłuje nam to wmówić autor. Wiarygodność jego relacji podważają między innymi szkice Franciszka Kostrzewskiego, pochodzące przecież z tego samego okresu.

Kobiety z plebsu miejskiego, liczne rzesze służących i robotnic warszawskich fabryk, których ubiory uszły jakoś uwagi naszego felietonisty, nosiły suknie ze zwykłego perkaliku, chustki

na głowach i wierzchnie okrycia w rodzaju krótkiej kurtki. Nie zawsze mogły sobie pozwolić na obuwie. W najuboższych sferach mieszkańców miasta nabycie nawet tak skromnego przyodziewku było poważnym problemem. W tej sytuacji rozwijało się tandeciarstwo, czyli sprzedaż używanej odzieży, którym trudnili się przeważnie drobni żydowscy kramarze.

Warto zatrzymać się przy okazji nad jeszcze jednym problemem związanym z nowymi elementami obyczajowości mieszczańskiej, rzutującymi na instytucję małżeństwa. Zgodnie bowiem z duchem czasu i ono nabierało specyficznych cech: „I czemuż jest dziś małżeństwo — zastanawiał się autor *Wizerunków społeczeństwa warszawskiego* — jeżeli nie akcją publiczną, gdzie panna idzie jakby przez licytację, dostając się w końcu temu, który obiecywał najwięcej. Te piękne spacerunki po Łazienkach, świetne Bielany, most w wigilią Ś-go Jana, są to punkta licytacyjne, gdzie zakłopotane mamy wiodą swoje ofiary w różowych i niebieskich kapelusikach. Ten wygodny dla wszystkiego Saski Ogród stał się już prawie miejscem, gdzie ogłaszają konkursy, czynią przeglądy i wołają: Kto więcej?”⁶⁴ „Kto da więcej?” — to zawołanie z publicznych licytacji zyskiwało sobie prawo obywatelstwa i w transakcjach małżeńskich w towarzystwie warszawskim, i nie tylko w nim; również burżuazja średniozamożna, a właściwie całe mieszczaństwo w podobny sposób traktowało instytucję małżeństwa.

Dla wykształcania się burżuazyjnej obyczajowości bardzo znamienny był także rozwój prostytucji. Nie nowe to bynajmniej zjawisko w dziejach ludzkości. Znały je przecież czasy starożytne i wieki średnie. Obecnie jednak przeżywała ona swój renesans. W Warszawie, słynącej już w czasach stanisławowskich z wielu przybytków płatnej miłości, odrodzenie prostytucji przypadło na epokę między powstaniami. Władze samorządowe udzielały tej profesji swojej sankcji, rejestrując oficjalnie domy publiczne, dzieląc je na kategorie, w zależności od których ustanawiano podatek miejski. Grupowały się one przy wąskich i krętych uliczkach Starego Miasta. Niejaki Aleksander Lewiński, właściciel domu publicznego pierwszego rzędu przy ulicy Krzywe Koło 183, prowadził w latach czterdziestych owo przedsiębiorstwo na dużą skalę. Kilkanaście pensjonariuszek, w oficjalnym języku nazywa-

nych kobietami domowymi, oraz bufet na miejscu „na użytek gości późną, nocną porą przychodzących”, przynosiły właścicielowi pokaźny dochód. Niemniej jednak zabiegał on o ulgi w podatkach wnoszonych do kasy miejskiej. Magistrat warszawski, dbały o dochody również z tego procederu, odmówił mu, wychodząc z założenia, że: „Zakład Lewińskiego, będąc na wyższą skalę zaprowadzony, znaczne korzyści jemu przynosi,⁶⁵”.

A oto sylwetka panny lżejszego autoramentu, zaliczanej do najlepszej kategorii. Mieszka na Krakowskim Przedmieściu, „jest to artystka w roli zmyślonego niewiniątka, mająca zawsze ton wielkiej damy; mówi po francusku, na Bielanach jest wyrocznią mody, pierwsza na wiankach pokaże coś zawsze paryskiego, nie opuszcza wyścigów koni, a w teatrze bywa w parterowej łoży [...]” Pośledniejsze natomiast boginie miłości „lubią gniazdko starej Warszawy, zaczawszy od Pivnej, Starego Miasta z przyległościami, aż do Freta ulicy, zamieszkujące ciupkę do spółki w charakterze szwaczek lub hawciarek,⁶⁶”.

Zapewne wielu dystyngowanych członków towarzystwa warszawskiego można by zaliczyć do klienteli zacisznych dworców i saloników zamieszkanymi przez wspomniane „artystki”. Niejedna fortuna magnacka czy bankierska doznała z ich powodu poważnego uszczerbku. Bo z czegoż by w końcu żyły te arystokratki wśród tak licznych w Warszawie owych czasów cór Koryntu? Sam namiestnik Paskiewicz nie gardził nimi, choć najbardziej lubił podkasany balet i baletniczki, udzielając im swej wysokiej protekcji.

Z lat czterdziestych pochodzi pikantna historyjka, w którą uwikłał się jeden z bohaterów tej książki. Zaczepiliśmy ją od Pauliny Wilkońskiej, współczesnej literatki, autorki cennych wspomnień o życiu towarzyskim stolicy. Wspomina ona między innymi o przybyciu do Warszawy w listopadzie 1843 r. słynnej z urody tancerki i awanturnicy, Loli Montez. Piękność przywiozła listy polecające do Piotra Steinkellera, który podobno żywo wziął sobie do serca opiekę nad tancerką. Niestety chciało, że powabna Lola popadła w zatarg z ówczesnym oberpolicmajstrem warszawskim, równocześnie dyrektorem miejscowych teatrów, Polakiem-renegatem, generałem Abramowiczem, który — jak wiadomo —

zbyt obcesowo ją adorował. W całą sprawę wdała się żona oberpolicmajstra. Wybuchł skandal.

Loli Montez groziło wygwizdanie w teatrze, przygotowane na rozkaz obrażonego generała, gdy z pomocą przyszedł jej Piotr Steinkeller oraz znany wówczas redaktor „Gazety Warszawskiej”, Antoni Lesznowski. Przygotowali oni wielu klakierów; Piotr Steinkeller miał zwerbować w tym celu liczne swoje biuro, służbę i robotników z fabryki powozów na Solcu. Kiedy widownia w teatrze, podzielona na dwa obozy, istniała się z sobą, a sama tancerka wskazała palcem na łożę Abramowicza i jego żony jako inspiratorów przykrego w sumie incydentu, wystąpiła z interwencją uprzednio przygotowana policja. Lolę Montez odstawiono „ciupasem” do granicy Królestwa, a niefortunni protektorzy, Steinkeller i Lesznowski, znaleźli się na odwachu i przesiedzieli w areszcie cztery tygodnie.

Warszawa przeżyła z tego powodu małą sensację. Po mieście krążyły karykatury przedstawiające Lolę Montez na krzyżu, Lesznowskiego i Steinkellera jako dobrego i złego łotra po jej bokach, a samego Abramowicza na białym koniu przebijającego piką kozacką bok pięknej tancerki.⁶⁷

Życie towarzystwa stolicy, mimo ucisku politycznego, można by nazwać „nieomal wesołym, hulaszczym — pisze Ignacy Baranowski w swym pamiętniku. — Bawiono się, tańczono na zabój, grano w karty aż do zrujnowania fortun szlacheckich. Ucztowano, pito bez miary. Na bruku warszawskim pękały fortuny szlacheckie jak bańki mydlane”.⁶⁸

Do najbardziej modnych miejsc rozrywek warszawiaków w latach czterdziestych należały: ogród Ohma za rogatkami wolskimi, ogródek Dominika przy ulicy Mokotowskiej i zakład Głińskiej „Pod Rakiem” na Pradze. Pito wody mineralne w ogrodach Saskim i Krasińskich, które podobnie jak niewielki park Foksal dostępne były jedynie dla wytwornej publiczności. Najmodniejszy stał się w tych latach wykwintny lokal i ogród położony na krańcach ówczesnej Warszawy, obok Alei Ujazdowskiej, nazwany w 1835 r. przez jego właściciela Stanisława Sleszyńskiego Dolina Szwajcarską. Grał tu na trąbce ze swoją orkiestrą popularny wówczas muzyk Rajczak. Z innych znanych dyrygentów prasa wyliczała Struma, Kurzątkowskiego, Kubelkę i Chojnackiego. W war-

szawskim Teatrze Wielkim oraz w Resursie Kupieckiej koncertował słynny Jan Strauss (senior).⁶⁹

Tłumy bywalców zapełniały wciąż kawiarnie, których liczba z 90 w 1822 r. wzrosła do 270 w roku 1841. Najlepsze z nich były: Zuzi przy Podwalu, Drażeńskie na rogu Długiej i Bielańskiej, Umińskiej również przy Bielańskiej, Leosi na rogu Trębackiej i Nowosenatorskiej, w ogrodzie Ohma, Sierpińskiego w Sielech, które wówczas znajdowały się daleko za miastem, na trasie wiodącej do Wilanowa, wreszcie słynny lokal przy ulicy Wiejskiej zwany potocznie Wiejską Kawą.⁷⁰

Na Saskiej Kępie bawiła się przeważnie ludność niemiecka, pijąc piwo bawarskie u Krotoszyńskiego, tańcząc u Stypułkowskiego bądź korzystając z huśtawek i karuzeli u Szultza. Zielone Świątki corocznym zwyczajem ściągały tłumy mieszkańców miasta na Bielany. Tak na przykład w 1853 r. w ciągu obu dni świąt przybyło tu: 26 tys. osób pieszo, 1500 statkami parowymi i 39 konno oraz 175 karet, 485 powozów, 393 dorożki, 369 bryczek i 8 omnibusów.⁷¹

Eleganci z towarzystwa warszawskiego ubierali się według najnowszych zagranicznych żurnali. Fraki były strojem obowiązkowym na każdą okazję. W ciągu dnia noszono jasne pantalone, czarne kamizelki i chustki na szyję, wieczorem zaś czarne obcisłe pantalone i białe kamizelki z takimiż chustkami.

W różnych środowiskach Warszawy panowała moda na określone kościoły. W kołach elity towarzyskiej najpopularniejsze były kościoły Kapucynów i Kanoniczek oraz św. Aleksandra. Inteligencja najliczniej uczęszczała do Bernardynów, Franciszkanów, Wizytek i Sakramentek, a rzemieślnicy do Dominikanów, Panny Marii, św. Ducha, św. Krzyża, Augustianów i Karmelitów.

Sfery towarzyskie Warszawy pasjonowały się wydarzeniami o najrozmaitszym posmaku. Głośne były afery związane z zakupstwem, które szczególnie żywo uprawiano w czasach, gdy dzięki łapówce można było dostać na przykład administrację kóregoś z monopoli. Carski urzędnik, tropiący w późniejszej epoce nadużycia w Królestwie, na określenie licytacji publicznych, na których zazwyczaj decydowały się sprawy oddania przez władze skarbowe dzierżaw monopoli, użyje nad wyraz trafnego określe-

nia: „kukolnaja komedia” (teatr marionetek). Powtarzano sobie charakterystyczny dialog na temat przekupstwa:

— Czy, panie radco, da się coś w tej sprawie zrobić?

— Jak się da, to się zrobi.

W latach budowy Cytadeli warszawskiej (1832—34), w związku z wielkimi jej kosztami, krążyła złośliwa odpowiedź na pytanie, co się stało z pieniędzmi: „Boh znajet i gienierał Dehn” (Bóg wie i generał Dehn). Ów generał kierował budową Cytadeli.

W latach 1832—56 na Zamku warszawskim rezydował namiestnik Iwan Paskiewicz, którego car obdarzył tytułem księcia warszawskiego w nagrodę za zdobycie Warszawy w 1831 r. Okres ten przeszedł do historii pod nazwą epoki paskiewiczowskiej. Żelazna ręka namiestnika ciążyła przez długie lata nie tylko nad buntowniczą Warszawą, ale i nad całym Królestwem.

Wtedy gdy bohaterowie naszej książki dorabiali się fortun lub tracili je, gdy wespół z przedstawicielami władz carskich uczestniczyli w przyjęciach i balach odbywanych w salach pałacu Mniszców, w galowych uroczystościach na Zamku i na Ratuszu, życie szarych mieszkańców Warszawy płynęło innym nurtem. „Ludzie chodzili mierzonym krokiem ostrożnie się oglądając, czy nie idzie za nimi podsłuchiawcz. O minionym powstaniu i nadziejach szepotali sobie do ucha. Każde śmielsze pojęcie i głośniejszy wyraz strachem przejmował, otwierał perspektywę Sybiru. Polacy przedstawiali widok spłoszonego stada. Rozbicie, rozproszenie, strach i cisza więzienna przerywane były piszczałkami balowej muzyki na Zamku, która w ruch wariackiego walca wprowadzała pozostałe siostry i wdowy po poległych lub nieobecnych wojownikach; przygrywała ona obniżeniu godności narodowej i zwątleniu wiary w lepszą przyszłość. Za odebraną swobodę kazał się Paskiewicz weselić, więc śmiechem i tańcem uwalniano się od prześladowania, rozbrajano zemstę i nienawiść”⁷².

Warszawa jednak nie poddawała się. Pod groźbą luf armatnich wycelowanych w miasto z Cytadeli, w atmosferze szykan policyjnych i szpiegostwa, przy wciąż wypełnionych więzieniach — młodzież warszawska nie rezygnowała z walki. Jedni bawili się, bogacili i prześcigali w zapewnieniach o swym oddaniu zaborcy, inni spiskowali, porywali się do nierównej walki, wypełniali cele

więzienne, szli na Sybir lub ginęli na szubienicach. Władze coraz to odkrywały nowe spiski i tajne organizacje.

W 1844 r. wpadły na ślad organizacji utworzonej przez młodzież stolicy. W raporcie komisji śledczej z 26 czerwca tegoż roku czytamy, że spiskowcy planowali napad na Zamek, zabicie Paszkiewicza i uderzenie na wojska rosyjskie stacjonujące w Warszawie. Aresztowano 20 uczestników sprzysiężenia: aplikantów, byłych uczniów gimnazjalnych i 3 rzemieślników. Skazano ich na chłostę i wcielono do pułków armii carskiej na Kaukazie.⁷³ Jednakże żadne represje nie były w stanie zlikwidować działalności spiskowej w udręczonym mieście.

Życie umysłowe Warszawy, tak bujnie rozkwitające przed 1830 r. zostało poważnie zahamowane w pierwszym dziesięcioleciu po upadku powstania listopadowego. W atmosferze represji policyjnych uległo likwidacji wiele instytucji kulturalnych, zamknięto Uniwersytet, ograniczono liczbę szkół. Ruch literacki oraz prasę poddano ścisłej cenzurze, wobec której błady opisywane poprzednio szykany jej gorliwych urzędników z lat przedpowstańowych. Wielu zdolnych, najbardziej czynnych przedstawicieli życia kulturalnego znalazło się na emigracji, innym uniemożliwił działalność ucisk zaborcy.

Dopiero po 1840 r. pojawiły się pierwsze oznaki ożywienia umysłowego w całym Królestwie. W Warszawie powstało wiele pism naukowych i literackich, wśród których „Przegląd Naukowy” (1842—48), założony przez Edwarda Dembowskiego, wyróżniał się swym najbardziej radykalnym obliczem. Skupiał on postępową, młodą inteligencję patriotyczną, wśród niej grupę kobiet, tzw. Entuzjastek, ze znaną pisarką i poetką Narcyzą Żmichowską.

Spotykano się często na zebraniach towarzyskich u redaktora „Przeglądu Naukowego”, Hipolita Skimborowicza, gdzie dyskutowano nad środkami poprawy losu kraju. Do najbardziej znanych w tym czasie miejsc spotkań towarzyskich inteligencji warszawskiej należały salony Niny Łuszczewskiej (matki Deotymy), wojewodziny Anny Nakwaskiej i Katarzyny Lewockiej, choć tutaj unikano raczej wszelkich dyskusji politycznych. Zebrania u Skimborowicza „[...] Odgrywały w życiu umysłowym ogromną rolę: wśród społeczeństwa pozbawionego możliwości życia politycz-

nego — przejawiało się ono w spiskach; prasę, publicystykę — musiało zastępować życie towarzyskie. Tylko w ramach jego odbywać się mogła szczerza wymiana zdań o kwestiach ogół obchodzących”⁷⁴

Bujne życie towarzyskie w tych czasach zastępowało z konieczności brak zwykłych form działalności społeczno-politycznej. Oczywiście odnosi się to do salonów patriotycznie usposobionej inteligencji warszawskiej. Salony sfer wyższych nie przejawiały takich aspiracji. Służyły wyłącznie za miejsce spotkań ludzi lojalnych wobec zaborcy i dalekich od myśli o jakimkolwiek buncie. Te właśnie salony wspominał młodzieńki, wówczas zaledwie piętnastoletni Cyprian Norwid, pisząc: „Kiedy w Warszawie w 1836 r. nocą budzeni bywaliśmy przez kolegów, aby choć obecnością naszą zasiać pożegnanie wysyłanym na Sybir [...] w zacnym polskim salonie mówiła mi pewna pani domu, że rozpowiadają coś ciągle o zsyłkach, a przecież z nas nikogo w czwartek nigdy nie brakuje”⁷⁵. Dodajmy dla wyjaśnienia, że czwartek był dniem przyjęć w salonie owej damy.

Nadchodził burzliwy okres Wiosny Ludów, która wstrząsnęła Europą. Wydarzenia 1848 r. poprzedziła rewolucja krakowska i powstanie chłopskie w Galicji oraz nieudane próby powstańcze w Wielkopolsce i w Królestwie. Powstanie, przygotowywane na początek 1846 r. przez organizacje patriotyczne, a przede wszystkim przez Towarzystwo Demokratyczne Polskie*, nie zdołało przekształcić się w ogólnonarodową walkę zbrojną.

W Królestwie Polskim doszło do nieudanego ataku na Siedlce w lutym 1846 r. W powiecie miechowskim grupa powstańców rozbroiła posterunki nadgraniczne i ruszyła w kierunku Krakowa. Warszawa nie przystąpiła do walki, choć miejscowi spiskowcy byli do niej przygotowani. Upředziły ich masowe aresztowania i represje władz carskich. W Królestwie Polskim wrzało, szczególnie wieś podnosiła się do walki ze znieawidzoną pańszczyzną, nasłuchując chciwie odgłosów powstania chłopów galicyjskich. Carat, żandarm Europy, dwoił się i troił, śledząc za

* Towarzystwo Demokratyczne Polskie (TDP) — najsilniejsza organizacja demokratyczna Wielkiej Emigracji, założona w Paryżu w 1832 r. Od 1840 r. TDP prowadziło działalność mającą na celu przygotowanie powstania w trzech zaborach.

pośrednictwem swych agentów spiski rewolucyjne. W Królestwie zduszono rewolucję w zarodku. Schwytanych spiskowców skazano na śmierć lub katorgę.

Za Agatonem Gillerem, znanym działaczem powstania 1863 r., cytujemy opis jednej z egzekucji. „W Warszawie, pełnej jak kraj cały obawy i smutku, dnia 16 marca 1846 r. wzniesiono na stoku Cytadeli drugą szubienicę. Zawisli na niej dwaj odważni młodzieńcy: Kociszewski i Żarski. Za nimi wprowadzono na szubienicę dwóch innych patriotów: Stefana Dobrycza i Karola Ruprechta. Już ich ubrano w śmiertelne koszule, już im ręce skrepowano, już im stryczki na szyje zarzucono, zostawało tylko do zrobienia jedno poruszenie ręki oprawcy, którym zwykle kręgi łamie i spod nóg podporę wysuwa, gdy przeczytano męczonym zmianę wyroku śmierci na wyrok robót w kopalniach syberyjskich Akatui. Michał Mirecki i Andrzej Deskur byli także na powieszenie skazani, lecz nie mieli jeszcze stryczków na szyjach, gdy im ogłoszono zmianę wyroku na kopalnie. Obecny przy traceniu Jan Lityński skazany był do kopalni z dodatkiem pięćset kijów”⁷⁶. Wszyscy wymienieni byli czynnymi uczestnikami spisku patriotycznego w Warszawie przygotowującego powstanie 1846 r.

Atmosferę owych dni oddaje wiernie w swych wspomnieniach Paulina Wilkońska: „Nastał rok 1846. Aresztowania bez liku, egzekucje krwawe i szubienice. Po wszystkich placach Warszawy dniem i nocą palono ognie i biwakowało wojsko. Patrole bezprzestannie przebiegały ulice: jeden wyjeżdżał, a drugi wjeżdżał. Odbywały się każdej nocy rewizje. O zmierzchu nie wolno było bez latarki wychodzić. Trzy osoby z sobą na ulicy rozmawiać nie mogły. Kto ukazał się z brodą, tego schwytano na Ratusz, gdzie mu ją zgolił zostający tamże na ciągłej służbie golibroda [...] Rogatki były zamknięte i nie wypuszczano nikogo bez legitymacji. Wiele rodzin rosyjskich wynosiło się z obawy przed strasznym widmem rewolucji na noc każdą do Cytadeli [...]”⁷⁷ Również wyższe sfery towarzyskie Warszawy z obawą wyczekiwały nadchodzących dni.

Na początku 1846 r. Paskiewicz wezwał do siebie dwóch wybitnych przedstawicieli sfer arystokratycznych stolicy, generała Tomasza Łubieńskiego i marszałka szlachty mazowieckiej, Jana Je-

zierskiego. Oto relacja Paskiewicza z rozmowy z generałem Łubieńskim: „Hr. T. Łubieński jeździł do Poznania; powróciwszy stamtąd na dwa tygodnie przed wybuchem buntu krakowskiego, opowiadał mi z uczuciem zdziwienia i niepokoju o poruszeniu umysłów w Poznaniu oraz o rozpowszechnionym tam komunizmie*. Zwróciłem mu uwagę, że w obecnych zaburzeniach są dwa nurty: jeden — komunizmu, drugi — »polonizmu«, który posługując się komunizmem stara się nim zasłonić swoją działalność. Wyjaśnia to historia wszystkich tajnych organizacji społecznych i politycznych. Wystarczy przypomnieć historię stowarzyszeń masońskich. Początkowo loże masońskie skupiały, być może, nawet uczciwych ludzi, którzy byli urzeczeni myślą, że niewielu ludzi połączywszy się w związek może zdziałać więcej dobrego niż pojedyncza, prywatna osoba. Pociągały ich również mistyczne formy i obrzędy masonerii. Tak było do pojawienia się Iluminatów**, którzy zorganizowali się już w celach przestępczych, bądź — jak wówczas mówiono — politycznych. Iluminaci zdawali sobie sprawę z możliwości posługiwania się zgromadzonymi w lożach masonami, z których część udzielała im swego poparcia, inni zaś później zaakceptowali ich polityczny program. W ten sposób masoneria zorganizowała pierwszy niższy krąg tajnych towarzystw, a jej agenci rozwijali działalność, by przejść do wyższych stopni. Tą właśnie drogą kroczyły stowarzyszenia organizowane później w bardziej lub mniej przestępczych celach. Każde z nich wykorzystywało inne słabsze i mniej od pozostałych prężne stowarzyszenia, podporządkowując je sobie, działając wspólnie, a na wypadek potrzeby zasłaniając się nimi. Tak i obecnie. Komunizm działa i rozprzestrzenia się w całej zachodniej Europie. A »polonizm« stara się nim posługiwać jako siłą i narzędziem, żywiąc nadzieję, że później w razie zwycięstwa zerwie z nim i zniszczy go. Po upływie dwóch tygodni od tej rozmowy wybuchł bunt w Krakowie i Galicji. Wydarzenia te potwierdziły moje słowa⁷⁸.

Paskiewicz potrafił umiejętnie podsycić niepokój generała To-

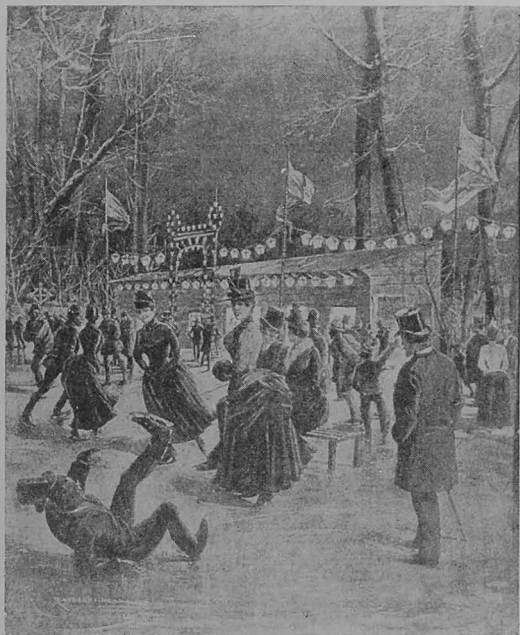
* Komunizmem nazywały wówczas konserwatywne sfery wszelkie postępowe dążenia polityczno-społeczne.

** Iluminaci — tajne towarzystwo o charakterze społeczno-religijnym założone w 1776 r. przez Adama Weishaupta w Ingolstadtzie w Bawarii.



„Garkuchnia pod studnią, czyli obiad w każdym czasie w Warszawie na Starym Mieście na rynku”

Litografia J. F. Piwarskiego
z 1841 r.



Slizgawka w parku
Łazienkowskim

Rysunek W. Sandeckiego,
„Kłosy”, 1889



„Pierwszy dzień Wielkiej Nocy: Czy będziemy dziś jedli?”

Rysunek Fr. Kostrzewskiego,
Muzeum Historyczne m. st.
Warszawy



„Pierwszy dzień Wielkiej Nocy: Gdzie będziemy dziś tańczyły?”

Rysunek Fr. Kostrzewskiego,
Muzeum Historyczne m. st.
Warszawy

masza, który — jak to widać z jego listów do ojca — sam przecież dopatrywał się wszędzie „komunistycznych” organizacji. Warto zwrócić uwagę, że namiestnik, strasząc „komunizmem” polską arystokrację, wiązał go z ruchem powstańczym o najbardziej nawet konserwatywnym obliczu, wskazując na „polonizm” jako na kierunek dążący do wykorzystania „komunizmu”, a następnie do zerwania z nim. Władze carskie rozwijały wówczas wśród chłopów propagandę w tym duchu. Miała ona na celu odsunięcie ich od programu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i zjednanie dla caratu.

A oto relacja Paskiewicza z jego rozmowy z hrabią Janem Jezierskim: „Niedługo po wybuchu buntu krakowskiego i wypadkach w Siedlcach przybył do mnie hrabia J. Jezierski. Mówiłem z nim o konieczności zastosowania ostrych środków w stosunku do dziedziców i szlachty. Hr. Jezierski odezwał się, że chyba to nie odnosi się do niego osobiście. Nie — odezwałem się — ja pana znam jako uczciwego człowieka. Pan sam przyszedł do mnie. Jeżeliby jednak pozostał pan na wsi i w domu pańskim zauważono by cokolwiek podejrzanego, to najbliższa władza wojskowa, od generała na dowódcy kompanii kończąc, mogłaby pana aresztować i dostawić do mnie. Ja — być może — zwolniłbym pana żaraz i powiedziałbym, że to na pewno pomyłka, ale dodałbym: tenez vous pour averti [proszę to uważać za przestrożę]. Należy bardziej szanować — nie mówię prawowitą władzę — ale mundur rosyjski i jego zielony kolor. W nich winniście widzieć przedstawicieli prawowitego porządku władzy, udzielającej poparcia spokojnym i posłusznym, karającej natomiast przestępców i buntowników”⁷⁹.

I ten dokument przejrzysto wyraża intencję Paskiewicza, usiłującego — nie bez powodzenia — przekonać przedstawiciela polskiej arystokracji o konieczności poszanowania władzy zaborczej, stojącej przecież na straży interesów klasowych polskiego ziemiaństwa.

Osobisty adiutant Paskiewicza, książę D. Somcow, zanotował w swym pamiętniku pogardliwe uwagi, charakteryzujące postawę warstw posiadających Warszawy wobec władz carskich. Pisał je bezpośrednio po stłumieniu rewolucji krakowskiej oraz po wykonaniu wyroków na spiskowcach warszawskich i uczestnikach

nieudanego ataku na Siedlce: „[...] na wszystkich placach i placykach [Warszawy] znajdowały się nasze wojska (po jednym eskadronie kawalerii i dwie rotę piechoty) oraz armaty; pułki stały w pogotowiu, patrole jeździły nieprzerwanie również nocami. W ten sposób wszystko skończyło się po polsku, tj. »padam do nóg« [w rosyjskim oryginale słowa te napisano po polsku]. Wszystko wróciło do stanu poprzedniego i przybrało zwykły porządek. Uznanie dla władz rosyjskich wzrosło do niewiarygodności: liberałowie stali się cichsi od wody, mniejsi od trawy, donoszą jeden na drugiego, wymyślają sobie wzajemnie, zaklinaniami zapewniają o swoim oddaniu i błagają o przyjęcie deputacji od miasta, która występowała do feldmarszałka z wyznaniem wdzięczności za podjęcie przez niego szybkich i zdecydowanych środków dla uchronienia miasta od buntów i nieporządków [...]”⁸⁰

Wkrótce po tych wypadkach bawił w Warszawie car Mikołaj I. Władze czuły się pewnie po krwawym stłumieniu prób powstańczych, mając poparcie zamożnego mieszczaństwa i lojalnej arystokracji polskiej. W pamiętniku księcia Sołnecowa czytamy: „Z przyjazdem M. P. [Mikołaja Pawłowicza] ściągnięto z placów oddziały ochraniające: konnicę, piechotę i artylerię. Imperator jeździł po Warszawie i chodził sam po Parku Łazienkowskim. »Moralnaja siła jest moguczaja siła»”⁸¹ — kończył adiutant, jakby zapominając o tym, co pisał o terrorze. Aktami przemocy nie udało się jednak zmusić do uległości wobec zaborcy patriotycznie nastawionej młodzieży inteligencko-szlacheckiej, rzemieślników, robotników warszawskich manufaktur i fabryk. Nigdy nie pogodzili się oni z istniejącym stanem rzeczy, i nie do nich odnosiła się pełna pogardy ocena zawarta w pamiętniku księcia Sołnecowa.

W niespełna dwa lata później, w 1848 r., wstrząsnęły Europą rewolucje Wiosny Ludów: w Paryżu, Wiedniu, na Węgrzech, w Berlinie, Pradze, we Włoszech, a spośród rozdartych zaborami ziem polskich: w Galicji i Poznańskim, na Śląsku, Pomorzu i Mazurach. Były to największe wystąpienia rewolucyjne w całym XIX stuleciu. W krajach niepodległych, jak Francja, Prusy i Austria, lud powstał przeciw własnym rządom. Na Węgrzech, we Włoszech, w Czechach i na ziemiach polskich owe rewolucyjne wystąpienia wiązały się ściśle z walką o zjednoczenie i niepodległość narodową.

Poznańskie, Galicja, a także Śląsk stały się widownią krwawych zmagañ z zaborcami. W Królestwie Polskim nie doszło do wystąpieñ. Rozładowały je wydarzenia lat czterdziestych, masowe aresztowania i represje polityczne. Paskiewicz poczynił wszelkie kroki, aby zapobiec wybuchowi rewolucji, nie zawiódł zaufania szlachty i arystokracji Królestwa, które ze zgrozą nasłuchiwały odgłosów toczących się walk w sąsiedniej Wielkopolsce i Galicji.

Na Warszawę jednak padł cieñ owych wydarzeń. Oto co wspomina Paulina Wilkońska: „W ziemiach polskich mnożyły się aresztowania z dniem każdym. Zwożono licznych więźniów do Cytadeli warszawskiej, gdzie sądy zgroźliwe toczyły się bez przerwy; ucisk i trwoga przed jutrem cały ogół przybiły. Młodzież uciekała za granicę przed grozą więzienia, Kaukazu, Sybiru, potajemnie, bez pożegnania, ażeby na rodzinę i przyjaciół niedoli nie ściągnąć [...] Cytadela warszawska — ów smok nowożytny, jakoby powtórzenie legendarnego, zabitego przez Krakusa — przepelniona była ofiarami. Niektórych więźniów podobno do Modlina wywieźli, innych wysyłali na Sybir, by drugim miejsca przysporzyć”⁸².

W tym samym czasie burżuazja warszawska bawiła się pod osłoną wojskowych oddziałów. „Gdy bankier Fraenkel bal wyprawiał, na którym znajdowali się niemal wszyscy dygnitarze rosyjscy, otaczał dom jego przy Bielańskiej ulicy szereg żandar mów na koniach”⁸³ — pisała dalej pani Paulina.

Elita towarzyska Warszawy bez żadnych skrupułów bawiła się z okazji dwóch niecodziennych wydarzeń: w 1850 r. odbywał się w Warszawie zjazd cesarza rosyjskiego i austriackiego oraz feldmarszałek Paskiewicz święcił jubileusz pięćdziesięciolecia swej służby oficerskiej. Prasa warszawska zamieszczała entuzjastyczne relacje o balach, przyjęciach i spotkaniach towarzyskich. Do najświetniejszych należał bal wydany przez prezydenta miasta; „Gazeta Codzienna” donosiła w numerze z 27 października: „Na balu onegdajszym w salach ratuszowych gospodarzami zabawy byli: rzeczywisty radca stanu Andrault, prezydent m. Warszawy, Aleksander hrabia Przedziecki, Ksawery Pusłowski, Józef Koe hler i Antoni Fraenkel; gospodyniami zaś: Anna z Oleninów Andrault, małżonka prezydenta miasta, hrabina Maria z hrabiów Tyzenhauzów Przedziecka, Julia z ksiąząt Druckich-Lubeckich

Pusłowska, Józefa Koehler i Aleksandra Fraenkel. Osób było przeszło 1500”.

Rojno było również na zabawach i festynach publicznych urządzanych dla ludu z okazji jubileuszu Paskiewicza.

„Warszawa słynęła zawsze z dobrego humoru, z wesołości, z lekkich obyczajów miasta wielkiego. W najcięższych chwilach, nawet wtedy kiedy spiskowano najgoręcej, jak w latach 1846 i 1848, kiedy Cytadela była pełna, kiedy na Sybir kibitki młodzież wywoziły, nawet wtedy w Warszawie tańczono, bawiono się, dowcipkowano. Pękały fortuny szlacheckie, kwitła gra hazardowa, świetnym był balet. Sama władza polityczna, Paskiewicz, Abramowicz protegowali życie hulaszcze [...]”⁸⁴

A miasto, mimo srożącego się terroru, żyło i trwało, nie poddawało się rozpacz, choć rządy paskiewiczowskie kładły się na barkach ludności nieznośnym ciężarem. Jakże trudno było żegnać Warszawę tym, co z carskiego wyroku musieli ją opuścić. Agatona Gillera, jednego z działaczy powstania 1863 r., skazano na zesłanie za udział w spiskach lat czterdziestych. W swej *Podróży więźnia etapami do Syberii w roku 1851* tak pisał o pożegnaniu z ukochanym miastem: „[...] Patrzyłem tęskno na Warszawę, tę Magdalę narodu, rozpustnicę i pokutnicę zarazem. Bieleje i czerwienieje wspaniale zabudowana na górze, ozdobiona, barwiśta, siedzi zalotnie ponad Wisłą i huczy namiętnością, promień wiosennego słońca rozpędza nad nią mgły i ukazuje żelazne krzyże; kopuły i szyby okien błyszczą, skupione i ściśnięte domy Staro Miasta czernią się, tam znowóz wybielone, wyzółcone, ubrane zielonymi gromadkami drzew, dają widok niezwykły i uderzający; a naokoło jak wesoło, niebo błękitne, chmurki łabędziowe a Wisła urodna z daleka — piękną jest nasza Magdalena [...] Trudno oderwać się od widoku Warszawy, trudniej jeszcze w chwili wygnania, w chwili pożegnania może na zawsze pięknej oblubienicy [...]”⁸⁵

PROCES PANA JÓZEFA, CZYLI WYCINEK Z DZIEJÓW BANKU POLSKIEGO

Skąd pochodziły kapitały na kosztowne inwestycje. — Powstanie Banku Polskiego. — Życie i działalność prezesa Banku Józefa Lubowidzkiego. — Śledztwo i proces. — Ostatnie lata pana Józefa.

Historia powstawania i upadku wielkich fortun kapitalistycznych nieraz służyła literaturze pięknej za temat. Tak było we Francji i w Niemczech, w Anglii i w Rosji, gdzie wśród bohaterów znanych powieści nierzadko można spotkać wybitnego kupca, bankiera czy przemysłowca. W polskiej powieści tematyka ta nie cieszyła się szczególną popularnością. Znalazła co prawda swe odbicie w niektórych wczesnych utworach Kraszewskiego czy Korzeniowskiego, ale dopiero literatura pozytywistyczna z Konopnicką, Prusem i Dygasińskim może się pochlubić wspaniałymi dziełami, trafnie odzwierciedlającymi mechanizm działania praw kapitalizmu z właściwą mu nędzą i wyzyskiem szerokich rzesz ludności.

Brak niemal że w naszej literaturze odbicia nie pozbawionych przecież romantyzmu narodzin kapitalizmu na ziemiach polskich. Przesłoniły je bohaterskie a zarazem tragiczne dzieje patriotycznych zrywów powstańczych w latach 1794—1864. A przecież właśnie w tych latach dokonywały się na naszych ziemiach poważne przemiany natury społeczno-gospodarczej. Następowały stopniowo, bez gwałtownych skoków; właśnie w okresie tego siedemdziesięciolecia zniesione zostało poddaństwo chłopów, stopniowo likwidowano pańszczyznę, przechodząc na czynsze. Rezerwa najmniejszej siły roboczej, jaka powstała na wsi, rozszerzanie się gospodarki towarowo-pieniężnej, większa chłonność rynku wewnętrznego, wszystko to sprzyjało szybkiemu rozwojowi kapitalizmu. Rozrastające się szybko miasta stawały się ośrodkami przemysłu i handlu, skupiały coraz bardziej nowoczesną burżuazję i coraz liczniejszą klasę robotniczą. I choć szlachetczyzna długo będzie

ciążyć na społeczno-gospodarczym i kulturalnym życiu narodu, to kapitalizm, obciążony wprawdzie jej relikktami, stanie się w drugiej połowie XIX stulecia ustrojem panującym.

Spróbujmy przyjrzeć się, w jakich warunkach działali pionierzy polskiego kapitalizmu, kto dostarczał im środków materialnych na kosztowne inwestycje, jak rozwijał się ówczesny przemysł? Odpowiedź na te pytania uzyskamy, rozpatrując sytuację gospodarczą Królestwa Polskiego, które było główną areną działalności bohaterów naszej książki i ośrodkiem najszybciej rozwijającego się kapitalizmu w stosunku do pozostałych zaborów.

Tradycyjna w Polsce od wieków słabość mieszczaństwa, przejawiająca się głównie w tym, że było ono uboższe niż gdzie indziej, dała się szczególnie dotkliwie odczuć teraz, gdy na porządku dziennym stały wielkie inwestycje. Nie wystarczały kapitalistycznemu przemysłowi w jego zaczątkowym stadium prywatne środki pieniężne. Zresztą ówczesni kapitaliści nie kwapili się z inwestowaniem własnych funduszów w przemysł, po pierwsze bowiem wymagał on wkładów ogromnych, po drugie — wkłady te nie przynosiły natychmiastowych zysków. Handel i bankierstwo natomiast, a więc obrót towarowy i pieniężny, wskutek braku jednolitego rynku i wynikających zeń dużych różnic cen zarówno w poszczególnych zaborach, jak i w samym Królestwie — gwarantowały szybsze zyski przy niedużym ryzyku.

Prasa ówczesna zachęcała do angażowania kapitałów w przemyśle, do pionierstwa w dziedzinie rozwoju krajowej wytwórczości w oparciu o fundusze uzyskiwane na drodze zbiorowego oszczędzania. „Wiadomości Handlowe” z 13 lutego 1830 r. zamieściły artykuł, w którym czytamy: „Kapitał w ręku swego właściciela martwym jest jeszcze przedmiotem, żadnej korzyści przynieść nie mogącym. W miarę dopiero jego użycia, w miarę rozwinięcia przy tym sił fizycznych i umysłowych można się spodziewać owoców, które skutkiem ogólnego prawidła pracy są tylko i przemysłu nagrodą. Gdyby był środek używania kapitałów bez żadnej pracy i żadnego ryzyka, środek ten byłby nawet dla społeczności szkodliwy, przytępiłby albowiem władze umysłowe, które czynne tylko życie udoskonala. Jeśli skutkiem drugiego ogólnego prawidła, że każdy dąży do spoczynku, właściciel zdaje na innych obrót swojego kapitału, tedy słuszne jest, ażeby podej-

mujący za niego trudy, dzielił i zyski, jakie ten kapitał przynosi. Osoby znaczne kapitały posiadające, nie chcącłożyć pracy na obracanie ich w handlu lub w rękodzielnictwie, wolą pozostawać na małym zysku, aby tylko spokojnie jego mieć używanie. Stąd w miarę gromadzenia się kapitałów zmniejszają się procenta [...] Lecz u nas mało jeszcze jest osób mających prawo do spoczynku, a do zyskownego obrotu kapitałów rozliczne zawody otworem stoją. Nie można przeto nie zachęcać tych, co zebrali już jakowe sumy, ażeby szukali w ich obrocie korzyści dla siebie większych, a dla kraju pożądanyszcz. Niech więc ci tylko składają do towarzystwa oszczędności swe fundusze, których siły zbyt jeszcze są szczupłe, aby mogli puszczać się w zawód przemysłowy”⁸⁶.

Apel ten jest znamienity. Epoka narodzin kapitalizmu w Królestwie Polskim, podobnie jak i w innych krajach, stwarzała wielki głód pieniądza, środka niezbędnego do wszelkich inwestycji tak w rolnictwie, jak i w przemyśle. Intencją autora przytoczonej notatki było skłonienie właścicieli kapitałów do angażowania się w działalność przemysłową. Pragnął nakłonić posiadaczy niewielkich nawet sum, aby przystępowali jako udziałowcy do różnych spółek i zrzeczeń przemysłowych. Zwracał uwagę na to, że nie należy ograniczać się tylko do obrotu pieniędzmi, że jeszcze daleko do czasów, gdy same tylko procenty od posiadanych kapitałów zapewnią dostateczne dochody. Istotnie, dopiero ostatnie dziesięciolecie XIX w. doprowadzą do powstania kategorii rentierów, którzy żyć będą z procentów od kapitału ulokowanego w zyskownych interesach.

Już więc samo angażowanie własnych środków w przemysł było wówczas zjawiskiem pozytywnym. Zakładanie manufaktur i fabryk przyczyniało się do wzrostu produkcji przemysłowej, do udostępnienia jej wytworów szerszym kręgom odbiorców. Przemysł dawał zatrudnienie rzeszom zbiedniałych rzemieślników i chłopów. Kapitał, przekształcając się z handlowego w przemysłowy, znajdował znacznie szersze pole działania, co wpływało pobudzająco na rozwój gospodarczy kraju.

Kapitał jednak włożony w przedsiębiorstwo przemysłowe amortyzował się bardzo powoli. Zjawisko to powodowało zapotrzebowanie na kredyt w każdej postaci.

W tych warunkach rozwijający się kapitalizm potrzebował zna-

cznej pomocy państwa, a ściślej rzecz biorąc, finansowego i organizacyjnego poparcia centralnych instytucji państwowych. Wyrażało się ono w udzielaniu kredytów, zapomóg i innych świadczeń materialnych dla działających w przemyśle, handlu i rolnictwie rzutkich i przedsiębiorczych burżua oraz przedstawicieli ziemiaństwa. W podobny sposób rodził się kapitalizm w sąsiednich krajach, takich jak Prusy czy Rosja. W Królestwie Polskim jednakże znaczenie instytucji państwowych było większe niż gdzie indziej, tym bardziej że brak niepodległości i eksploatacyjna polityka gospodarcza władz zaborczych w ogóle utrudniały proces kapitalizacji. Bank Polski zatem odegrał niewątpliwie pozytywną rolę jako czynnik państwowy organizujący i finansujący inwestycje przemysłowe bądź pod własną firmą, bądź udzielając kredytu prywatnym przedsiębiorcom.

Instytucję tę powołano do życia w 1828 r. staraniem księcia Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, ministra skarbu Królestwa Polskiego.

W ukazie carskim wydanym w Petersburgu 29 stycznia 1828 r. czytamy: „Z Bożej Łaski My Mikołaj I, Cesarz Wszechrosji, Król Polski. W mieście Naszym stołecznym Warszawie ustanawiamy Bank pod nazwiskiem Banku Polskiego, którego celem być ma: zaspokojenie długu publicznego tudzież rozszerzenie handlu, kredytu i przemysłu narodowego”.

Minister Lubecki zrealizował swój plan utworzenia drugiej obok Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego naczelnej instytucji kredytowej do finansowania działalności gospodarczej w handlu, przemyśle i rolnictwie w Królestwie. Bank Polski, hojnie wyposażony w fundusze, związał się nierozzerwalnie z wszystkimi ważniejszymi wydarzeniami gospodarczymi zachodzącymi w kraju, stanowiąc podporę sfer burżuazyjno-ziemiańskich w ich kapitalistycznej działalności.

Bank Polski mieścił się w wybudowanym wcześniej na jego siedzibę okazałym gmachu przy zbiegu ulic Senatorskiej i Elektoralfnej.* Tam przetrwał do likwidacji w 1886 r.

* Dziś w gmachu tym, przy placu F. Dzierżyńskiego 1, mieści się Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego.

Na czele nowo utworzonej instytucji stanęła dyrekcja złożona z pięciu członków. Na stanowisko prezesa powołano hrabiego Ludwika Jelskiego, byłego oficera napoleońskiego i byłego zastępcę ministra skarbu. Według opinii współczesnych miał on dobre fachowe przygotowanie. Wiceprezesem Banku Polskiego mianował Lubecki prawnika Józefa Lubowidzkiego, sędziego sądu najwyższego w Królestwie, tzw. Trybunału Najwyższej Instancji. Dyrektorami poszczególnych wydziałów zostali: Ignacy Bolesta, Paweł Gluszyński i hrabia Henryk Łubieński. Po klęsce powstania listopadowego miejsce hrabiego Jelskiego, który przebywał na emigracji, zajął Józef Lubowidzki, a stanowisko wiceprezesa objął Henryk Łubieński.

O kierownictwie Banku Polskiego pisał współczesny obserwator Lipiński: „Ostatni z nich [Henryk Łubieński] ma najwięcej wiadomości w tej gałęzi, jest wielkim spekulantem, głowa otwarta, biegły w czynnościach pieniężnych itd., lecz co inni, to muszą się dopiero uczyć tego nowego rzemiosła[...]”⁸⁷.

W dniu 6 maja 1828 r., po skompletowaniu personelu urzędniczego, w wielkiej sali Banku Polskiego odbyło się uroczyste otwarcie tej instytucji. Po krótkim zagajeniu ministra Lubeckiego i odczytaniu aktu cesarskiego pracownicy Banku złożyli przysięgę według tekstu odczytanego przez Lubeckiego. Uroczystość zakończyło okolicznościowe przemówienie prezesa, hrabiego Jelskiego.

Członkowie dyrekcji Banku mieli bardzo wysokie pensje. Prezes otrzymywał 25 tys. złotych polskich rocznie, wiceprezes 20 tys., a trzech dyrektorzy po 15 tys. Było to bardzo dużo, zwłaszcza jeśli się zważy, że w żadnej innej instytucji państwowej tyle nie zarabiano. Uposażenie pana Józefa dwukrotnie przewyższało jego pensję na poprzednim stanowisku w Trybunale.

W trzy tygodnie po otwarciu instytucji, 27 maja, nastąpiło wprowadzenie sześciu radców handlowych Banku Polskiego wybranych przez Zgromadzenie Kupców Warszawskich. Funkcje ich przewidziano jako honorowe, zgodnie zaś z *Ustawą o Banku Polskim* — co dwa lata miało się zmieniać trzech radców. Wybrano ich spośród najzamożniejszych kupców i przemysłowców stolicy; byli to: Wojciech Sommer, Henryk Velthuzen, Karol Scholtz,

Ferdynand Sturm, Samuel Fraenkel i Tomasz Evans. Niektórych poznaliśmy już jako współzałożycieli Resursy Kupieckiej.

W wielkiej sali bankowej licznie zgromadziła się publiczność reprezentująca sfery majątnego mieszczaństwa warszawskiego, do której przemówił prezes Banku hrabia Jelski: „Wybór współkolegów waszych dowodzi, że wybierający przeniknieni byli całą ważnością *Ustawy*, dającej im bezpośredni udział w czynnościach instytucji, w znacznej części dla handlu i przemysłu poświęconej. Do was więc należeć będzie odpowiedzieć oczekiwaniom króla, potrzebom instytucji i zaufaniu współkolegów, oświecać Bank z otwartością we wszystkim, co by waszego potrzebowało światła, oświecać współkolegów waszych o czystości zamiarów, których macie być świadkami [...]”¹⁸⁸.

Jak głosiła między innymi *Ustawa o Banku Polskim* „Główne czynności Banku być mają: wypłata dochodu stałego i jego umorzenie. Przyjmowanie depozytów tudzież sum dla przekazów lub na procent od rządu, instytucji i osób prywatnych. obroty funduszów bankowych na wzrost handlu, ustalenie kredytu i rozkrzewienie przemysłu narodowego”¹⁸⁹. *Ustawa* określała także szczegółowo zakres tych czynności; należały do nich: udzielanie pożyczek dla Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, nabywanie i zbywanie papierów publicznych, skupowanie weksli, udzielanie pożyczek pod zastaw papierów publicznych, płodów rolniczych, wyrobów, kosztowności oraz pożyczki dla zakładów przemysłowych w kraju. Aby realizować te zamierzenia, Bank Polski został upoważniony do wypuszczania biletów bankowych i tzw. kasowych, jako środków płatniczych wymienianych w Banku na gotówkę, do wysokości funduszów stanowiących uposażenie Banku Polskiego.

Wszystkie te postanowienia czyniły Bank centralną instytucją państwową, której zadaniem było sprawowanie opieki nad życiem gospodarczym Królestwa Polskiego. Nic więc dziwnego, że przeszedł on do historii Polski XIX stulecia jako instytucja o doniosłej wadze. Dlatego również przeszły do historii nazwiska twórcy oraz kierowników Banku Polskiego, a szczególnie Józefa Lubowidzkiego i Henryka Łubieńskiego.

Bank Polski w swej działalności kredytowo-zapomogowej kierował się z góry przyjętymi wytycznymi. Udzielał pożyczek prze-

de wszystkim właścicielom przędzalni i tkalni, właścicielom fabryk maszyn i wyrobów metalowych, dużych garbarni, zakładów drukarskich, cukrowni, papierni, hut żelaznych i szklanych, browarów porteru, kopalni ołowiu, fabryk fajansu, porcelany i kryształów. Odmawiano natomiast pożyczek fabrykom wyrobów grzebiennarskich i z brązu, mydlarniom, gorzelniom, olejarniom, wytwórniom likierów, octu, wapna, kwiatów sztucznych itd.

Widzimy więc, że Bank Polski prowadził świadomą politykę protekcyjną w stosunku do podstawowych gałęzi przemysłu, czyli do zakładów produkujących środki produkcji, oraz do tych dziedzin wytwórczości, które wówczas zaczynały się dopiero rozwijać, jak na przykład cukrownictwo i przemysł włókienniczy.

Bank udzielał pożyczek krótko- lub długoterminowych. Były one oprocentowane i musiały mieć zabezpieczenie w postaci zastawu bądź hipoteki. Sumy jednakże, które na ów cel Bank przeznaczał, nie mogły zaspokoić wielkiego zapotrzebowania na kredyt i trafiały tylko do nielicznej garstki uprzywilejowanych. Dawało to pole do rozmaitych nadużyć i faworyzowania pewnych grup burżuazji.

W takiej sytuacji o wiele większe znaczenie miały inne formy działalności Banku. Szczególnie w okresie po 1831 r. instytucja ta realizowała wielki plan inwestycji przemysłowych na terenie Królestwa, finansowanych z funduszków skarbowych. Wiele spośród nowo zbudowanych zakładów przekazywano następnie w ręce prywatnych przedsiębiorców na dogodnych warunkach spłat. Była to najczęściej spotykana wówczas forma dotacji państwowej na rzecz prywatnego kapitału. Przy okazji pojedynczy przemysłowcy, kupcy, bankierzy i dostawcy materiałów robili wielkie majątki.

Funduszy na uposażenie Banku Polskiego dostarczał skarb państwa, czerpiący je w drodze sprawnie zorganizowanego systemu podatków bezpośrednich i pośrednich. Dochody skarbu z tego tytułu osiągnęły w 1830 r. prawie 90 milionów złotych polskich, z czego 23,3⁰% stanowiły podatki bezpośrednie, a 56,3⁰% podatki pośrednie, uzyskiwane z monopolu solnego i tabacznego oraz ze sprzedaży wódki. „Fiksalizm Lubeckiego był środkiem drakońskim, a po części (gdy idzie np. o zwyczaj cen soli) społecznie szkodliwym. Państwo utrzymywało się w gruncie rzeczy kosztem

rosnącej nędzy chłopskiej⁹⁰ — pisał o polityce skarbowej w Królestwie Polskim znany historyk Stefan Kieniewicz.

Szerokie rzesze ludności wiejskiej i miejskiej dostarczały środków, które trafiały do kieszeni ziemian, korzystających z kredytów Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, oraz przemysłowców, bankierów i kupców działających w oparciu o Bank Polski. Tę swoistego rodzaju pompę ssąco-tłoczącą, uruchomioną przez państwo, udoskonalilo po upadku powstania listopadowego ówczesne kierownictwo Banku. W ten sposób polityka finansowa państwa prowadziła do wytworzenia się cieplarnianych warunków dla bardziej przedsiębiorczych grup ziemiaństwa i burżuazji. Gdybyśmy zbadali przebieg działalności wielu wybitnych przemysłowców i handlowców w omawianym okresie, przekonaliśmy się o ich bliskich powiązaniach z instytucjami finansowymi Królestwa. Pod opiekuńczymi skrzydłami Banku Polskiego wyrastały ogromne fortuny potentatów przemysłowych, a wśród nich Piotra Steinkellera, Łubieńskich, Maurycego Koniara, Kronenbergów i wielu innych.

Mimo że Józef Lubowidzki przez cały czas swego urzędowania był zwierzchnikiem hrabiego Henryka Łubieńskiego, znacznie trudniej przychodzi dziś odtworzyć działalność prezesa Banku niż jego podwładnego. Pozostał on bowiem w cieniu rzutkiego i silnego swymi koligacjami rodzinnymi pana Henryka, któremu należy przyznać dominującą rolę w tym duecie. Nie znaczy to jednak, byśmy chcieli pomniejszyć zakres funkcji i rzeczywisty krąg oddziaływania Lubowidzkiego. Ekspozowane stanowisko kierownika Banku Polskiego w latach największej autonomii i najrozleglejszej działalności gospodarczej tej instytucji, związało pana Józefa z wszystkimi ważniejszymi wydarzeniami owych lat. Był ponoć Lubowidzki więcej politykiem niż finansistą, co również określa jego pozycję w tej poważnej instytucji finansowej Królestwa Polskiego.⁹¹

Józef Lubowidzki urodził się 23 marca 1788 r. Wykształcenie zdobył w dziedzinie prawa i filozofii. W latach 1810—25 przeszedł wszystkie szczeble kariery prawniczej w aparacie sądowym najpierw Księstwa Warszawskiego, a później Królestwa Polskiego. Od aplikanta przez stanowisko asesora, a następnie podprokuratora i prokuratora Trybunału Województwa Mazowiec-

kiego, doszedł Lubowidzki w 1825 r. do godności prezesa Sądu Kryminalnego w województwie płockim i augustowskim, i wreszcie został sędzią Trybunału Najwyższej Instancji.

O swym wejściu do władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, utworzonego przez Lubeckiego w 1825 r., opowiada następująco: „Przypadkiem, zupełnym przypadkiem, bo jedynie w skutku spotkania się z niektórymi znajomymi, wszedłem na salę obrad obywateli województwa mazowieckiego, zbierających się dla dopełnienia wyborów do władz Towarzystwa Kredytowego, uchwałą sejmową z r. 1825 zaprowadzonego i tam nadspodziewanie obrany zostałem członkiem Dyrekcji Głównej”. W Towarzystwie Kredytowym zetknął się Lubowidzki bliżej z braćmi Łubieńskimi — Henrykiem i Tomaszem. „Wszyscy trzej — powie on potem — należeliśmy do komitetu mającego rozwinąć ustawę o Towarzystwie Kredytowym przez szczegółowe urządzenia władz prawem postanowionych, ich stosunków między sobą i sposobu postępowania [...]”⁹². Tak nastąpiło włączenie się dotychczasowego sędziego w działalność ministra Lubeckiego na polu organizacji kredytu i finansów w Królestwie.

Współ z hrabią Henrykiem Łubieńskim brał udział w opracowaniu projektu utworzenia Banku Polskiego, a następnie został jego wiceprezesem z tytułem radcy stanu. Oto relacja Lubowidzkiego w związku z objęciem nowej funkcji: „Miałem urząd w hierarchii sądowej najznakomitszy, dożywotni, nie obarczający nadzwyczajną pracą [...] Obawiałem się więc wejść w urzędowanie zawodowi mojemu obce, gdzie wiedziałem, że mnie czeka nadzwyczajna praca i gdzie mimo najszczerzych chęci łatwo na odpowiedzialność narazić się mogę [...] Wyznam, iż na decyzję moją nie była bez wpływu wiadomość o doborze osób Bank składać mających i że do ich liczby należy hr. Henryk Łubieński, którego przy pracach w Towarzystwie Kredytowym, jako też w późniejszych u księcia ministra skarbu stosunkach poznałem bliżej wysokie zdolności, niez mordowaną pracowitość i poświęcenie się przyjętym obowiązkom”⁹³. To uznanie dla zdolności hrabiego Henryka przebijać będzie odtąd stale w wypowiedziach Lubowidzkiego, choć ich wzajemne stosunki dalekie były od przyjaźni.

Decydujący wpływ na mianowanie pana Józefa wiceprezesem Banku Polskiego wywarła okoliczność, iż był on człowiekiem, który na tym stanowisku bardzo odpowiadał personalnej polityce księcia Lubeckiego. W młodości członek Towarzystwa Wolnomularskiego, podobno radykalnych nawet przekonań, obecnie związał się z tym kierunkiem polityki, który reprezentował sam książę minister. Nie posiadając większego majątku dbał Lubowidzki o to, by znaleźć się jak najbliżej ludzi stojących na świeczniku. Lojalny wobec władz zaborczych, uległy wobec Lubeckiego, był dla ministra wygodnym człowiekiem i zyskał jego poparcie.

Znamienny jest wybór pana Józefa na marszałka izby poselskiej Królestwa Polskiego w maju 1830 r. i rola, jaką odegrał na tym stanowisku. Zaledwie od roku był deputowanym na sejm z terenu miasta Warszawy, gdy dzięki protekcji Lubeckiego został marszałkiem sejmu. „Posłowie są nader nieukontentowani z wyboru marszałka — zanotował w pamiętniku Tymoteusz Lipiński — a zagorzalsi naradzają się, jakim by sposobem usunąć jego nominacją. Jakoż wykryli, iż miał on dwie sprawy kryminalne; układają przeto przedłożenie w tym celu i zbierają podpisy; ale to wszystko już za późno, gdyż należało to uczynić wprzód i oskarżyć go jako posła. Co najwięcej ich oburza, to, że jest sługą rządowym i bratem wiceprezydenta policji [...] Minister skarbu najwięcej wpłynął na jego wybór: jego jest staraniem, aby miał w marszałku podwładnego i takiego, który by potrafił go bronić, jeśli co wyniknie w przedmiocie skarbu itp.”⁹⁴. Nie dysponujemy żadnymi materiałami, które potwierdzałyby wysunięty tu zarzut o dochodzeniach kryminalnych przeciwko Lubowidzkiemu. Nie sądzimy nawet, by była to prawda.

Oburzenie posłów, a przynajmniej ich znacznej części, miało jednak wkrótce ustąpić miejsca uznaniu dla pana Józefa. Oportunizm życiowy nie był właściwością tylko jego charakteru. Obawiano się narazić wszechwładnemu księciu ministrowi, a ponadto nowo wybrany marszałek sejmu umiał zjednywać sobie ludzi. Szereg przyjęć wydanych przez Lubowidzkiego w salach Ratusza, udział w uroczystych obiadach i balach na Zamku, uświetnionych przez cesarską parę małżeńską — wszystko to przyczyniło się do umocnienia jego pozycji.

W czasie obrad sejmu obecni byli na sali urzędnicy policji carskiej, co ogromnie jątrzyło posłów. Nowy marszałek niewiele zrobił, by zmienić istniejący stan rzeczy. Nie obyło się więc bez krytycznych uwag skierowanych do Lubowidzkiego w związku z tolerowaniem przez niego tych tzw. arbitrów. „Posłowie mimo przemówek na posiedzeniach izby — relacjonował Lipiński — są w najlepszej harmonii z marszałkiem, którego powszechnie zowią Fortunatem. Codziennie jeśli nie obiady, to wieczory bywają u marszałka, uczęszcza na nie minister skarbu, a rozebrawszy się wraz z innymi, fajkę pali, je lody, wino popija i ciągle barszkuje. Umie im potakiwać, broni skarbowość i siebie, słowem, że nader zręcznie postępuje z posłami [...]”⁹⁵

Nazwanie świeżo upieczonego marszałka izby poselskiej Fortunatem stanowiło złośliwy przytyk do jego szybkiej kariery politycznej. W niezwykle popularnym wówczas wodewilu Józefa Damsego pod tytułem *Chłop milionowy*, wystawianym w teatrach warszawskich od 1828 r., głównym bohaterem był wzbogacony chłop Fortunat. Bogactwo i powodzenie przewróciły mu w głowie: zaczął naśladować maniery ludzi z arystokracji. W wodewilu tym aktor Nowakowski, występując w roli znanego w ówczesnej Warszawie handlarza miotełek, śpiewał kuplety wyśmiewające maniery Fortunata. Kuplety zrobiły furorę. Śpiewano je i parafrazowano na wiele sposobów, wprowadzano do tekstu akcenty polityczne i aluzje pod adresem wielu dygnitarzy. Oto urywek, który zapewne autor cytowanego pamiętnika chciał odnieść do kariery pana Józefa:

„Oj, to mi panek, to!
Brylanty zdobią go,
A nie ma kilku lat,
Jak było pełno lat...
Jest pałac i są wsie,
Lecz gdzie sumienie? Gdzie?
Hej! Hej! Miotelki mam,
Dla pana darmo dam!
Miotły! Miotelki!...
Któż wali w konie tam?
Zda mi się, że go znam...
Lecz ten bogaty strój...
To dawny lokaj mój!

Precz stąd, za powóz w tył!
Bo będę miotłą bił!
Co lokaj, to nie pan.
Niech każdy zna swój stan!
Miotły! Mioteki!”

„Marszałek sejmu dawał bal w salach ratuszowych [23 czerwca 1830 r.]. Cesarz rozpoczął polonezem z ministrową Mostowską, która była uproszoną na gospodynię; w drugiej parze postępowiała cesarzowa z marszałkiem sejmu. W tej zaś chwili rodzony brat naszego Fortunata, wiceprezydent policji [Mateusz Lubowidzki], lubo jaśniej na nim gwiazda św. Stanisława, uwijał się na koniu po ulicach, dostrzegając porządku w zajeżdżaniu powozów i ucieając się ze stangretami. Co za ostateczność na tym bożym świecie”⁹⁶ — pisał z ubolewaniem ten sam pamiętnikarz. Jak widzimy obaj bracia gorliwie służyli władzom carskim.

Obrady ostatniego sejmu przedpowstaniowego dobiegły końca w dniu 28 czerwca. Uświetniło je zamykające przemówienie cara Mikołaja, zadowolonego z przebiegu debat. Lipiński, który początkowo tak niepochlebnie wyrażał się o Lubowidzkim, zmienił widać zdanie o nim, skoro w związku z zakończeniem obrad zanotował: „wszyscy członkowie izby wynurzyli uczucia szacunku i przyjaźni marszałkowi za przewodniczenie, który swoim postępowaniem zyskał powszechną ich miłość i zaufanie. Znaczna liczba posłów odprowadziła go nawet do pomieszkania. Jest to pierwszy marszałek terażniejszych sejmów, który potrafił ująć serca współpracowników; w istocie, z wielką flegmą i taktem postępował”⁹⁷. W dowód uznania otrzymał Lubowidzki w kilka dni później wysokie odznaczenie — order św. Stanisława I klasy, wręczony mu osobiście przez cara Mikołaja I. A więc już przed powstaniem listopadowym kariera pana Józefa zdawała się być mocno ugruntowana.

Dzięki owym wydarzeniom stał się Józef Lubowidzki osobistością nader popularną w ówczesnych sferach politycznych kraju, znaną ze swego lojalnego stanowiska wobec carskiej Rosji i jej wielkorządców w Warszawie. Postawa, jaką przyjął w okresie powstania listopadowego, utwierdziła o nim opinię jako o człowieku dalekim od jakiegokolwiek przeciwstawiania się zaborcy.



Bank Polski

Litografia Banku Polskiego wg rysunku A. Łąckiej 1834 r., Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. H. Romanowski



Ksawery Drucki-Lubecki

Litografia W. Sliwickiego, Muzeum Narodowe w Warszawie

Te są warunki, które strony umó-
wiły, a które i wyżej wyłożone
mi mieć chcą, i wykonują obowiąz-
ają się.

Działo się, w Warszawie w pomie-
skhanins J. Kosceckiego dnia Pierw-
szego Maja Tysiąc Winstu Tysy-
nastego

Odziesiątego Piątego roku, na co się
Koszaniński po przeczytaniu i
przyjęciu w przytomności świadków
każdem podpisał wraz J. Henry-
kiem Grabiem Lubińskim, Władysławem Stę-
pą, Vice Prezesem Banku Polskiego, J. Ja-
nem Świątkiem Borakowskim, Grzego-
rzem Adam, Całokłosem Tomkiewiczem
Wydziału Sprawiedliwości, na świadków
wzwołanymi, i Władysławem Osadowskim.

J. Koscecki
Cecylia Koscecka
Fr. Ksawery Koscecki
Zofia Koscecka
Henryk Lubiński
Władysław Stępa
J. Jan Świątek
Grzegorz Adam
Całokłose Tomkiewicz
Osadowski

Fotokopia 7 strony interczy przedślubnej Józefa Lubowidzkiego i Cecylii Kosceckiej. (Na akcie widnieją podpisy rodziców panny młodej: Fr. Ksawerey Kosceckiego i Zofii Kosceckiej oraz świadka hrabiego Henryka Lubińskiego)
Archiwum Państwowe m. st. Warszawy

Pozycję pana Józefa umacniała działalność jego brata Mateusza, który jako wiceprezydent miasta Warszawy z funkcją naczelnika policji wykonawczej zaskarbił sobie wdzięczność władz carskich. Jednocześnie należał on do osób najbardziej znienawidzonych przez młodzież patriotyczną i cały lud warszawski. Ten właśnie naczelnik policji stołecznej, którego podwładnych przekupki nazywały pogardliwie „salcesonami”, bliski zaufany wysoko postawionych osobistości ze sfer rządowych, uprzedził wielkiego księcia Konstantego o zamachu na Belweder i wieczorem 29 listopada 1830 r. został tam raniony dotkliwie przez spiskowców. Uratowanie życia Mateusz Lubowidzki zawdzięczał swemu bratu i Henrykowi Łubieńskiemu, który osobiście wykradł ranego ze szpitala belwederskiego i zorganizował wywiezienie go za granicę. Wieść o tym wywołała wzburzenie w sferach powstańczych, zwłaszcza wśród rewolucyjnie nastrojonego ludu warszawskiego, który domagał się ukarania współników znienawidzonego wiceprezydenta miasta. Wówczas szlacheckie kierownictwo powstania przyszło z pomocą panu Józefowi i hrabiemu Henrykowi, wydając nakaz aresztowania ich. Z relacji syna hrabiego Henryka wynika, że „[...] nie chodziło wcale o zabezpieczenie wymiaru sprawiedliwości przeciwko jakimś przestępcom, ale właśnie o zabezpieczenie tych niewinnych osób od możliwych nieprzyjemności i gwałtów [...] Takie oficjalne zaareztowanie Józefa Lubowidzkiego i Henryka Łubieńskiego zamknęło chwilowo usta klubom i gazeciarzom [...]”⁹⁸

Szczęśliwie przetrwał nasz bohater burzliwe miesiące powstania listopadowego. Do końca pozostał lojalny wobec zaborcy. Po wyjeździe za granicę prezesa Banku, hrabiego Jelskiego, stał się wraz z hrabią Henrykiem faktycznym dysponentem funduszy bankowych. Jego zasługi zostały niebawem nagrodzone — Józef Lubowidzki otrzymał nominację na prezesa Banku Polskiego. Podczas procesu w 1848 r. pan Józef przypomniał sędziom o swej wierności względem caratu w czasie powstania: „Po wejściu wojsk cesarskich do Warszawy w miesiącu wrześniu 1831 r. pierwszy byłem z urzędników cywilnych, którzy się przedstawili przybyłemu do tej stolicy j. c. w. wielkiemu księciu Michałowi, a następnie za przybyciem j. o. księcia feldmarszałka [Paskiewicza] przedstawiony mu zostałem przez wojennego gubernatora miasta

Warszawy generała Witta. Złożyłem wówczas j. o. księciu raport o stanie Banku i funduszach, jakie uratować zdołaliśmy [...] Już w listopadzie 1831 r. otrzymałem od Rządu Tymczasowego Królestwa nominację na następcę prezesa Banku, hr. Łubieński na wiceprezesa [...] Najjaśniejszy pan na początku stycznia 1832 r. raczył nam udzielić nominacje na te stopnie. Z tym zaszczytnym dowodem zaufania rozpoczęliśmy rok 1832, w którym zaraz ogromne prace nas czekały [...]”⁹⁹ Nie ulega wątpliwości, że zarówno obaj bracia Lubowidzcy, jak również hrabiowie Łubieńscy zasłużyli sobie na względy cara Mikołaja I i jego namiestnika księcia Paszkiewicza. Kariera urzędowa i majątkowa obu rodzin została oparta po 1831 r. na ścisłych powiązaniach z Bankiem Polskim.

Mimo braku dostatecznej ilości przekazów źródłowych pozwalających skreślić pełną biografię pana Józefa, pewne szczegóły z jego życia osobistego dają się wyjaśnić w oparciu o akta notariatu warszawskiego oraz księgi parafialne miejskie. W tych ostatnich znalazł się dokument godny przytoczenia. Jest to akt ślubu naszego bohatera z roku 1835, tak długo bowiem wytrwał pan Józef w stanie kawalerskim. Oto tekst:

„Działo się w Warszawie dnia 16 miesiąca maja 1835 roku o godzinie 7-ej wieczorem. — Wiadomo czynimy, że w przytomności świadków: Mateusza Lubowidzkiego, radcy stanu, dyrektora Wydziału Przemysłu i Handlu, kawalera orderów Świętej Anny i Świętego Stanisława klasy pierwszej, liczącego lat 45, brata rodzzonego zaślubionego, przy ulicy Elektoralnej pod liczbą 795, i Stanisława Kosseckiego, kamerjunkra* dworu Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, liczącego lat 21, brata rodzzonego zaślubionego, przy ulicy Długiej pod liczbą 591, obydwóch w Warszawie zamieszkałych, na dzień dzisiejszy zawarte zostało religijne i przez księdza Franciszka Pawłowskiego, biskupa koadiutora** diecezji płockiej (w obecności podpisanego jako proboszcza parafialnego) pobłogosławione małżeństwo między Józefem Lubowidzkim, kawalerem, radcą stanu, prezesem Banku Królestwa Polskiego, kawalerem orderów Świętej Anny, Świętego Stanisława pierwszej klasy i Królewsko-Pruskiego Orła Czerwonego drugiej klasy,

* Kamerjunkier — niższy szambelan dworu.

** Koadiutor — biskup tytularny pełniący pomocnicze funkcje przy biskupie rezydującym.

w mieście Warszawie przy ulicy Rymarskiej pod liczbą 744, w parafii Świętego Andrzeja od 1-go kwietnia roku bieżącego, a poprzednio przy ulicy Elektoralnej w tejże parafii zamieszkałym, urodzonym we wsi Dylewo, w województwie płockim, z niegdy Jana Lubowidzkiego, obywatela, właściciela dóbr, w mieście Rawie w województwie mazowieckim zmarłego i małżonki tegoż Marianny z Dzierżańskich, we wsi Szaniec, województwie krakowskim zamieszkałej, mającym lat 47; a Cecylią Pauliną Pelagią Kossecką, panną, córką Franciszka Ksawerego Kosseckiego, byłego generała lejtnanta, dyrektora głównego prezydującego w Komisji Rządowej Sprawiedliwości, i Zofii z Wisłockich, małżonków, w mieście Warszawie przy ulicy Długiej pod liczbą 591 zamieszkałych, zrodzoną w tymże mieście, mającą lat 16 niepełnych, przy rodzicach swoich, pod liczbą powyższą, w parafii tu-tejszej od lat trzech zamieszkałą [...]”¹⁰⁰

Zamiast komentarza przytoczymy dosadny urywek z cytowanych już przy innej okazji kupletów warszawskiego handlarza miotełek:

„Cóż to za stary grat?
Ma przeszło kopę lat,
I jemu jeszcze chcieć
Młodziutką, żonę mieć!
Wymokłeś już jak śledź...
Za piecem lepiej siedź!”

Choć małżeństwa zawierane przy dużej różnicy wieku nie były wówczas zjawiskiem wyjątkowym, zwłaszcza w sferach arystokratyczno-biurokratycznych oraz wśród burżuazji, nie sposób oprzeć się zdziwieniu. Czterdziestosiemioletni pan młody, dygnitarz będący u szczytu swojej kariery zawodowej, i niecałe 16 lat licząca dziewczyna związali się aktem małżeńskim przy pełnej aprobacie rodziców panny młodej.

Trzy dni przed zawarciem tego związku do mieszkania generała Kosseckiego przy ulicy Długiej przybył Jan Wincenty Bandtkie, który od 1808 r. prowadził kancelarię rejentalną przy ulicy Bielańskiej. W obecności świadków: hrabiego Henryka Łubieńskiego i Jana Kantego Borakowskiego, wyższego urzędnika z Komisji Rządowej Sprawiedliwości, jak również w obecności rodziców przyszłej małżonki oraz jej samej i pana Józefa spisano akt

umowy przedślubnej. Ustalono w nim, że Cecylia Kossecka wnie-
sie małżonkowi posag w łącznej wysokości 138 189 złotych pol-
skich, złożony u jej ojca generała Kosseckiego na 6 %, którego
wypłata nastąpi w nieokreślonym bliżej „czasie dla niego dogod-
nym”.¹⁰¹

O życiu osobistym małżonków niewiele możemy powiedzieć.
Zamieszkali w obszernym mieszkaniu Józefa Lubowidzkiego przy
ulicy Rymarskiej. Tam też przyszło na świat jedyne ich dziec-
ko — córka.

Trochę informacji o życiu rodziny przynoszą pamiętniki pana
Józefa z roku 1848. Zanim jednak ponownie podejmiemy ten wą-
tek, powróćmy do działalności gospodarczej Lubowidzkiego na
stanowisku prezesa Banku Polskiego.

W dziejach Banku dziesięciolecie 1832—42 zasługuje na szcze-
gólną uwagę. Bez wątpienia wiele zrobiono wówczas w dziedzinie
uprzemysłowienia Królestwa i rozwoju komunikacji. Dokończono
budowę sześciu głównych traktów, finansowaną przez Bank w for-
mie pożyczki 14 milionów złotych polskich. Były to trakty: kra-
kowski, lubelski, wołyńsko-śląski*, fabryczny**, gdański i uściług-
ski***. W 1837 r. zakończono trwające od 1823 r. prace nad budową
Kanału Augustowskiego. Bank Polski wspomagał kredytami To-
warzystwo Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i przedsię-
wzięcie karek kurierskich Piotra Steinkellera oraz popierał pró-
by uruchomienia żeglugi parowej na Wiśle. To wiele, jak na sam
tylko odcinek komunikacji.

W dziedzinie przemysłu również zrobiono bardzo dużo. Bank
Polski wybudował w latach 1833—38 w okolicach Dąbrowy Gór-
niczej słynną Hutę Bankową [dziś im. F. Dzierżyńskiego] i kiero-
wał tym najnowocześniejszym wówczas kombinatem hutniczym.
Stojąc za plecami Steinkellera popierał rozbudowę kopalń i hut
cynku oraz górnictwo i hutnictwo żelaza. Ponadto wspierał pie-
niędzmi skarbowymi rozwój przemysłu bawełnianego w regionie
łódzkim, lnianego w Żyrardowie, metalowego w Warszawie i Za-
głębiu Staropolskim.

* Trakt wołyńsko-śląski biegł przez Radom i Puławy.

** Trakt fabryczny łączył Łowicz z Kaliszem.

*** Trakt uściługski biegł przez Lublin, Chełm i Uściług (miasteczko po-
łożone przy ujściu rzeczki Ług do Bugu).

Bank Polski wydatkował na te cele olbrzymie sumy, których jednak znaczna część przeciekała do osób prywatnych. Według opinii współczesnych ludzi i późniejszych historyków — inwestycje, jakich dokonywał Bank, były bardzo kosztowne zarówno wskutek nieoszczędnego gospodarowania funduszami, jak i owych „przecieków” do kieszeni poszczególnych przedsiębiorców. Nic też dziwnego, że polityka finansowa Banku Polskiego była przedmiotem ostrej krytyki. Jednocześnie nie brakło opinii i sądów pozytywnych, a nawet apologetycznych, według których Bank Polski kierowany przez Lubeckiego (jako ministra skarbu Królestwa Polskiego), Lubowidzkiego i Łubieńskiego był główną ostoją postępu i rozwoju gospodarczego Królestwa w pierwszej połowie minionego stulecia.

Henryk Radziszewski opracował obszerną monografię Banku Polskiego, w której podkreślił znaczenie i zasługi tej instytucji. O roli Banku i organizatorskiej działalności jego kierowników wyrażał się z dużym uznaniem. Warto zwrócić uwagę na to, że burżuazja polska końca XIX oraz pierwszej połowy XX stulecia, w okresie swej dojrzałości politycznej, chętnie nawiązywała do tamtej epoki, a Bank Polski i jego twórcy stanowili dla niej symbol patriotyzmu i wzór chlubnej działalności gospodarczej.

Trudno wypowiedzieć jednoznaczny sąd na ten temat. Nie ulega wątpliwości, że w czasach gdy rodził się kapitalizm w Polsce takie instytucje państwowe jak Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i Bank Polski spełniały pozytywną rolę w ogólnym rozwoju gospodarczym kraju. Szczególnie trzeba to podkreślić, mając na uwadze tendencje zaborcy do znoszenia odrębności Królestwa. Tak się zresztą ułożyły losy Banku, że w miarę wzrostu tych tendencji rolę jego systematycznie ograniczano aż wreszcie w 1886 r. Bank zlikwidowano.

Sąd ten jednak nie wyczerpuje zagadnienia. Gdybyśmy go zostawili bez dalszych uzupełnień, afirmowalibyśmy jednocześnie ugodę polityczną z zaborcą, głoszoną i realizowaną przez ludzi kierujących życiem gospodarczym Królestwa w czasach paskiewiczowskich. Ugoda ta była równoznaczna z wrogim stosunkiem do ruchu narodowyzwolenczego, przeciwstawiała się zatem najbardziej żywotnym ideom niepodległościowym narodu. Zmienimy także zdanie o pionierach polskiego przemysłu, gdy przyj-

rzyśmy się machinacjom finansowym i nadużyciom przez nich dokonywanym. Według opinii Józefa Bossakowskiego, wyższego urzędnika Ministerstwa Finansów w Petersburgu, Bank Polski w latach 1833—43 utopił w samym tylko górnictwie i hutnictwie około 41 mln złotych polskich.¹⁰² Poważna część tej olbrzymiej sumy rozeszła się w formie różnych dotacji między poszczególnych przemysłowców, dostawców, dzierżawców rozmaitych robót przy obiektach przemysłowych Banku Polskiego. Hrabia Henryk Łubieński zapytany kiedyś o przyczyny tak olbrzymich kosztów inwestycji hutniczych Banku miał się wyrazić: „Co wam to szkodzi, miliony na kraj się rozchodzą, będziecie mieli fabryki i ludzi bogatych”.¹⁰³

W jednej z najnowszych prac z zakresu historii gospodarczej Królestwa Polskiego znajdujemy interesującą charakterystykę polityki inwestycyjnej Banku Polskiego w omawianych latach. „Najistotniejszy sens rządowej i bankowej polityki inwestycyjnej leży w tym, co człowiek tak kompetentny jak Lubowidzki nazywał »sprzymierzaniem się z kapitałem prywatnym« — z tym tylko drobnym zastrzeżeniem, że do sprzymierzenia tego kapitału prywatny wносił udział znacznie mniejszy, a wynosił bez porównania większy. Łubieński jest symbolem tego sprzymierzenia [...] reprezentuje, jak się wydaje, tylko trzy grupy interesów: swoje własne, swojej niezwykle solidarnej rodziny [...] i swojej klasy. Tak się już składało, że te trzy grupy interesów dawały się harmonijnie ze sobą godzić i że działając w imię któregośkolwiek z nich, działał zarazem na rzecz pozostałych.”¹⁰⁴

Interes osobisty, choć osłaniany frazesem o „pożytku powszechnym”, zarówno u Józefa Lubowidzkiego, jak u innych odgrywał rolę pierwszoplanową. Wystarczy przejrzeć spisy osób mających udziały w spółkach akcyjnych korzystających z protektoratu Banku. W Towarzystwie Zbożowym, w spółce żyrardowskiej czy w Towarzystwie Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej spotkamy obok siebie dwa nazwiska: pana Józefa i któregoś z braci Łubieńskich. Do jakiego majątku doszedł Lubowidzki, będąc u szczytu kariery, tego niestety się nie dowiemy, charakterystyczne bowiem jest dla stosunków w świecie kapitalistycznym, że wielu burżuazji nie ujawniają swych prawdziwych zysków.

W 1842 r., jak grom z jasnego nieba spadł na pana Józefa cios w postaci dymisji. W lakonicznie brzmiącym ukazie carskim z 11 października odczytujemy tylko, że: „Radca stanu Józef Lubowidzki, prezes Banku Polskiego, najmiłościwiej uwolniony zostaje od swych obowiązków”. Taką dymisję otrzymał też hrabia Henryk Łubieński. W następnym roku na zlecenie Paskiewicza wszczęto śledztwo w sprawie nadużyć w Banku Polskim. Oparło się ono na szeroko krążących pogłoskach o niewłaściwym postępowaniu kierownictwa, o zbyt „umiejętnym” łączeniu przez prezesa i wiceprezesa interesów państwowych z osobistymi.

Załamanie się polityki Banku miało również przyczyny natury ogólniejszej. Wchodził zapewne w grę antagonizm między burżuazją rosyjską i wyrazicielem jej interesów, ministrem finansów w Petersburgu Kankrinem, a kołami przemysłowo-finansowymi Królestwa, reprezentowanymi przez kierownictwo Banku Polskiego. Namiestnik Paskiewicz, od dawna nastrojony krytycznie wobec tej instytucji, zajął stanowisko wyczekujące.

Śledztwo przedłużało się znacznie i dopiero interwencje kół petersburskich oraz ciągłe donosy osób niechętnych dotychczasowej polityce Banku wpłynęły na jego przyspieszenie.

Dziwny to doprawdy był proces. Już sam fakt, iż śledztwo trwało od 1843 r. do połowy 1848 r., a obwinieni w tym czasie przebywali na wolności i pobierali pensje emerytalne z Banku, nie należy do zjawisk normalnych.

Trudno oddzielić akta sprawy Lubowidzkiego i Łubieńskiego. Obaj współpracownicy ściśle z sobą współpracowali i w wytoczonym procesie wysunięto przeciw nim w zasadzie te same zarzuty.

W oskarżeniu czytamy między innymi: „Komisja osobna głównie obwinia radcę stanu Henryka Łubieńskiego, jakoby tenże w kategoriach powyższych [chodzi o poszczególne zarzuty aktu oskarżenia] mniej lub więcej własnym interesem był połączony, albowiem objąwszy pod swe zawiadywanie górnictwo rządowe, nie mając w działaniu swoim rozciągniętego nadzoru i kontroli ze strony b. prezesa Banku, znalazł wszelką sposobność i łatwość dowolnego czerpania z tego źródła funduszków na swój własny lub połączonych z nim dłużników rachunek i ukrywania pod tytułami przybranych [...] Trudno byłoby pojąć, dlaczego sam Izraelita Cohen, nie mając ani kredytu ustalonego, ani wyższych znajo-

mości handlowych, mógł uzyskać kredyt w Banku przeszło milion rubli, gdyby tego postępowania nie wyjaśniała ta okoliczność, że hr. Łubieński był z rachunkami Cohena w najściślejszym związku, że wreszcie współzałożycielem zakładu żyrardowskiego, na którym tyle strat poniesiono, byli b. prezes i wiceprezes Banku Polskiego¹⁰⁵.

Jak wynika z akt procesu głównym podsądnym był hrabia Henryk. Pan Józef natomiast — choć nie uwolniony od podstawowego zarzutu czerpania korzyści materialnych z tytułu zajmowanego stanowiska — odpowiadał przede wszystkim jako bezpośredni zwierzchnik wiceprezesa, o którego niezbyt czystych przedsięwzięciach wiedział i które sankcjonował. O istocie machinacji kierowników Banku Polskiego piszemy w następnym szkicu, poświęconym rodzinie Łubieńskich.

Nie wdając się w szczegóły śledztwa, przejdźmy do perypetii Józefa Lubowidzkiego podczas procesu. Zachował się pamiętnik pana Józefa, spisany w formie krótkich notatek, codziennie od 15 stycznia do 31 grudnia 1848 r. Oddaje on wymownie stan uczuć byłego prezesa w dniach, kiedy decydowały się ostatecznie jego losy. Na kartkach pamiętnika znalazły się lakoniczne wzmianki o zamknięciu śledztwa, o przygotowywanej przez oskarżonych obronie i wreszcie o samym procesie, który trwał od maja do 27 lipca 1848 r., kiedy to zapadł wyrok.

W dniu 26 kwietnia Lubowidzki pisał: „Pan Henryk dał znać, żebym nie wychodził, gdyż przyjdzie do mnie. Myślałem sobie, tyle razy przynosił mi złe wiadomości, może teraz co dobrego powie. Przyszedł, ale z wiadomością najgorszą. Dano mu znać w nocy, że feldmarszałek pisał do Wyczechowskiego, aby sprawę przyspieszyć i zaraz po świętach sądzić, a wnioski przesłać mu do rozpatrzenia. Szczególna rzecz, gdy onegdaj byliśmy u Woronieckich, wyszedłem na balkon. Feldmarszałek przejeżdżał — ukloniłem mu się i on mnie. Żona nie była z tego kontenta i mówiła mi, po com wychodził. Mnie się to nic złego nie zdawało. Tymczasem może tym sposobem przypomniał sobie sprawę i kazał ją przyspieszyć. Cóż robić? Raz trzeba przez to przejść. Boże litościwy — racz nam przyjść w pomoc¹⁰⁶.”

W skład zespołu sędziowskiego rozpatrującego sprawę w Senacie weszli: generał Fenshawe, tajny radca Dymitriew, generał

Pogodin, Paschalski, Suchodolski, Kaliński, Dziedzicki, Wiesiołowski, Trzetrzewiński i Hoffman oraz przewodniczący — generał Kurnatowski i prokurator Brzeziński. Obrońcą Lubowidzkiego był mecenas Ludwik Zalewski, a Łubieńskiego — znany adwokat Aleksander Bryndza.

Na rozprawie odczytywano obfite akta śledztwa. Pan Józef denerwował się wszystkim niepomieranie; żył zresztą w atmosferze ciągłego strachu, co przebija wyraźnie z jego pamiętnika. W zapisku z niedzieli 21 maja czytamy o rozmowie odbytej z bratem Mateuszem: „[...] wymówiłem mu swój żal, że mnie w takiej potrzebie opuszcza, w niczym sprawie mojej nie dopomaga, kiedy ja go z niebezpieczeństwem życia w czasie rewolucji ratowałem [...]”¹⁰⁷ Chodziło o to, że Mateusz Lubowidzki wyjeżdżał z Warszawy za interesami wtedy, kiedy rozpoczynała się rozprawa sądowa. Pan Józef miał o to pretensje do brata, gdyż liczył na jego pomoc w obronie.

Obaj oskarżeni codziennie porozumiewali się bądź listownie, bądź osobiście i ustalali na bieżąco linię obrony. Równocześnie robili wszystko, aby wpłynąć na tok sprawy. Starali się najróżnorodniejszymi drogami dotrzeć do poszczególnych członków komisji śledczej, a później zespołu sędziowskiego. W piątek 26 maja Lubowidzki zanotował: „Powróciwszy do domu napisałem bilet do p. Henryka i do mego brata, posyłając mu zamieszkania [adresy] sędziów, a potem poszedłem do kościoła, do fary, podziękować Bogu za pociechę, którą zesłał [...] Staś [...] miał rozmowę z agentami od F[enshawa] i K[alińskiego], a jeden z nich ofiarował mu usługi swoje do Dm[Dymitriewa], inny znów do H[offmana]. To już prawie nadto [...] Pani Skarbek przysłała relację o widzeniu się z Wiesiołowskim. Ile z rozmowy ze mną i z Cesią [żoną pana Józefa] miarkować można, Wiesiołowski nie byłby nieprzychylny, ale widać, że się boi, bo oświadczył, że mnie przyjąć nie może. Przyszedł p. Henryk z wiadomością, że St[arynkiewicz] ma ochotę wmieszać się w ten interes, tylko nie wie jeszcze, do czego dąży, czy do komunikacji nam wniosków prokuratora, czyli do ich zmiany [...]”¹⁰⁸

Obaj podsądni próbowali przekupić łasych na brzęczące argumenty członków kompletu sędziowskiego. Pan Józef pisał o tym wprost w swym pamiętniku. Oto notatka z 18 czerwca: „Przed

obiadem był Staś z nieprzyjemną wiadomością, że jeden z Żydów denuncjował go do Abramowicza [oberpolicmajstra], że Fensza [Fenshawa] chciał przekupić w mojej sprawie. Z tego może się zrobić paszтет nieprzyjemny, jak się tego zawsze obawiałem¹⁰⁹. Nie przeszkodziło to dalszym zabiegom o protekcję.

Dziwne, że Lubowidzki mimo toczącego się procesu nadal pobierał pensję emerytalną i miał całkowitą swobodę ruchów. Pod datą 29 czerwca czytamy w pamiętniku: „[...] Spacer na drogę Jerozolimską. Spotkałem p. Henryka, idącego do Mitkiewicza. Mówił mi, że sędziowie Polacy między sobą mieli konferencję w naszej sprawie, że Kurnatowski ich straszy tym, iż książe [Paskiewicz] miał powiedzieć, że jeśli my nie winni, to on winien. Mimo tego jednak nie będą za karą hańbiącą, ale każdą inną surową wymierzają, to dla mnie zawsze nieszczęście, gdyż stracę pensję emerytalną¹¹⁰.

We wtorek 4 lipca pan Józef pisał: „[...] Wyszliśmy razem [z Henrykiem Łubieńskim] zobaczyć pogrzeb starego Rosena, który wczoraj umarł¹¹¹. Oskarżenia rzadko pokazywali się razem, a ich zainteresowania skupiały się wówczas niemal wyłącznie na zagadnieniach dotyczących procesu. Lecz zmarły związany był z kręgiem ludzi i spraw, wśród których obracali się obaj panowie. Był on zamożnym bankierem warszawskim, ojcem Mathiasa Rosena, bogacza i członka słynnej przed wybuchem powstania styczniowego Delegacji Miejskiej.

Wiadomości o próbach przekupienia sędziów przez Józefa Lubowidzkiego i Henryka Łubieńskiego dotarły podobno do samego Paskiewicza. Namiestnik, przynaglany przez zainteresowane sfery w Petersburgu do zakończenia procesu, wydał polecenie przyśpieszenia przewodu sądowego oraz wzięcia pod areszt domowy byłych dygnitarzy.

„O godzinie 3-iej w nocy — pisał Józef Lubowidzki w środe 5 lipca 1848 r. — obudzono mnie. Inspektor policji Gruss przyszedł oznajmić mi domowy areszt i zażądał ode mnie słowa, że nie będę z domu wychodził, a mimo tego zostawił straż z dwóch policjantów. Pytałem go o powód, powiedział mi, że nie wie, że i p. Henryka ma rozkaz podobnie aresztować [...] Wkrótce odebrałem list od p. Henryka, że powodem do naszego aresztowania ma być denuncjacja, że Fensza [Fenshawa] i Dymitriewa chcie-

liśmy ująć pieniędzmi. Woźny z sądu był, że nie będzie sesji [...] Staś [...] był u Abramowicza, lecz i ten powiedział, że nie wie powodów, lecz taki odebrał rozkaz od feldmarszałka [...] Koło 1-ej przyszedł Bogatko, komisarz policji, oznajmić, że mi będzie wolno wychodzić, gdzie zechcę, lecz z policjantem. Po 2-ej inny jeszcze urzędnik policji — Kawecki — przyniósł ten rozkaz i oznajmił go dozorczy policyjnemu, którego zostawił [...] Spacer z policjantem na drogę Jerozolimską i z powrotem przez Nowy Świat [...] Powodów aresztowania pewnych nie ma. To, co pan Henryk pisał, znane jest raczej domysłem. Panu Tomaszowi [Łubieńskiemu] ktoś mówił, że feldmarszałek onegdaj w swoim towarzystwie opowiadał, żeśmy chcieli ująć pieniędzmi Fensza i Dymitriewa, ale za tym nie idzie, aby to był powód aresztowania [...]”¹¹².

Następnego dnia Lubowidzki zanotował w związku z tą sprawą: „Tak pokutuje się za własne głupstwo albo raczej Pan Bóg słusznie za grzech karze”¹¹³. Groźba kary boskiej nie była chyba zbyt straszna dla ostentacyjnie pobożnych panów Józefa i Henryka, skoro nie zaniechali prób wpłynięcia na wynik procesu w drodze przekupstwa.

Cóż za sensację musiał wzbudzać wśród mieszkańców Warszawy widok sześćdziesięcioletniego dystygowanego przechodnia, ongiś marszałka sejmu Królestwa Polskiego, odbywającego spacer ulicami miasta w asyście policjanta. Pan Józef był dozorowany nawet w swej sypialni małżeńskiej, w której od 5 lipca stale przebywał specjalnie wyznaczony agent policji.

Proces dobiegał końca. Na nic się zdały próby przekupienia sędziów, którzy trzęśli się ze strachu przed wszechwładnym Paskiewiczem i chyba tylko dlatego nie pomogli oskarżonym.

W piątek 14 lipca pan Józef wygłosił w sądzie, a właściwie przeczytał, przygotowany drobniawo elaborat obrońcy. Oto relacja: „Odczytałem przymówienie się, ale na zdrowiu niedobrze się czuję. O zwykłej godzinie poszedłem na obiad. Do tego przyszło, że ta sprawa kończy się i sądzi. Zalewski kończył jeszcze moją obronę więcej jak pół godziny. Potem nastąpiły przymówienia się. Kurnatowski nie chciał nam dać czytać, bo istotnie przepisy nie pozwalają, aleśmy go przemogli, że zacząłem ustnie mówić, a potem coraz więcej w pismo zaglądać, tak że skończyłem bez przerwania mi, a potem i p. Henrykowi pozwolił czy-

tać. Moje przymówienie się dobrze się udało, przynajmniej czuję, że lepiej mi iść nie mogło. Bogu Najwyższemu dzięki za to, bo to była dla mnie chwila uroczysta i szedłem na sąd z wielką niespokojnością, że będę w stanie przebyć tę przykrą powinność, która była do spełnienia [...] Powróciwszy do domu z sądów, nie mając już nic do pisania, a nie czując się dobrze, położyłem się na kanapie i trochę drzemałem. Spacer na drogę Mokotowską z wstępem do Papy [teścia pana Józefa]"¹¹⁴.

Nie dziwny się nastrojowi przygnębienia, który przebija z zapisku Lubowidzkiego. Zbliżający się koniec procesu, niepewność losu i obawa przed hańbiącym wyrokiem powodowały ten stan.

Na zakończenie „przymówienia się” Lubowidzki zwrócił się do sędziów z apelem o wyrozumiałość: „Waszym jest teraz dziełem, dostojni sędziowie, oświecić rząd ścisłym wymiarem sprawiedliwości. Wygląda tego zasłużony urzędnik i obywatel, którego głos w różnych okolicznościach dobra kraju dotyczących słyszeliście wznoszony, a który w tej chwili ostatni raz zapewne publicznie przemawia. Głos, który on zanosił do tronu w imieniu kraju całego lub którym skłaniał posłańców narodu do przyjęcia woli monarchy, wnosi on teraz do was, abyście zasłonili od hańby i plamy nieskalane życie i w usłudze publicznej osiwiła głowę. Wyglądają tego stroskane nasze familie. Teść jednego nie dawno wam przewodniczył. Ojciec drugiego był nie tylko na czele sądownictwa, ale można powiedzieć, był sądownictwa założycielem. Obydwie familie liczą w gronie swoim zasłużonych mężów, którzy dzielą współubolewanie nad losem naszym. Usunięcie pozory i wszelkiego rodzaju potwarcze wieści, roznoszone dla utrudnienia naszego położenia, nie dajcie się uwieść żadnym względom ludzkim, a wydając sprawiedliwy wyrok wróćcie na ostatnie chwile życia spokojność ludziom, którzy już od sześciu lat znoszą poniżenie i różnego rodzaju cierpienia i boleści. W Bogu i w was sędziowie nasza ufność”¹¹⁵.

Nic jednak nie było w stanie uchronić byłego prezesa od kary. W cztery dni po opisanych wydarzeniach ze zgrozą i wzburzeniem notował: „[...] Konkluzja — pięć lat ciężkiego więzienia. Czy też rzecz słychana? Jeszcze to nie wyrok, ale w położeniu rzeczy jak są, prawie jak wyrok. Niech się dzieje wola boska. Bóg nas raczy wybawić, i w sposób, jak zechce. Rozeszliśmy się smut-

ni. Papa się zmartwił mocno. Jestem tak odurzony, że nie czuję bóleści, lecz jakąś obojętność. Zdaje mi się, że to sen. Wróciłem do domu, powiedziałem Cesi otwarcie, jak rzeczy stoją. Zmartwiła się, ale i ona jeszcze nie czuje, co to za skutki z tego wyniknąć mogą. Obiad w domu z Bocheńskim i Filipiną [Woyda]. Spacer z Bocheńskim na drogę Jerozolimską. Spotkaliśmy się z Brzezińskim [prokuratorem], nawzajem byliśmy zaambarasowani, nie śmieliśmy się sobie ukłonić [...]"¹¹⁶

Proces dobiegał więc końca. Pod datą 23 lipca znajdujemy w zapiskach pana Józefa znamiennej wzmiankę: „Nieszczęście moje tyle mi dobrego przyniosło, że mnie zwróciło na drogę religii, za co Bogu najwyższemu niech będą dzięki [...]"¹¹⁷ Tak oto na starość, pod groźbą więzienia były dygnitarz, orientacji libertyńskiej, mason z czasów Księstwa i pierwszych lat Królestwa, rzekomo nawet — jak twierdzi Radziszewski — człowiek o radykalnych niegdyś poglądach, szukał pocieszenia w praktykach religijnych.

W czwartek 27 lipca zapadł ostatecznie wyrok w sprawie obu kierowników Banku Polskiego. Orzekł on 4 lata ciężkiego więzienia dla każdego z podsądnych. Oto jego tekst: „Dziesiąty Departament Rządzącego Senatu Józefa Lubowidzkiego, radcę stanu, byłego prezesa Banku Polskiego, Henryka hr. Łubińskiego, radcę stanu, byłego wiceprezesa tegoż Banku, za nadużycie władzy w urzędzie [...] na karę więzienia ciężkiego po lat cztery z wszelkimi skutkami do kary tej przywiązany, na utratę szlachectwa i innych zaszczytów osobistych, tudzież na solidarne wynagrodzenie szkód Bankowi zrządzonych skazuje, a po odcierpianej karze pod dozór policji przez rok oddaje [...]"¹¹⁸

Nie spieszono się z wykonaniem wyroku, który odbił się głośnym echem w całym kraju. Lubowidzki i Łubiński nadal przebywali na wolności i pobierali pensje emerytalne z Banku. Wciąż jeszcze liczyli na cudowne odwrócenie się losu. Nie rezygnowali z przekupstwa czyniąc starania o zmianę wyroku. Próbowali też wpłynąć na jego sformułowanie przy tłumaczeniu na język rosyjski, o czym naiwnie opowiadał były prezes na kartkach swego pamiętnika. Pan Józef nie liczył chyba jednak na pozytywne skutki tych zabiegów, skoro zapisek z 31 grudnia kończył następująco: „W sprawie naszej żadnej dostatecznej wiadomości. Mó-

wią, że w przyszły wtorek ma być czytana redakcja wyroku w pełnym sądzie. Rok ten był jednym z najnieszczęśliwszych z powodu zapadłego wyroku w X Departamencie Senatu, tak dla mnie okrutnego. Łaską tylko boską nasz los zmienić się może. Bogu jednak podziękować, że i w tym wszystkim potrzebom naszym zaradzić raczył"¹¹⁹.

Wiadomo, że Lubowidzki zabiegał o ulaskawienie u Paskiewicza, choć współcześni i historycy podkreślali rzekomą nieugiętość naszego bohatera. Chciano pozostawić u potomnych pamięć bez skazy o kierownikach Banku Polskiego, a najważniejszym argumentem miała być ich nieugiętość i odrzucenie wszelkich starań o łaskę. Nie było to zgodne z prawdą, o czym przekonuje choćby lektura pamiętnika pana Józefa.

W roku 1849 Paskiewicz zarządził wykonanie wyroku, złagodzonego nieco przez Mikołaja I „z uwagi na poprzednią służbę obwinionych, dającą im tytuł do względów rządu, równie jak i na ich wiek bliski starości”¹²⁰. Ostateczny wyrok skazywał ich na roczne uwięzienie w twierdzy w Zamościu i osiedlenie w głębi Rosji na okres lat trzech.

Lubowidzkiego i Łubieńskiego osadzono w Zamościu w oddzielnych pokojach na tzw. Bramie Szczebrzeszyńskiej. Przybyli tu w przeddzień wigilii świąt Bożego Narodzenia 1849 r. Kolację wigilijną spożyli wspólnie z Augustem Wilkońskim, znanym literatem warszawskim lat czterdziestych, autorem słynnych *Ramot i ramotek literackich*, który również był wówczas więźniem w twierdzy.

W pamiętniku żony Wilkońskiego, Pauliny, znalazło się kilka fragmentów poświęconych współwięźniom męża: „Pana Henryka odwiózł syn jego Juliusz, znany chlubnie jako profesor matematyki, pana Lubowidzkiego kuzyn jego, pan Trzeński [...] Odwiedziłam nowo przybyłych, za co dziękowali mi uprzejmie. Przywieźli dużo książek z sobą i udzielali ich chętnie”¹²¹.

W kilka miesięcy później pani Paulina notowała: „Tak zwany Infułat, stojący próżny, zamieszkały rodziny panów Henryka Łubieńskiego i Lubowidzkiego: żona tego ostatniego wraz z córką i kuzynką; panna Maria, córka pana Henryka, i panna Adela, córka jenerała Tomasza, pozostały przez całe lato w Zamościu, a nie potrzebuję dodać, że nadzwyczaj przyjemne towarzystwo skła-

dały [...]”¹²² Krewni uwieczonych mogli odwiedzać ich bez trudności. W ogóle warunki, w jakich znaleźli się Lubowidzki i Łubieński niewiele przypominały prawdziwe więzienie.

Rodziny skazanych nie ustawały w staraniach o ich uwolnienie. Zamierzano wykorzystać w tym celu jubileusz księcia Paszkiewicza, który w październiku 1850 r. obchodził pięćdziesięciolecie swej służby oficerskiej. Arystokracja i burżuazja Warszawy święciły uroczyste to wydarzenie, prześcigając się w wiernopoddańczych holdach. Pani Cesia Lubowidzka, żona pana Józefa, na audiencji u groźnego feldmarszałka uzyskała zgodę na uwolnienie męża od dalszego odbywania kary. To samo wyprosiła rodzina Łubieńskich dla hrabiego Henryka. Gdy tylko pomyślna wiadomość dotarła do Zamościa, zwolnieni więźniowie wyjechali do Warszawy. Tymczasem jednak car odmówił łaski skazanym. Z tą hiobową wieścią spieszył do Zamościa syn hrabiego Henryka, Tomasz, lecz nie zastał tam ojca i pana Józefa, którzy znajdowali się w drodze powrotnej do Warszawy.

Przez pewien czas trzymano więźniów w areszcie na Placu Saskim w domu pod Orłem, skąd zimą wywieziono ich w głąb Rosji na trzy lata osiedlenia. Oto co pisze o tym Paulina Wilkońska: „[...] odwiedzili nas panowie Lubowidzki i Łubieński — znękani doznany zawodem, ale i zrezygnowani. Otrzymali wyrok na trzy lata: Łubieński do Kurska, Lubowidzki do Orła. Pięknież to zatem było ulaskawienie. Mil tyle dalej, w kraj obcy — a jeszcze i rozdzieleni. Czyliż nie stokroć lepiej było w Zamościu? Zaiste, że dziwna to była łaska. Wyjechali w ciągu zimy. Każdemu ktoś z rodziny towarzyszył, ażeby im srogą niedolę wygnania osłodzić nieco [...]”¹²³

W roku 1853 pan Józef powrócił do kraju. Wrócił także hrabia Henryk.

Tomasz Wentworth Łubieński lakonicznie przedstawił ostatni okres ich życia po odbyciu kary: „Żyli oba jeszcze długo. Lubowidzki zmarł dopiero w 1869, a Henryk Łubieński w r. 1883. Oba obarczani wiekiem i przygnębieni wygnaniem, już żadnego udziału w życiu publicznym nie brali. Ale widzieli jeszcze, że zasiew przez nich na polską ziemię rzucony, nie zmarniał. Bo przemysł w Królestwie, przedmiot tyłu ich starań, bogato się za ich jeszcze życia rozwinął”¹²⁴.

Ta laurka nie dziwi zbytnio. Składał ją przecież daleki od obiektywizmu syn Henryka Łubieńskiego. Słowa współczucia dla kierowników Banku Polskiego, które znalazły się w pamiętniku Pauliny Wilkońskiej, złożmy na karb jej czulego, pełnego wyrozumienia serca kobiety, żony towarzysza niedoli obu skazanych.

MIOTEKA 5.



Cy to mi Benci to,
Względną sędziwość,
A niema kółko lat
Jak było, polno lat
Tęż pólno są i wese.
Leci, górze sumienie górze.
"Kaj" "kaj" "Kiełko" nam,
Dla "Piana" słowo "dum"
"Kiełko" "Kiełko".

Współczesna satyra na dorobkiewicza
Litografia J. L. Wemmera wg rysunku J. N. Lewickiego,
Muzeum Narodowe w Warszawie

MIOTEŁKA 10.



*Co to za stary gwint
Na perzele kipi tal
A panna wrozo choro
Włochyście zabawo
Wymachlej pax i d'it
A panna wrozo choro
Włochyście zabawo
Wymachlej pax i d'it*

Współczesna satyra na dorobkiewicza: Niedobre małżeństwo
Litografia J. L. Wemmera wg rysunku J. N. Lewickiego,
Muzeum Narodowe w Warszawie

PANI KUPCOWA HRABINA ŁUBIEŃSKA— PRZYCZYNEK DO HISTORII RODZINY ŁUBIEŃSKICH

Małżeństwo pani Konstancji. — Rodzina Łubieńskich. — Dom Handlowy przy ulicy Królewskiej w Warszawie. — Pan Henryk robi fortunę. — Katastrofa. — Polemiki wokół działalności Łubieńskich.

W początkach 1830 r. pani Konstancja hrabina Łubieńska, zamieszkała wówczas w Warszawie, w rodzinnym pałacu przy ulicy Królewskiej 1066, otrzymała list od swego brata Wiktora Ossolińskiego. Nie zajmowałibyśmy się tym mało istotnym faktem, gdyby nie charakterystyczny nagłówek owego listu: „Do J. W. Generałowej, Senatorowej, Kasztelanowej, Hrabiny i Baronowej Konstancji z Ossolińskich Łubieńskiej — kupcowej miasta stołecznego Warszawy”. Oto w jak żartobliwy sposób brat pani Konstancji adresował list do niej. Było to wkrótce po zawiązaniu się Domu Handlowego „Bracia Łubieńscy i Spółka”, na którego czele stanął mąż naszej bohaterki generał Tomasz Pomian hrabia Łubieński. Wydarzenie musiało być na owe czasy niecodzienne, skoro stało się przedmiotem kpin najbliższej rodziny pani Łubieńskiej.

Oto nieco informacji o niej i jej małżeństwie, rzucających zarazem pewne światło na życie arystokracji polskiej w pierwszej połowie minionego stulecia. Pani Konstancja pochodziła ze starego magnackiego rodu Ossolińskich. Była córką kasztelana podlaskiego Józefa Ossolińskiego i jego pierwszej żony Marii z Zaleskich. Po rozwodzie rodziców wychowywała się pod kierunkiem matki w jej majątku w Rejowcu. Jedyne brat Konstancji to wspomniany Wiktor Ossoliński, znany ze sknerstwa właściciel Czerniakowa pod Warszawą. Był oficerem armii napoleońskiej. Później jako członek Towarzystwa Patriotycznego został uwięziony przez władze carskie i przebywał w więzieniu od 1825 do 1829 r. Podobnie jak ojciec rozwiódł się ze swą pierwszą żoną Zofią z domu Chodkiewiczówną.

Rozwody w sferach arystokratycznych były wtedy zjawiskiem nader częstym. Ciekawą anegdotę na ten temat podaje wydawca korespondencji generała Tomasza Łubieńskiego, Roger Łubieński. Dotyczy ona hrabiego Henryka, brata Tomasza, który w 1816 r. rozpoczął pomyślnie zakończone starania o rękę Ireny Potockiej.

Kiedy młoda para szła do ślubu, plenipotent majątku Potockich zbliżył się do pana młodego, „nachylił się do niego i myśląc, że prawdziwą przez to oddaje usługę, szepnął mu do ucha: »Co mi pan hrabia dasz za to, jeżeli w akcie stanu cywilnego podyktuję kruczek jaki do późniejszego rozwodu?« Pan Henryk z miną bardzo tajemniczą i bardzo poważną szepnął mu w zamian w ucho tak, ażeby nikt broń Boże nie ułyszał: »Dam ci w pysk«¹²⁵.

Nie mamy podstaw wątpić w ten rodzinny przekaz. Jest on charakterystycznym przyczynkiem do obyczajowości ówczesnych sfer arystokratycznych.

Powróćmy do panny Konstancji. Przyjechała do Warszawy w 1804 r. i od razu zyskała sławę jednej z najpiękniejszych młodych dam. W papierach rodzinnych zachowała się wzmianka o jej nadzwyczajnej urodzie. „Rysy rzymskie, oczy duże niebieskie, włosy ciemne, postać wyniosła, formy pełne i okrągłe [...] była kobietą klasycznie piękną [...] mogła z wdziękiem, pewnością siebie i chwałą zasiąść na tronie obok Barbary Radziwiłłówny lub Marii Leszczyńskiej”.¹²⁶ Ponadto panna Konstancja była kobietą jak na tamte czasy dość wszechstronnie wykształconą.

Warszawa w owym okresie bawiła się i słynęła z wystawnych przyjęć i wspaniałych toalet oraz rozrzutności towarzystwa. Życie towarzyskie koncentrowało się w pałacu „pod Blachą”, wokół bożyszczą pań z arystokracji, księcia Józefa Poniatowskiego.

O rękę pięknej kasztelanki rozpoczął starania młody hrabia Tomasz Łubieński. Zostały one uwieńczone sukcesem. W czerwcu 1805 r. doszło do oficjalnych zaręczyn, poprzedzonych bardzo uciążliwą dla ojca narzeczonego intercyzą przedślubną. Wedle umowy rodziców obojga narzeczonych pan Tomasz miał być wyposażony w 400 tys. złotych polskich, to jest tyle, ile posagu otrzymała miała jego przyszła małżonka.

12 grudnia 1805 r. odbył się ślub. Pan Tomasz liczył wówczas 21 lat. „W wigilię ślubu — czytamy w przekazie rodzinnym —

gdy trzeba było spisać akt stanu cywilnego, panna Konstancja wręczyła swemu narzeczonemu metrykę swoją w zapieczętowanej kopercie, z prośbą, ażeby ją za życia jej nie otworzył. Naturalnie, że tak zamkniętą została aż do jej śmierci. Przyczyna tej kokieterii była ta, że miała o jeden rok więcej od niego¹²⁷.

Wyprawa panny młodej miała wartość 50 tys. złotych polskich. Czegóż nie znajdziemy w spisie przedmiotów, w które wyposażono młodą mężatkę? Oto tylko niektóre z nich: sobole — 811 złotych polskich, łóżka — 5850, srebro do gotowalni — 1629, dywan 396, cafetier, czyli urządzenie do kawy — 8 tys., kolczyki, korale i medalion — 130, słoiczek pomady na wargi — 2, 12 par pończoch jedwabnych — 168, 12 par pończoch ażurowych — 240, 7 flaszeczek perfum — 14, itd., itp. Ponadto z „rejstru rzeczy moich na dzień szlubu”, sporządzonego przez pannę Konstancję, warto wynotować niektóre suknie: szafirową aksamitną srebrem haftowaną, białą muślinową srebrem haftowaną, czarną aksamitną, tołub (wierzchnie okrycie) niebieski aksamitny z sobolami, suknię muślinową włóczkami haftowaną, perkalową haftowaną w astry, różową madrasową (z tkaniny półjedwabnej) w srebrne kwiatki, muślinową ostindyjską (wschodnioindyjską) w kwiateczki, amazonkę zieloną, a oprócz tego rękawiczki, fartuszki muślinowe, chustki tureckie, gorsety, czepeczki, koronki, siatki, kapelusze, weloniki, buciki itp.¹²⁸

Młoda para zamieszkała w Warszawie w rodzinnym pałacu Łubińskich (dawniej Bielińskich), na rogu ulicy Królewskiej i Marszałkowskiej. W roku 1806 urodziła im się jedyna córka Adela, a jedyny syn, dwojga imion Napoleon—Leon, przyszedł na świat w 1812 r.

Po klęsce Prus pod Jeną zwycięska ofensywa armii napoleońskiej zakończyła się w 1807 r. pokojem zawartym z carem Aleksandrem I w Tylży, na którego mocy zostało utworzone Księstwo Warszawskie. W tym czasie Warszawa, choć znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie frontu i musiała znosić wszelkie uciążliwości wojny, bawiła się niemal tak jak w latach poprzednich. Sfery towarzyskie stolicy gościły na balach i przyjęciach wyższych oficerów napoleońskich.

Pani Konstancja mimo nieobecności męża, który od początku 1807 r. walczył u boku Napoleona przeciw Rosji, uczestniczyła

w zabawach i przyjęciach. „Byłam wczoraj na balu danym przez księcia bawarskiego — donosiła hrabiemu Tomaszowi w liście z 30 marca — tańcowałam na nim, sądząc, że mi na to pozwolił. Otworzyłam bal z księciem Borghese, potem tańcowałam kadryla francuskiego z księciem bawarskim, który bardzo dobrze robił honory balu.”¹²⁹ A oto inny fragment korespondencji młodego małżeństwa, z czerwca 1807 r.: „Miałam na balu wiele powodzenia [...] pomiędzy Francuzami, którzy mnie obsypali grzecznościami. Tańcowałam pierwszego kontredansa z P. Le Roux, drugiego z P. Augustem Jouchet, jednego walca z Dziewońskim, drugiego z P. Périgord [Talleyrand], trzeciego z Turkiem, członkiem ambasady, kadryla polskiego z Rautenstrauchem, taniec grecki z galopadą z Gutakowskim i anglezą z P. La Motte [...] Rozmawiałam także w ciągu wieczoru dosyć z P. Périgord.”¹³⁰

Pan Tomasz opuścił kraj i rodzinę na długi czas, ciągnąc wraz z oddziałami polskimi do Francji, by w latach 1808—09 wziąć udział w wyprawie Napoleona przeciwko Hiszpanii. Dopiero w początkach 1809 r. pani Konstancja spotkała się z mężem w Paryżu, gdzie od kilku miesięcy bawiła przy dworze cesarskim, spędzając wiele czasu z cesarzową Józefiną. Powtórnie, tym razem na dłużej, małżonkowie spotkali się po odbyciu przez hrabiego Tomasza kampanii austriackiej 1809 r., podczas której w bitwie pod Wagram on i jego brat Franciszek zostali ranni. Tomasz Łubieński, wtedy pułkownik, otrzymał tytuł barona Francji.

Księstwo Warszawskie przeżywało wówczas ciężkie chwile. Wniszczone gospodarką wojenną i świadczeniami na rzecz Napoleona i jego wielkorządców, zrujnowało się w 1809 r. wojną z Austrią. „Nie macie pojęcia o nędzy, jaka tu panuje — donosiła hrabiemu Tomaszowi w końcu grudnia 1809 r. jego matka — [...] jeżeli to dalej potrwa, większa część rodzin, które dochody mają tylko stąd, zejdą na żebraków. Wszystkie źródła dochodów są zamknięte, za żadną cenę nie można sprzedać zboża, chociażby za najniższą cenę, a rzeczy, które kupić trzeba, są po cenach wygórowanych. Kredyt zupełnie ustał, nikt nie płaci długów, a pożyczać nie można, nawet gdy się ofiaruje procenta rujnujące. Podatki nie są jeszcze zapłacone w bardzo wielu miejscach, jest więcej niż siedem milionów zaległości. Co to będzie, jeżeli pokój ogólny nie otworzy na powrót handlu? A cóż Wam powiedzieć

o tej nieszczęśliwej Galicji, która została przyłączona do Księstwa. Wyniszczona w każdym kierunku [...] jest zupełnie zrujnowaną. Nigdybym nie skończyła, gdybym chciała opowiedzieć wszystko, co ten biedny kraj wycierpiał [...]”¹³¹

Daleko było jeszcze do pokoju. Przyszedł rok 1812, zakończony straszną klęską Napoleona w Rosji. Pani Konstancja z dwojgiem dzieci pozostała znów sama we Francji. Dopiero w 1814 r. wróciła z synkiem do Warszawy, zostawiwszy córkę w szkole w Paryżu. Pan Tomasz wytrwał przy Napoleonie do jego upadku, służąc już wówczas w stopniu generała brygady. W roku 1814 przeszedł na służbę w armii Królestwa Polskiego, z której zwolnił się w 1816 r. Po dłuższej kuracji w Karlsbadzie osiadł z rodziną w Rejowcu, majątku żony. Niedługo tu gospodarował, bo zostawszy posłem w 1820 r., przeniósł rodzinę do Warszawy, która odtąd stała się jej stałym miejscem zamieszkania.

Hrabina Konstancja pojmowała zapewne życie rodzinne tak, jak wiele kobiet z jej sfery. Była wciąż jeszcze piękna, a obowiązki damy z towarzystwa, które zabierały jej bardzo wiele czasu, nie dały się godzić z wychowywaniem dzieci. Córka Adela dopiero w 1824 r., a więc po 10 latach pobytu w Paryżu, została sprowadzona do Warszawy. Jej brat Leon uczęszczał do szkół w Krakowie, a następnie studiował prawo w Edynburgu. Mąż coraz silniej angażował się w pracy w instytucjach finansowych Królestwa.

Stosunki między małżonkami nie układały się chyba najlepiej, skoro przez jakiś czas pani Konstancja mieszkała osobno z córką, podczas gdy hrabia Tomasz, zaabsorbowany zajęciami w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, związanymi z częstymi podróżami po kraju, wynajął dla siebie oddzielne mieszkanie. Trudno snuć domysły na ten temat. O życiu osobistym pani generałowej w owym czasie wiemy niewiele. Tak obfita korespondencja jej męża, będąca źródłem wiadomości o wydarzeniach rodzinnych, pomija te sprawy.

Nieco późniejszy okres dotyczy zachowany do dziś w rękopisie pamiętniczek pani Konstancji, pisany po francusku. Na 175 stronach małego formatu, drobnym, trudnym do odczytania pismem, utrwałała nasza bohaterka swoje wrażenia na przestrzeni 13 miesięcy, od kwietnia 1831 do maja 1832 r. Informacje o spra-

wach rodzinnych przeplatają się tu z relacjami o ważnych wydarzeniach ogólnych tego burzliwego okresu naszych dziejów. Generał Tomasz po wybuchu powstania listopadowego, już 18 grudnia 1830 r., wyprawił żonę i córkę z Warszawy do Luboni w Poznańskiem, gdzie pani Konstancja zaczęła pisać pamiętnik, kontynuując go potem w Rogalinie i Warmbrunn, czyli Cieplicach na Dolnym Śląsku.

Hrabina Łubieńska przejawiała pewne zamiłowania literackie. W 1841 r. wydała w Warszawie *Bajki dla dzieci z 50 rycinami*, przeznaczając dochód na cele dobroczynne. W rok później ukazała się w Poznaniu jej powieść pod tytułem *Niedowiarek, powieść moralna w dwóch częściach*. W tym samym czasie panna Adela Łubieńska wydała *Krótki opis Buska i jego okolic*, z przedmową Eleonory Ziemięckiej.

Nie zamierzamy pisać szczegółowej biografii pani generałowej. To co dotychczas powiedzieliśmy o niej i jej najbliższych miało tylko wprowadzić czytelnika w krąg spraw, którymi żyła rodzina Łubieńskich w opisywanej epoce.

Hrabia Tomasz miał liczne i według relacji współczesnych bardzo solidarne rodzeństwo. Łubieńscy wywodzili się ze stosunkowo mało znanej rodziny arystokratycznej, która dopiero w drugiej połowie XVIII stulecia wkroczyła na szerszą widownię życia politycznego. Feliks Łubieński, patriarcha tej licznej rodziny, otrzymał w 1798 r. tytuł hrabiowski od króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. Jako minister sprawiedliwości w rządzie Księstwa Warszawskiego należał do najbardziej czynnych przedstawicieli ówczesnych władz państwowych. Hrabia Feliks miał dziesięcioro dzieci: Franciszka, Tomasza, Piotra, Jana, Henryka, Tadeusza, Józefa, Marię, Paulę i Różę.

Najaktywniejszym z braci był znany nam z poprzedniego szkicu hrabia Henryk urodzony w 1793 r., prawnik z wykształcenia, żonaty z Ireną Potocką, wnuczką niesławnej pamięci współtwórcy Targowicy, Szczęsnego Potockiego. Był on jednym z organizatorów Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, dyrektorem, a następnie wiceprezesem Banku Polskiego.

Franciszek i Tomasz, obaj urodzeni w 1784 r., pierwszy w styczniu, drugi w grudniu, byli najstarszymi z rodzeństwa. Franciszek dosłużył się stopnia kapitana w armii Napoleona, biorąc

udział w kampaniach 1807 i 1809 r. Po rozwodzie z pierwszą żoną ożenił się po raz drugi. Zmarł stosunkowo wcześnie, bo w 1826 r., zostawiwszy dwóch synów, z których starszy Kazimierz gospodarował potem w Kazimierzy Wielkiej w powiecie miechowskim. Tomasz — to znany czytelnikowi małżonek pani Konstancji, generał wojsk napoleońskich oraz oficjalny dyrektor Domu Handlowego „Bracia Łubieńscy i Spółka”.

Piotr był w 1809 r. komendantem wojskowym Warszawy, a w 1812 r. uczestniczył w obronie Modlina. Wystąpił z wojska w roku 1816, będąc w stopniu pułkownika i osiadł w powiecie błońskim, w majątku swej żony Barbary Szymanowskiej, starościanki wyszogrodzkiej. W dziesięć lat później Piotr Łubieński został prezesem Dyrekcji Szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i przeniósł się do Warszawy. W czasie powstania listopadowego był początkowo komendantem Gwardii Narodowej. Następnie powołano go na stanowisko prezydenta Warszawy. Po upadku powstania powrócił do prac w Towarzystwie Kredytowym, będąc równocześnie członkiem zarządów kilku instytucji i towarzystw filantropijnych.

Jan, ożeniony bogato z Anną z Klickich, był posłem na Sejm Królestwa Polskiego. Wspólnie z braćmi brał udział w różnych przedsięwzięciach handlowo-przemysłowych. Tadeusz, żołnierz armii Księstwa Warszawskiego, po wystąpieniu z wojska ukończył studia teologiczne i został księdzem. Był tytularnym prałatem papieży: Leona XII, Piusa VIII, Grzegorza XVI i Piusa IX, a od roku 1844 biskupem diecezji kujawsko-kaliskiej. Józef, najmłodszy z synów hrabiego Feliksa, po studiach na uniwersytecie krakowskim i w Akademii Górniczej we Freibergu pojął za żonę posażną pannę, Józefę Pruską i osiadł na stałe w Poznańskim, skąd pochodziła jego żona. On również aktywnie uczestniczył w działalności gospodarczej pozostałych braci.

Panny Łubieńskie powychodziły za mąż za ziemian: Maria za Maksymiliana Skarżyńskiego z Królestwa, Paula za Józefa Morawskiego z Poznańskiego i najmłodsza z całego rodzeństwa Róża za Ludwika Sobańskiego z Ukrainy.

Rodzina Łubieńskich miała w swym gronie ziemian i handlowców, generała-bankiera, prezesa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, biskupa i wreszcie członka kierownictwa Banku Polskie-

go. Nie bez racji więc pisał Maurycy Mochnacki, że rodzina ta rozdzieliła między siebie wszystkie dziedziny życia publicznego w Polsce. Jak już wspominaliśmy, powołując się także na opinie współczesnych, Łubieńscy postępowali niezwykle solidarnie, popierając się wzajemnie i wspomagając na każdym kroku. Wpływy ich umacniały koligacje z ziemiaństwem reprezentującym niemal wszystkie ziemie przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Dodajmy, że Adam Mickiewicz obdarzył braci Łubieńskich nie pozbawionym złośliwości epitetem „pobożnych spekulatorów”.

Łubieńscy, jako jedni z pierwszych spośród ziemiaństwa polskiego, zaangażowali się w handel i przemysł kapitalistycznym. Wychodzili oni niejako na spotkanie nowym czasom. Handel i przemysł — jak wiemy — należały do zajęć pogardzanych przez sfery arystokratyczno-szlacheckie dawnej Rzeczypospolitej. Te „parweniuszowskie” zajęcia dopiero w wieku XIX zaczęły silniej przyciągać „wysoko urodzonych”.

Wzrastająca tendencja ziemiaństwa do podejmowania, do niedawna niemal wyłącznie mieszczańskich, zajęć w handlu i przemyśle oraz dążność do kapitalizacji gospodarki rolnej miała swe źródło w dokonywających się przeobrażeniach gospodarczo-społecznych. W nadchodzących czasach nie wystarczała tylko legitymacja urodzenia, potrzebny był także pieniądz. Niejednokrotnie musiano ratować nadwerżone majątki ziemskie, zdobywać pieniądze dla utrzymania dotychczasowego poziomu życia. W takiej sytuacji znalazła się rodzina Łubieńskich.

Feliks nie mógł należycie wyposażyć swych dziesięciorga dzieci, nie był bowiem zbyt bogaty, a ponadto burzliwe lata przełomu XVIII i XIX stulecia, które zachwiały poważnie wielu fortunami ziemskimi, podważyły podstawy i jego majątku. Tym zapewne można wytłumaczyć starania synów hrabiego Feliksa o zajęcie dobrze płatnych stanowisk w rozmaitych instytucjach państwowych oraz szczególną aktywność w dziedzinie handlu i przemysłu.

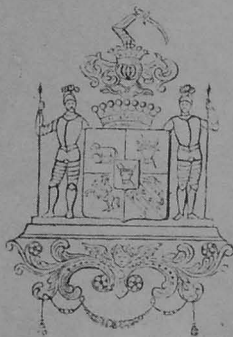
Wspominaliśmy już o tym, że w 1830 r. Łubieńscy otworzyli w Warszawie Dom Handlowy. W związku z podejmowaną działalnością wystosowali do księcia Lubeckiego pismo, datowane 10 lutego 1830 r., podpisane przez Tomasza i Jana Łubieńskich oraz hrabiego Jana Jezierskiego. Czytamy w nim między innymi: „Popęd jaki za staraniem Waszej Książęcej Mości zaprowadzone

PAMIĘTNIK
RODZINY
ŁUBIEŃSKICH

OFIAROWANY RODZENSTWU

SPRAWICZ

Różę z Lubieńskich Sobańską.



WARSZAWA.

W DRUKARNI STANISŁAWA STRĄBSKIEGO,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Żaluskich.

1851.

Feliks Łubiński w dziewięć-
dziesiątym roku życia

Litografia z Pamiętnika rodziny
Łubińskich ofiarowanego rodzeń-
stwu przez Różę z Łubińskich
Sobańską, Warszawa 1851



Tekla z Bielińskich Łubińska,
żona Feliksa Łubińskiego,
z synem Franciszkiem
Litografia z Pamiętnika rodziny
Łubińskich...





Tomasz Lubieński
Litografia z Pamiętnika
rodziny Lubieńskich...

Konstancja z Ossolińskich
Lubieńska, żona Tomasza
Obraz olejny Fr. Gérarda; re-
produkcja z książki R. Lubień-
skiego *Generał Tomasz... Lu-
bieński*, t. I, Warszawa 1899





Pałac Lubińskich przy ul. Królewskiej w Warszawie
Litografia Banku Polskiego z 1851 r.

Gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie
Litografia J. Ceglińskiego, Muzeum Historyczne m. st. Warszawy



instytucje Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i Banku nadały przemysłowi krajowemu, zaufanie, jakie w nas wzbudza postępowanie rządu pod sterem Waszej Księżęcej Mości, zachęciły nas do odłożenia dwóch milionów złotych polskich ku przedsięwzięciom handlowym i przemysłowym przez zawiązanie w tym celu Domu Handlowego pod firmą Bracia Łubieńscy i Spółka. Zanosząc to do wiadomości Waszej Księżęcej Mości, poważamy się upraszać ją, abyś nas w tym nowym zawodzie, w którym liczne zrazu przyjdzie nam zwalczać trudności, wysoką swoją raczył wspierać protekcją¹³².

Odwoływanie się do protekcji księcia ministra miało określony sens. Chodziło o pomoc finansową skarbu państwa dla tego niepowszedniego przecież wówczas w sferach arystokracji przedsięwzięcia, jakim było zajęcie się handlem.

Siedzibą Domu Handlowego był pałac Łubieńskich. Przedsiębiorstwo zajmowało się sprzedażą produktów rolnych, branych w komis od właścicieli ziemskich, podejmowało się sprzedaży wyrobów przemysłowych, prowadzenia różnych robót publicznych, na przykład budowy spichrzów zbożowych itp. oraz dokonywało operacji bankowych. Za pośrednictwem filii Domu Handlowego w Gdańsku, kierowanej przez Józefa Łubieńskiego, oraz agentów rozproszonych w różnych miastach i ośrodkach kraju prowadzono rozległe operacje handlowe i finansowe. Zamierzano również, choć bez powodzenia, rozciągnąć działalność kredytową na tereny tzw. ziem zabranych, to jest Litwę, Białoruś i Ukrainę. Wszystkie te różnorakie prace rozwinęto na większą skalę dopiero po 1831 r.

Jedną z ważnych form działalności spółki było udzielanie właścicielom ziemskim lub firmom handlowym tzw. zaliczeń, czyli pożyczek na wysoki procent, najczęściej w granicach 12—15%. Dom Handlowy Braci Łubieńskich, korzystając z bliskich stosunków z Bankiem Polskim, którego wiceprezesem był przecież Henryk Łubieński, spieniężał owe weksle w Banku za gotówkę. Bank potrącał sobie oficjalnie obowiązujący przy tego rodzaju operacjach, tzw. reedyskontowaniu weksli, niski procent. W ten sposób Dom Handlowy zyskiwał wielkie sumy wynikające z różnicy w wysokości oprocentowania.

Warto dodać, że Dom Handlowy Łubieńskich przeprowadzał wiele takich transakcji, gdyż wskutek ogromnego zapotrzebowania było wówczas bardzo trudno o kredyt w Banku Polskim.

Efektom owych machinacji stały się wysokie zyski Braci Łubieńskich. Pisał o tym zjadliwie nieznany nam z nazwiska urzędnik Banku Polskiego: „Utworzyła się tedy klika pod protekcją wiceprezesa zostająca w celu eksploataowania dyskonta wekslowego ze szkodą prawego handlu, a głównie firm warszawskich. Przedstawiano przeto do zakupu Bankowi weksle wystawiane na nazwiska ulicznych handlarzy, faktorów i wszelkiego rodzaju łapserdaków, którzy za żyrem Domu Handlowego Łubieńskich lub nawet bez takowego otrzymywali kredyt na 6%, aby należący do tej szajki wypożyczali fundusze na 12 lub 15% tym, co się nie mogli dostać do łaski przez nich protegowanych”¹³³.

Powstanie listopadowe spowodowało zastój w działalności Domu Handlowego, narażając właścicieli na straty. Rodzina Łubieńskich przyjęła wybuch walk powstańczych jako dopust boży. Syn Henryka Łubieńskiego, Tomasz, tak pisał o reakcji swej rodziny na wieść i wypadkach nocy listopadowej — „Pamiętam ten okrzyk: »Jakie to nieszczęście«, który się wyrwał z piersi moich rodziców i moich stryjów, w sam dzień wybuchu rewolucji [...]”¹³⁴

Lojalnie nastrojone wobec caratu zamożne mieszczaństwo warszawskie, wystraszone udziałem szerokich rzesz ludności miasta w walkach powstańczych, powołało generała Tomasza Łubieńskiego na stanowisko wiceprezydenta Warszawy, powierzając mu zadanie ujęcia w karby wzburzonej stolicy. Przy pomocy Piotra Łubieńskiego, wyznaczonego na komendanta Gwardii Narodowej, przystąpił on do rozbrajania powstańczej Warszawy i przywrócenia w mieście „porządku”. Wkrótce potem mianowano generała Tomasza dyrektorem poczt i policji krajowej, a w dniu 21 grudnia dyktator Józef Chłopicki powołał go na stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych i policji. Kolejne funkcje Tomasza Łubieńskiego pozwalały mu odegrać istotną rolę w tym ważnym, początkowym okresie powstania.

Dalszy bieg wypadków wyträcił na jakiś czas głównych przedstawicieli rodziny Łubieńskich z czynnego uczestniczenia w wydarzeniach powstania. Sprawa wywiezienia za granicę wiceprezydenta Warszawy Mateusza Lubowidzkiego i udział w niej hra-

biego Henryka skompromitowały braci Łubieńskich w oczach zarówno lewicy powstańczej, jak i ówczesnych władz naczelnych powstania, które zmuszone były odwołać generała Tomasza z zajmowanego stanowiska. W lutym 1831 r. wszedł on jednak do czynnej służby w armii polskiej, w której pozostał aż do końca działań wojennych.

Po upadku powstania, które jak każda wojna również braciom Łubieńskim przyniosło pewne straty materialne, sytuacja przybrała dla nich pomyślny obrót. Otrzymawszy przebaczenie cara za udział w powstaniu, generał Tomasz zyskał mocne oparcie w Banku Polskim, hrabia Henryk bowiem, powołany w 1832 r. na stanowisko wiceprezesa tej instytucji, przyszedł z wydatną pomocą Domowi Handlowemu Braci Łubieńskich. Nowy wiceprezes doczekał się niedługo dalszych dowodów uznania oraz rekompensaty za „straty moralne” poniesione w dniach powstania. Mianowano go rzeczywistym radcą stanu, przyznano orderzy Św. Stanisława i Św. Anny oraz przyjmowano z honorami w sferach wyższej biurokracji carskiej, zarówno w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, jak i na Zamku u samego Paskiewicza. Wybrany w 1834 r. na dyrektora Resursy Kupieckiej, przyjmował w salach pałacu Mniszchowskiego dostojnych gości. Stanowisko dyrektora odziedziczył po nim w 1841 r. generał Tomasz. Bracia Łubieńscy — ksiądz Tadeusz, Piotr i Jan — uczestniczyli wraz z Henrykiem i Tomaszem tak w życiu towarzyskim, jak i w działalności gospodarczej.

Interesy Domu Handlowego przy ulicy Królewskiej nabrały rozmachu. Udało się generałowi Tomaszowi uzyskać na dworze petersburskim pomoc w ściągnięciu poważnych sum, które wypożyczono jeszcze przed powstaniem księciu Eustachemu Sapieże. Najtrwalszą jednak podporą rodzinnej kasy był hrabia Henryk, dysponujący funduszami Banku Polskiego i służący protekcją, gdy chodziło o rozmaite zyskowe operacje handlowe.

Przyjrzyjmy się bliżej tej współpracy braci na przykładzie historii Młyna Parowego na Solcu w Warszawie. Wiąże się z nią osoba Piotra Steinkellera, bohatera następnego szkicu, jednej z najbardziej znanych postaci w sferach burżuazyjnych Królestwa Polskiego. W gestii hrabiego Henryka leżała sprawa powierzenia Steinkellerowi sprzedaży cynku rządowego, znajdująca-

cego się — podobnie jak cały przemysł górniczo-hutniczy Królestwa — pod zarządem Banku Polskiego. W zamian za obietnicę daną w tej sprawie Steinkellerowi pan Henryk wymógł na nim zakupienie od Domu Handlowego Braci Łubieńskich Młyna Parowego na Solcu. Dalsze pozostawanie Młyna w posiadaniu Łubieńskich groziło im poważnymi stratami.

Sprawa ta zasługuje na szersze omówienie. Młyn Parowy w Warszawie wybudowało w 1829 r. Towarzystwo Wyrobów Zbożowych, które powstało w roku 1825. Było to pierwsze w owym czasie towarzystwo akcyjne w Królestwie. Funkcję prezesa pełnił początkowo hrabia Zabiello, a po nim sam książę Adam Czartoryski. W skład Towarzystwa weszło obok kilku przedstawicieli arystokracji, jak hrabia Andrzej Zamoyski, Gustaw Małachowski, Bniński, Gutakowski i Łubieńscy, również wielu drobnych akcjonariuszy. Młyn wzniesiono na przedłużeniu wytyczonej wówczas tzw. Nowej Drogi Jerozolimskiej nad Wisłą, pod dzisiejszym mostem Poniatowskiego. Jak relacjonuje urzędowy raport, młyn postawiono „za pomocą akcji za kilka milionów w obieg puszczo-nych”, w celu sprzedaży mąki pszennej na rynkach zagranicznych, w Anglii i Ameryce. Inicjatywa ze wszech miar słuszna, gdyż bardziej opłacał się eksport mąki niż pszenicy. Kiedy powstał Bank Polski, udzielił on poparcia Towarzystwu, kupując od niego mąkę i wysyłając ją za granicę.

Nie wiodło się jednak Towarzystwu Wyrobów Zbożowych. Miast spodziewanych dochodów ponosiło straty. Nie liczyło się ono zupełnie z masą drobnych akcjonariuszy, całe lata nie informując ich o swej działalności i stanie finansów. „Od roku bowiem 1825, to jest od zawiązania Towarzystwa Wyrobów Zbożowych — pisał w „Dzienniku Narodowym” w 1831 r. nieznanym zawiedzionym akcjonariuszem — złożąwszy akcje, raz tylko, tj. w pierwszej połowie 1830 r., wzięliśmy procent roczny w stosunku sześć od sta. Nie można mieć za złe, iż ci, którzy nie przez chęć zysku, ale przez chęć szerszego wspierania przedsięwzięć krajowi użytecznych, ponieśli swoją część do ogólnego kapitału, chęcą wiedzieć o skutku ich życzeń i zamiarów. Dyrekcja więc, Rada Dozorcza lub jak się teraz zwać może władza parowym młynem zarządzająca, zechce zaspokoić słuszną troskliwość akcjonariuszów.”¹³⁵

Również w pięć lat później, w związku ze sprzedażą Młyna Parowego i likwidacją Towarzystwa, zapytywano bezskutecznie w prasie warszawskiej o sprawy obchodzące wszystkich drobnych akcjonariuszy.¹³⁶ Raz jeszcze w roku 1844, za pośrednictwem prasy, nieznanemu autorowi w imieniu wielu drobnych udziałowców, którzy całkowicie stracili swe wkłady domagał się wyjaśnień od nieudolnego rządu.¹³⁷

Towarzystwo Wyrobów Zbożowych nie zdało egzaminu. Powstanie listopadowe zachwiało poważnie jego finansami, uniemożliwiając eksport mąki na rynki zachodnie. W 1833 r. Towarzystwo znalazło się u progu bankructwa. Wówczas to Dom Handlowy Braci Łubieńskich, jako tzw. komisant* Młyna Parowego, wystąpił w roli pośrednika między Towarzystwem a Bankiem Polskim w sprawie uzyskania dalszego kredytu. Henryk Łubieński, wiceprezes Banku, był wtedy prezesem Towarzystwa. W piśmie do Banku Polskiego z dnia 12 marca 1833 r., wystosowanym przez przedstawicieli Rady Nadzorczej Towarzystwa w osobach hrabiego J. Łubieńskiego, E. Hoffmana i K. Gronaua, proszono o pomoc kredytową, zgłaszając gotowość poddania swojej działalności kontroli Banku.

Ciekawa to niewątpliwie próba wybrnięcia z trudnej sytuacji. Łubieńscy, związani z Towarzystwem Wyrobów Zbożowych bezpośrednio oraz za pośrednictwem Domu Handlowego, pertraktowali z Łubieńskim jako wiceprezesem Banku. Oczywiście rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Za poręczeniem braci Łubieńskich, właścicieli Domu Handlowego, w tym samym roku popłynęły tytułem zaliczenia na Młyn Parowy, a faktycznie do kas Domu Handlowego Łubieńskich, dalsze kredyty w wysokości 1 232 021 złotych polskich 15 groszy. W 1835 r. ciążył na Młynie dług w wysokości 2 075 572 złotych polskich 20 groszy, kilkakrotnie przekraczający jego rzeczywistą wartość.

W tym samym roku rozwiązane zostało ostatecznie Towarzystwo Wyrobów Zbożowych, a Dom Handlowy Łubieńskich przejął Młyn Parowy. Gdy przyszło płacić na rzecz Banku kolejną ratę długu ciężącego na Młynie, „[...] Dom ten — czytamy w raporcie urzędowym — przedstawił konfidencjonalnie Bankowi

* Komisant — tu: firma załatwiająca zlecenia kupców.

swój bilans, wykazujący niemożność zadosyćuczynienia swym zobowiązaniom, jak tylko przy pomocy Banku, która po poprzednim umówieniu się domu Braci Łubieńskich z Piotrem Steinkellerem [...] zasadzała się na tym, aby Bank odstąpił Piotrowi Steinkeller pięcioletnią produkcję cynku po cenie fl[orenow]* 15 za 1 cetnar, a Piotr Steinkeller obowiązał się przyjąć na swą własność Młyn Parowy za sumę zp. 1 500 000 tudzież wystawić kaucję na tymże Młynie za domem Braci Łubieńskich na sumę, którą ciż obowiązali się powrócić Bankowi w terminach rocznych 575 572 zp. 20 gr. [co razem czyni wymienioną poprzednio sumę 2 075 572 złotych polskich 20 groszy]. Ze sprzedaży sądowej [w drodze licytacji] Młyna Parowego nie można się było wówczas spodziewać większego wpływu nad sumę zp. 600 000 i rzeczywiście w r. 1836 Młyn Parowy przysądzony został Bankowi za zp. 535 000. Powyższymi więc układami zasłonił się Bank od straty zp. 1 540 572, a dom Braci Łubieńskich od upadku¹³⁸.

To samo źródło wyjaśnia również, że gdy w 1833 r. Towarzystwo WYROBÓW ZBOŻOWYCH poważnie się zachwiało, Henryk Łubieński, jego ostatni prezes oświadczył akcjonariuszom, że Młyn Parowy jest znacznie zadłużony w Banku Polskim, wobec czego ci rzekomo odstąpili od swoich pretensji, nie otrzymawszy ani grosza.

W tych właśnie okolicznościach zaproponowano Steinkellerowi, a właściwie zmuszono go, do kupna Młyna za faktyczną sumę 2 mln złotych polskich, rozłożoną na 12 lat spłaty. „Aby go do tego nakłonić, obiecał [Henryk Łubieński] wydzierżawić mu na tyleż lat cynk w górnictwie corocznie wyrabiany [...]”¹³⁹

Relacja powyższa zakrawa na sensację. W zamian za obietnicę wydzierżawienia administracji rządowego przemysłu cynkowego sprzedano Steinkellerowi Młyn za kwotę kilkakrotnie przewyższającą jego wartość. Właściwie nie była to sprzedaż, lecz przeniesienie tytułu własności obciążonego hipotecznie Młyna z Domu Handlowego Braci Łubieńskich na Piotra Steinkellera. „Operacja ta — czytamy w urzędowym piśmie z 9 lutego 1845 r. — zwalniająca Dom Bankowy Łubieńskich od długu, przenosiła go

* Floren — tu: synonim złotego polskiego.

na ciężar niewypłatnego już wówczas Steinkellera.”¹⁴⁰ Hrabia Henryk Łubieński — w jednej osobie wiceprezes Banku Polskiego, dbały o jego zaliczenia na poczet Młyna, prezes zbankrutowanego Towarzystwa WYROBÓW ZBOŻOWYCH i faktyczny współwłaściciel Domu Handlowego Braci Łubieńskich — wybrnął z trudnej sytuacji kosztem swojego kontrahenta.

Nic więc dziwnego, że generał Tomasz, nominalny kierownik Domu Handlowego, nie posiadał się z radości z powodu tak szczęśliwego obrotu sprawy. 20 lipca 1837 r. donosił on w liście do ojca: „Niezmiernie teraz jestem kontent z ukończenia interesu, który mi groził znaczniejszymi i przewidzieć się mogącymi stratami. Jest to ostateczna umowa o sprzedaż młyna parowego, która między Bankiem Polskim, panem P. Steinkellerem, a Domem Braci Łubieńskich w dniu wczorajszym podpisaną została. Nie przyniosła ta umowa w tym momencie żadnej korzyści Domowi, ale uwalniając mnie od tak drażliwych i tak groźących z tego względu niespokojności nie mogę ją uważać, jak tylko za szczególną łaskę Pana Boga”¹⁴¹.

Zrozumiałe, że Piotr Steinkeller nie miał podstaw do zadowolenia z dokonanej transakcji. W schyłkowym okresie swej działalności gospodarczej pisał on w związku z tą sprawą w liście z 18 listopada 1845 r. do dyrektora Morawskiego w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu: „Wiadomo już Jaśnie Wielmożnemu Panu z poprzednich korespondencji, w jakich okolicznościach Młyn Parowy został mi narzucony w r. 1836. Kiedy mając ustne zapewnienie co do kupna cynku rządowego, wszedłem za granicą w stosunki i zobowiązania, z których wycofać się już nie mogłem, nie wahano się korzystać z mego położenia, a sprzedając mi na lat pięć cynk, bez którego już obejść się nie mogłem, bo operacje moje w dobrej wierze przedsięwzięte na tym się właśnie opierały, przymuszono mnie do przyjęcia na swój karb owego nieużytecznego gratu, w którym poprzednicy moi miliony potracili, i to za niesłychaną cenę półtora miliona złotych. Że Młyn Parowy przez Bank na publicznej licytacji za zp. 535 000 nabyty, i to tylko dlatego, że tenże większą jeszcze na rzeczonym młynie posiadał wierzytelność, wówczas i 300 000 zp. wart nie był, jest rzeczą notorycznie wiadomą i że młyn ten stał się dla mnie źródłem

ogromnych wydatków, mozołu i ucisku, o tym Bank jako najbliższy świadek wie najlepiej”¹⁴².

Oto afera charakteryzująca transakcje między kapitalistami i rzucająca światło na ich wzajemne stosunki. Kto silniejszy ten lepszy — ta dewiza zawsze przyświecała obrotnym, dbającym tylko o swoje zyski przedsiębiorcom kapitalistycznym. Dla małych pozostawiono natomiast słowa, tak często powtarzane z okazji rozmaitych jubileuszów, na pogrzebach, w nekrologach wielkich burżuazji, że majątki ich powstały dzięki „uczciwości i pracowitości”.

Filarem rodziny w owym okresie był hrabia Henryk. Generał Tomasz natomiast pozbawiony i przygotowania, i większego polotu, firmował tylko kierownictwo rodzinnych przedsięwzięć gospodarczych, spoczywające w rzeczywistości w rękach hrabiego Henryka. Ten ostatni nie mógł oficjalnie pełnić jednocześnie funkcji dyrektora czy wiceprezesa państwowego banku i kierownika prywatnego Banku Handlowego. Był jednak niewątpliwie najobrotniejszym spośród braci i w krótkim czasie zdołał zebrać pokaźną fortunę. „W roku 1827 był Henryk Łubieński właścicielem jedynie tylko dóbr guzowskich*, podobno »bardzo obdłużonych i bardzo słabe niosących dochody«, a w roku 1841 jest już Łubieński w posiadaniu takich obszarów ziemi, że zasiewy oziminy w dwóch tylko spośród jego majątków na 7000 korcy były podawane; jest on posiadaczem 11 gorzelnii, kilku browarów, 1 cukrowni, fabryki fajansów i posiada 85% udziałów w fabryce stali. Wzięta za żoną fortuna nie stanowiła do tego dostatecznej podstawy.”¹⁴³

Oczywiście biograf nie dopuszcza nawet myśli, że majątek ów mógł być zdobyty nieuczciwą drogą. „Więc dopuszczał się Łubieński malwersacji w Banku, sam się bogacąc, dobrą sławą, którą się cieszył, zakrywając istotne swoje dążności? Przenigdy. Hipoteza taka byłaby najcięższą i najniesłuszniejszą krzywdą, jakiej ani na chwilę nie wolno wyrządzać pamięci tego, co odszedł, a wśród swego społeczeństwa żył w znoju i trudzie, i pracował jedynie dla ogólnego dobra.”¹⁴⁴

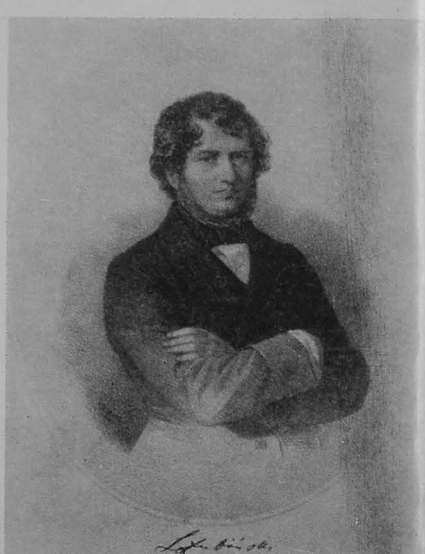
* Guzów — dawna nazwa Żyrardowa.



Henryk Łubieński
Litografia z Pamiątnika rodziny Łubieńskich



Jan Lubiński
Litografia z Pamiętnika
rodziny Lubińskich...



Leon Lubiński, syn Tomasza
i Konstancji Lubińskich
Litografia M. Fajansa z obrazu
Dusi Cosroe



Tadeusz Lubiński
Litografia z Pamiętnika
rodziny Lubińskich...

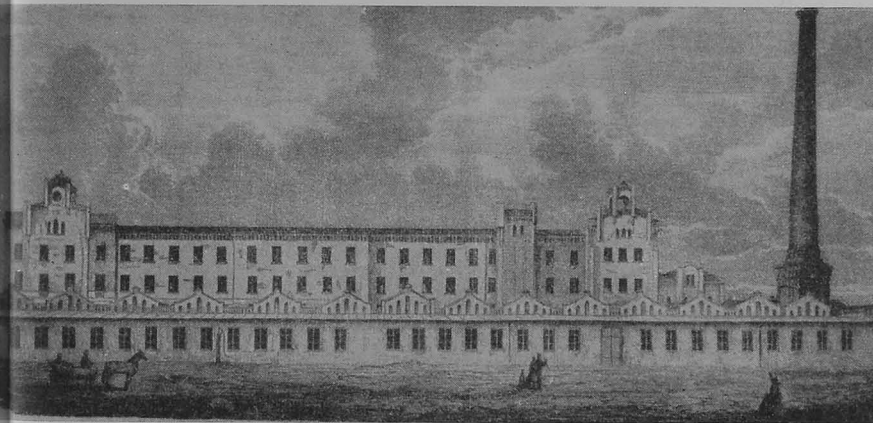


Filip Girard

Drzeworyt z książki W. Czajewskiego
Warszawa ilustrowana, t. II, 1896

Zyrardowska fabryka płótna

Drzeworyt, „Kłosy”, 1863





Piotr Łubiński
Rysunek satyryczny J. Sokółowskiego

Pudlingarnia i walcownia żelaza
w Irenie

Rysunek J. Polkowskiego, „Tygodnik
Ilustrowany”, 1861



Jak to się mogło stać, że w ciągu 14 lat jeden człowiek, wprawdzie zdolny i energiczny, zdołał dojść do dużego majątku? Mamy podstawy wątpić w kryształową czystość źródeł dochodów pana Henryka. Poważne wątpliwości co do tego mieli także współcześni Henrykowi Łubieńskiemu.

Były urzędnik Banku, anonimowy autor cytowanych już *Kartek z dziejów Banku Polskiego* pisał złośliwie: „Dosiadłszy konika nazwanego pożytkiem krajowym, Łubieńskiemu, olśnionemu własną osobą, zdawało się, że jest co najmniej Napoleonem I w minaturze i opatrznosciowym dobroczyńcą spółobywateli”¹⁴⁵. Zarzuca on wręcz Henrykowi Łubieńskiemu uprawianie oszustw: „Olbrzymie plany wymagające kolosalnych wydatków przy ich wykonaniu [...] stały się pokusą do maczania drapieżnych łap w asygnowanych funduszach przez chciwych łatwego spanoszenia się [...] Pieniądze z Banku lały się potokami za jednostronną asygnacją Łubieńskiego [...] Były to złote czasy dla urzędników górniczych obu okręgów, a brylantowe dla przedsiębiorców budowy lub dostawców materiałów. Bawiono się zaciekle, wyprawiano orgie pieniężne bez oglądania się na jutro”¹⁴⁶. W oczach urzędnika Banku Polskiego, który zapewne orientował się w poczynaniach swego zwierzchnika, Henryk Łubieński nie był — jak widać — człowiekiem bez skazy. O słuszności stawianych zarzutów przekonują także inne źródła. Powrócimy jeszcze do nich.

Przyjrzyjmy się tymczasem bliżej działalności gospodarczej Henryka Łubieńskiego. W 1826 r. założył on cukrownię w Częstocicach, a w roku 1830 w Guzowie. W tymże roku przy jego poparciu bracia Tomasz i Jan, Józef Lubowidzki oraz Karol Scholtz, wspólnik Steinkellera, zawiązali spółkę akcyjną pod nazwą Towarzystwo Wyrobów Lnianych, której francuski wynalazca maszyny do przędzenia lnu Filip Girard odstąpił koncesję na budowę zakładów przemysłu lnianego. Zakłady te uruchomiono w Guzowie.

W tym samym czasie Henryk Łubieński zakupił położone w Sandomierskiem dobra Chlewiska, Ostrowiec i Rzecznów, gdzie za pieniądze skarbowe wybudował zakłady produkcji żelaza. Przed samym wybuchem powstania listopadowego otrzymał on z Banku Polskiego na ten cel pożyczkę w wysokości 1 100 tys. złotych polskich.¹⁴⁷

W piśmie z 13 maja 1838 r. skierowanym do tajnego radcy stanu Fuhrmana z Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu Łubieński prosił o nową pożyczkę na rozbudowę zakładów przemysłowych w dobrach ostrowieckich. Czytamy tu między innymi: „Przedsięwziąwszy założyć w jednej z moich majątności w gub. sandomierskiej położonych, w której znajduje się najlepsza może ruda żelazna Królestwa, kilka wielkich zakładów hutniczych z wszelkimi istniejącymi dotąd w Anglii udoskonaleniami, o tyle tylko takowe zakłady prowadzić mogę, o ile o znakomity kapitał wystarać się potrafię [...] Wyłącznie oddany służbie swojego monarchy, rzeczą jest prawie dla mnie niepodobną zająć się tym poszukiwaniem funduszków. Ponawiając w ten sposób poprzednio już podaną prośbę, która z powodu jedynie nieszczęśliwych wypadków z r. 1830 skutku nie otrzymała, rozumiałem, że przedsiębiorstwo przemysłowe tak niewątpliwej użyteczności dla kraju, a którego wykonanie wymagało tyle usiłowań, energii i wytrwałości, otrzyma opiekę rządu [...] Oddając pokorną moją prośbę pod bezpośrednią opiekę J. W. Pana, proszę Go wierzyć, że jakakolwiek nastąpi decyzja J. O. Księcia Namiestnika dla mnie, nic nie potrafi osłabić ani mojej gorliwości do służby mojego monarchy, ani wdzięczności i uszanowania, z którym mam zaszczyt pozostać”¹⁴⁸. Pożyczkę tę Łubieński dostał na bardzo dogodnych warunkach, gdyż spłatę jej rozłożono na 25 i pół lat.

W 1839 r. hrabia Henryk zakupił dobra lubartowskie za 4 570 603 złote polskie, zaciągając pożyczkę w Banku Polskim i Towarzystwie Kredytowym Ziemskim.¹⁴⁹ Uzyskanie i tych funduszy nie przyszło mu trudno. Był przecież wiceprezesem pierwszej z wymienionych instytucji, a bratem prezesa drugiej, Piotra Łubieńskiego.

W rok później założył fabrykę stali w Serocku, którą w 1841 r. odstąpił prywatnej spółce ze znanym burzua Maurycym Konia-rem na czele, zatrzymując dla siebie 40% udziału.¹⁵⁰ Równocześnie w dobrach ziemskich koło Zaklikowa zbudował walcownię żelaza. Nowo powstałej osadzie nadał nazwę Irena, od imienia swojej żony.¹⁵¹

Weźmy do ręki teczkę z lat 1850—55 z pożółkłych papierów Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie, zatytułowaną *Komitet oceniający układ między Bankiem Polskim a sukcesorami*

Anny hr. Łubieńskiej mający być zawarty. W jednym z dokumentów znajdujemy ciekawe szczegóły dotyczące Towarzystwa Wyrobów Lnianych. Spółka żyrardowska miała zapewne trudności finansowe, czytamy bowiem w dokumencie: „[...] Co do sprzedaży akcji ta nie musiała dopisać, a spółnicy nie złożyli zapewne funduszów nawet na akcje dla siebie zatrzymane, skoro żądali i otrzymywali zaliczenia z Banku [...]” W dniu 1 stycznia 1843 r. obciążenie na rzecz tej instytucji wynosiło 4 007 685 złotych polskich 13 groszy. Bank miał na tę sumę siedem rachunków opartych: 1. na wekslach z podpisem (Domu Handlowego) Braci Łubieńskich i Karola Scholtza, 2. na akcjach spółki żyrardowskiej, 3. na hipotece Żyrardowa, 4. na wekslach Karola Scholtza i Spółki, 5. na wekslach ze sprzedanych na kredyt towarów, 6. na towarach fabrykantów żyrardowskich, 7. na przedzy z Liège sprowadzonej (do Żyrardowa). „[...] Samo wymienienie rachunków okazuje, że jeden i ten sam przedmiot po kilkakroć pod zabezpieczenie był przyjmowany [...]”

Fakt ten nosi wyraźne znamiona przestępstwa. No bo jakżesz inaczej nazwać zjawisko, że kilkakrotnie wypożyczano pieniądze z Banku Polskiego, zabezpieczając ich zwrot wciąż tymi samymi aktywami spółki? Zrozumiałą rzeczą jest, że owo zabezpieczenie przekształcało się w miarę powtarzania machinacji w czystą fikcję. Oczywiście mogło się tak stać tylko za wiedzą kierowników Banku Polskiego, którzy byli jednocześnie filarami akcyjnego Towarzystwa Wyrobów Lnianych.

Inny jeszcze szczegół z przytoczonej relacji urzędowej budzi nasze zdumienie. Zasadą i podstawowym warunkiem zawiązania jakiegokolwiek towarzystwa akcyjnego było zawsze złożenie przez inicjatorów pewnej sumy pieniędzy, stanowiącej kapitał zakładowy przyszłej spółki. W zamian za tę sumę otrzymywali oni akcje oraz premiowani byli dodatkowo tzw. akcjami założycielskimi. Dalszym etapem było uzyskanie zatwierdzenia statutu spółki przez władze państwowe, które z tego tytułu brały niejako w opiekę owo przedsięwzięcie. Następnie przystępowano do rozprowadzania akcji na szerokim rynku kapitalistycznym. Tak powstawał kapitał towarzystwa, którego członkami byli wszyscy posiadacze akcji, odpowiednio oprocentowanych, te zaś miały zabezpieczenie w kapitale zakładowym. Zazwyczaj w rękę grupy założyciel-

skiej spoczywała lwia część akcji, co zapewniało odgrywanie dominującej roli w spółce, no i oczywiście decydujący udział w przyszłych zyskach. W przypadku interesującego nas tutaj Towarzystwa Wyrobów Lnianych, inaczej spółki żyrdowskiej, droga do utworzenia kapitału zakładowego była zupełnie inna. Wykorzystując fakt, że wśród inicjatorów projektu grali pierwsze skrzypce prezes i wiceprezes Banku Polskiego, od początku wszystko oparto na fikcji. Fikcją było złożenie kapitału przez założycieli, którzy po prostu przystąpili do organizowania spółki, nie wykładając własnych pieniędzy. Nie udało im się również znaleźć nabywców na akcje członkowskie. Bez zaangażowania więc własnych funduszy stworzono fikcyjne w istocie rzeczy towarzystwo, którego jedyną racją bytu była pożyczka z Banku Polskiego. O tym właśnie mówi dalszy fragment cytowanego już źródła archiwalnego: „Dwaj ze współwłaścicieli zakładu [Józef Lubowidzki i Henryk Łubieński], będąc zarazem zwierzchnikami Banku, reprezentowali przeciwne sobie interesa wierzyciela i dłużnika, wszelką zaś mieli sposobność do ocenienia, czy zaliczenia dostateczne mieć będą bezpieczeństwo i czy tą pomocą zdołają zakład do pomyślnego stanu przyprowadzić. Nie korzystali oni z tej sposobności dla dobra Banku, i owszem udzielali sami sobie zaliczenia z pominięciem wszystkich przepisów, za co też przy innych jeszcze przewinieniach zostali oddani pod sąd i ukarani. Spółka nie wypłacała się z zaliczeń, a Bank poszukując swych funduszy, znalazł się w konieczności wystawić zakład na przymusową sprzedaż, w braku zaś konkurentów na publicznej licytacji kupił go na rzecz swoją za rs. 54 000 [...]”

Sumę straconą na spółce żyrdowskiej Bank próbował odzyskać przez sądowe zajęcie majątku osobistego współników, lecz: „[...] Gdy przyszło do wykonania wyroku, okazało się, że Karol Scholtz, mieszkający w dobrach Opalenicy w Wielkim Księstwie Poznańskim, nie ma w kraju tutejszym żadnych funduszy, podobnie jak i Tomasz hr. Łubieński. Wiadomo też było, że Józef Lubowidzki i Henryk Łubieński całe swoje mienie oddali Bankowi na pokrycie innych, nie ze spółki żyrdowskiej pochodzących należności, co jednak na ten cel nie starczyło [...] Pozostało więc poszukiwać należności od spółki u Jana hr. Łubieńskiego, który —

jak wiadomo było — posiadał majątek zdolny zupełnie zaspokoić pretensje Banku”¹⁵².

Tak doszło do zajęcia dóbr żony Jana Łubieńskiego Anny. Małżonkowie bronili swego majątku, a po ich śmierci obronę kontynuowały dzieci z tego małżeństwa, używając zgoła niepoważnych argumentów, jak na przykład, że „ojciec przez brata swojego Henryka [...] do podpisania rzeczzonego kontraktu spółki zniewolonym został”¹⁵³.

Powróćmy do Henryka Łubieńskiego. Na pokrycie swoich długów w Banku Polskim musiał on oddać nowo nabyte majątki z zakładami przemysłowymi, to jest dobra lubartowskie i ostrowieckie z fabrykami w Klimkiewiczowie i Irenie, a część długu w wysokości około 11 mln złotych polskich zabezpieczył majątkiem guzowskim”¹⁵⁴.

Mimo to jeszcze w 1861 r. ciążyła na Łubieńskim pokaźna suma 186 tys. rubli, to jest 1 240 tys. złotych polskich, którą Bank ostatecznie spisał na straty.¹⁵⁵ Powszechnie jednak mówiło się, że hrabia Henryk z honorem spłacił długi, a jego obrońcy podkreślali to jako zasługę i dowód niezmiernej uczciwości. Nawet krytycznie odnoszący się do Łubieńskiego niejaki Gustaw Plewako pisał w 1887 r.: „Ale jeżeli Henryk Łubieński nie tylko nie może stanowić zdaniem naszym wzoru godnego naśladowania dla przemysłowców polskich ani tym mniej wzoru dla synów tej ziemi, którym przypadnie przewodniczyć wielkim czy to prywatnym, czy to rządowym instytucjom kredytowym, to natomiast daje on piękny przykład, jak trzeba ginąć z honorem, kiedy już ginąć przyjdzie”¹⁵⁶.

Odsłoniliśmy kulisy jednej tylko z wielu rozgrywających się ówczesznie afer gospodarczych. Od początku do końca oparta na fikcji, była ona najzwyczajszym przestępstwem. Postaci głównych jej bohaterów uczyniły z niej historię nie pozbawioną rozgłosu i pewnej pikanterii. Dzięki temu zresztą możemy dziś stosunkowo dużo o tej aferze powiedzieć. Wiele innych, nie mniej zapewne sensacyjnych spraw utonęło w mroku zapomnienia. Ich bohaterami nie byli ludzie najwyższej hierarchii administracji państwowej, jak to miało miejsce w przypadku pana Henryka. Człowiek ten, rzekomo czysty jak lza — co usilnie chcieliby nam wmówić bezkrytyczni chwalczy jego działalności — był niezwykleym aferzystą.

Niezwykłym dlatego, że choć pogoń za pieniądzem zdobywanym często nieuczciwą drogą była cechą charakterystyczną jego poczynań, podobnie jak wielu innych ówczesnych bohaterów zawrotnych karier, to jednak obiektywnie działalność Łubieńskiego przyczyniła się do rozwoju gospodarczego kraju.

Kariera rodziny załamała się w 1842 r. z chwilą upadku wiceprezesa Banku Polskiego. Rozpadł się Dom Handlowy, a generał Tomasz usunął się od czynnego udziału w handlu i przemyśle. Próbował jeszcze jakiś czas pośrednictwa w sprzedaży produktów rolnych z dóbr Kazimierza Wielka w powiecie miechowskim, będących własnością jego bratanek Kazimierza Łubieńskiego. Jedyńy syn Tomasza Leon, postać znana w towarzystwie warszawskim i w środowisku literackim, nie poszedł śladami ojca i stryjów. Był współzałożycielem popularnej „Biblioteki Warszawskiej” miesięcznika literacko-naukowego. Zmarł w 1860 r. Generał Tomasz przeżył syna o 10 lat. Przeżył także swą żonę panią Konstancję, która zmarła w roku 1868.

Z pozostałych braci, poza biskupem Tadeuszem Łubieńskim, jedynie Piotr utrzymał się na stanowisku urzędowym jako prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Jan zmarł wcześniej, Józef po rozwiązaniu spółki Domu Handlowego osiadł na stałe w Poznaniu.

17 września 1883 r. zmarł hrabia Henryk. Po śmierci ostatniego z braci Łubieńskich wywiązała się dyskusja na temat ich działalności gospodarczej i postawy obywatelskiej. W sierpniu 1885 r. na łamach wychodzącego w Warszawie dodatku miesięcznego do „Przeglądu Tygodniowego” ukazało się kilka anonimowych artykułów zatytułowanych łącznie: *Kartki z dziejów Banku Polskiego, podług pamiętników b. urzędnika*. Niedługo potem w 268 numerze krakowskiego „Czasu” ukazał się artykuł Pawła Popiela pod tytułem *Bracia Łubieńscy*. Obaj autorzy, a szczególnie nieznaną urzędnik bankowy, w ostrych, niejednokrotnie zjadliwych słowach oceniali działalność hrabiego Henryka jako wiceprezesa Banku Polskiego. Nic jednak tak nie dotknęło bardzo licznej rodziny Łubieńskich, jak postawione przez Popiela w zakończeniu artykułu pytanie dotyczące braci Łubieńskich: „Czy byli dobrymi Polakami?”

Odpowiedź pełną oburzenia zamieszczono w „Czasie”, a syn hrabiego Henryka, Tomasz Wentworth Łubieński, przystąpił do pisania książki, która wyszła w Krakowie w 1886 r. pod tytułem: *Henryk Łubieński i jego bracia. Wspomnienia rodzinne odnoszące się do historii Królestwa Polskiego i Banku Polskiego*. Książka ta była niejako odpowiedzią na dwie wspomniane publikacje. Miała ona dowieść i przekonać czytelników, że Łubieńscy reprezentowali najwyższe cnoty obywatelskie. Polemizując z Pawłem Popielem na temat postawy Łubieńskich w czasie powstania listopadowego, autor książki pisał: „Nie rozumiem przeto dlaczego pan P. P. zarzuca tym Łubieńskim, iż »robili powinność bez zapału«. Cóż tedy mieli robić dla udowodnienia zapału? Czy może wygłaszać po honoratkach* mowy, pełne zapału, a pozbawione treści,”¹⁵⁷ Rzeczywiście, trudno byłoby wymagać od panów Łubieńskich, by wespół z tzw. klubistami wzywali lud warszawski do bezkompromisowego rozprawienia się z wrogiem zewnętrznym powstania oraz z wrogiem wewnętrznym, co oznaczałoby skierowanie ludu przeciwko nim samym.

Wkrótce po ukazaniu się tej książki wydrukowano na łamach „Niwy” jeszcze jeden artykuł krytykujący działalność Henryka Łubieńskiego, mianowicie Gustawa Plewako *Henryk Łubieński i Benedykt Niepokojczycki, dwaj kierownicy Banku Polskiego. Przyczynek do dziejów tegoż Banku (1831—1865)*.

Znacznie później, bo już na schyłku stulecia, w 1899 r., hrabia Roger Łubieński wydał w Warszawie korespondencję prywatną generała Tomasza i opatrzył ją komentarzem, którego końcowy fragment przytaczamy: „Dzieje narodu, w których generał na widowni publicznej występował od roku 1807 do 1850, nie zostały jeszcze spisane. Z jednej strony przed 1830 rokiem współcześni tego dopełnić nie mogli, z drugiej strony po tych nieszczęśliwych wypadkach listopadowych jedynie emigracja miała sposobność chwycić za pióro, i to jedynie w celu, ażeby swoje osoby i swoje działanie pod niebiosa podnosić, a resztę ziomków, którzy bronić

* Honoratki — tu przenośnia; chodzi o miejsce dyskusji politycznych w czasie powstania listopadowego, w którym prym wiodli byli członkowie Towarzystwa Patriotycznego. Zbierali się oni między innymi w kawiarni „Honoratka” w Warszawie. Tu często padały ostre słowa pod adresem konserwatywnego kierownictwa powstania.

się nie mogli, jeżeli nie błotem obrzucać, to przynajmniej milczeniem pominąć. Stąd powstały niezmiernie fałszywe legendy, które nic z historią nie mają wspólnego, właściwie tchórze polityczni z paryskich bulwarów wyrosli na bohaterów sprawy narodowej, a ludzie prawdziwie zasłużeni w kraju jeszcze czekać muszą wybicia godziny prawdy dziejowej. Do liczby tych zapoznanych należał niewątpliwie także generał Łubieński. Jak już wyżej powiedziano, z braku ducha inicjatywy nie zajął w życiu narodu pierwszorzędnego stanowiska, jak jego ojciec minister lub brat Henryk, zawsze jednak położeniem i charakterem swoim stał na świeczniku i poważny brał udział i w zapasach wojennych, i w pracy społecznej. Nie wpływał on samowolnie na podniesienie i wytknięcie nowych dróg dla spraw publicznych, ale zaszczytne zajął miejsce w ich wykonaniu i jako nieskazitelny człowiek, waleczny żołnierz, prawy i zasłużony obywatel pozostanie w dziejach narodu naszego¹⁵⁸.

Złośliwy atak na emigrację polistopadową był zapewne spowodowany nieuznaniem przez nią „zasług” braci Łubieńskich dla kraju. Jeśli chodzi o ocenę ich działalności na niwie społecznej, jesteśmy skłonni przyznać rację owym „tchórzom” z bulwarów paryskich, a nie hrabiemu Rogerowi.

KARIERA I UPADEK PIOTRA STEINKELLERA

Dwa jubileusze. — Rodzina Steinkellerów. — Pierwsze kroki w Warszawie. — Złotodajna sól. — Dominium żareckie. — Karety kurierskie pana Steinkellera. — Cynk. — Bankructwo, koniec kariery.

W kołach finansowo-przemysłowych Warszawy skupionych w Resursie Kupeckiej i wokół redakcji „Gazety Handlowej” odbyła się 11 lutego 1904 r. niewielka uroczystość. W związku z przypadającą na ten dzień pięćdziesiątą rocznicą śmierci Piotra Steinkellera wmurowano tablicę pamiątkową w kościele św. Piotra i Pawła na Koszykach w Warszawie. „Zasłużonemu przodownikowi polskiego przemysłu” — głosił napis zamieszczony na tablicy. Rozpisany wcześniej konkurs na monografię poświęconą Steinkellerowi przyniósł dwie prace, których autorami byli: Henryk Radziszewski, znany wówczas historyk i ekonomista, oraz Jan Kindelski, występujący pod pseudonimem Jana Robaka. Obydwie prace, sławiące zasługi Piotra Steinkellera w dziedzinie uprzemysłowienia kraju, przyjęła i nagrodziła 6 maja tegoż roku komisja konkursowa, do której wchodził Aleksander Czajewicz, Karol Deike, Stanisław Aleksander Kempner, Feliks Kucharzewski, Władysław Rawicz i Aleksander Rosset. Radziszewski opatrzył pracę wzniosłym motto: „Historia est magistra vitae” (Historia jest nauczycielką życia), Kindelski zaś opatrzył swe dzieło równie wzniosłą, acz trochę bardziej napuszoną sentencją: „Ludy się kędyś prą falą mętłą i szumem wzbiera dziejowe ich tętno. Nam zaś tylko nasz młynek na strudze obraca plewy swojskie i cudze.”

Opisując działalność gospodarczą Steinkellera jako wzór godny naśladownictwa, obaj autorzy widzieli w niej przejaw niepospolitego umysłu, rzutkości, prężności, podkreślali obywatelskie cnoty tego niewątpliwie wybitnego pioniera przemysłu w Polsce. Odpowiadało to zamierzeniom organizatorów jubileuszu, którzy pragnęli nawiązać do przeszłości, ale nie do tradycji bojów powstań-

czych, lecz do nie pozbawionych również pewnego romantyzmu walk o fortuny w epoce kształtowania się kapitalizmu na ziemiach polskich.

W czasie gdy burżuazja warszawska czciła uroczyście pamięć wybitnego kupca i przemysłowca, do mieszkańców stolicy dotarły echa skandalu bezpośrednio związanego z osobą Piotra Steinkellera. Jego to potomkowie wspólnie z rodziną współczesnego mu znanego satyryka warszawskiego Sotera Rozbickiego wystąpili z ostrymi zarzutami przeciw literatowi Stanisławowi Kozłowskiemu, autorowi sztuki teatralnej *Pod okrętem*. Ta nowa wówczas sztuka w reżyserii Romana Żelazowskiego weszła 15 października 1904 r. na scenę teatru „Rozmaitości” w następującej obsadzie: Mieczysław Frenkiel — Fukier, Aniela Bogusławska — Fukierowa, Antoni Bednarczyk — Piotr Steinkeller, Irena Trapszo — Kasia, Teodor Roland — Olesza, Józef Śliwicki — Nałęcz, Edward Wolski — Soter Rozbicki i sam Antoni Fertner jako sługa Trznadel. Akcja sztuki rozgrywała się w roku 1834 w Warszawie w winiarni Fukiera na Starym Rynku, w siedzibie cechu bednarzy warszawskich, wreszcie w Białym Domku w Łazienkach. Kozłowski, przedstawiając dowcipnie perypetie bohaterów swego utworu, nieopatrznie ośmieszył Steinkellera i Rozbickiego, co naraziło go na nieprzyjemności ze strony ich rodzin. Nie udało się ustalić, jaki był epilog tej sprawy.

Interesująca jest zbieżność wspomnianego jubileuszu i wystawienia sztuki Kozłowskiego. Pierwszy — zorganizowano ku czci wielkiego kupca i przemysłowca zaliczanego w poczet świętości narodowych; sztuka *Pod okrętem* szargająca owe świętości stała się parodią jubileuszu. Parodię tę z upodobaniem oglądała rozbawiona Warszawa.

Kim byli Steinkellerowie i ich najwybitniejszy przedstawiciel wspomniany tu Piotr Steinkeller?

Rodzina Steinkellerów osiadła w Krakowie na początku drugiej połowy XVIII stulecia. Obok Kirchemayerów, Bochenków, Frejów, Wentzlów i Samelsonów zaliczano ich do najzamożniejszego kupiectwa miejscowego. Rodowód Steinkellerów kronikarz krakowski wywodzi z Pomorza, skąd w czasie reformacji jako katolicy wyjechali do Tyrolu, a potem do Wiednia. Piotr Steinkeller — dziad bohatera naszego szkicu — przeprowadził się z Wiednia do Kra-

kowa i założył tu do spółki z Janem Wentzlem dobrze prosperujący sklep przy ulicy Szewskiej. Syn jego, także Piotr, kupił wkrótce dom przy ulicy Szczepańskiej 5, gdzie otworzył sklep z artykułami korzennymi zamieniony potem na tzw. comptoir, czyli komisowy i hurtowy skład towarów kolonialnych. W późniejszych latach zakupili Steinkellerowie kilka innych posesji na terenie miasta, w tym dom wraz z ogrodem przy ulicy Lubicz oraz obszerną kamienicę przy ulicy Szczepańskiej 372.

Kraków, starodawna stolica Polski, drugie po Warszawie miasto Rzeczypospolitej, nie brał czynnego udziału w doniosłych wydarzeniach politycznych epoki rozbiorów. Izolację tę przerwała dopiero działalność kół patriotycznych przygotowujących w początkach 1794 r. powstanie przeciw zaborcom. Przybycie Kościuszki do Krakowa wiosną tegoż roku i akt przysięgi na Rynku przed Sukiennicami, uczyniło dawną stolicę Polski jednym z ośrodków walki o niepodległość. Zwycięska bitwa pod Racławicami i wybuch insurekcji w Warszawie odbiły się głośnym echem w podwawelskim grodzie. Wkrótce przyszły miesiące ciężkich zmagañ z przeważającymi siłami zaborców, zmagañ zakończonych klęską Kościuszki pod Maciejowicami i zdobyciem Warszawy przez armię Suworowa. Powstanie upadło a jego Naczelnik poszedł do niewoli.

Kraków wraz z ziemiami centralnej Polski po Pilicę popadł w trzecim rozbiore w 1795 r. pod panowanie Austrii. Mieszczaństwo krakowskie, zwłaszcza zamożniejsze, zachowujące się powściągliwie w stosunku do toczących się walk, nie ucierpiało w czasie powstania. Z nowej konfiguracji politycznej — przynależności do monarchii habsburskiej, obiecywało sobie wiele korzyści. Kupców krakowskich nęciły przede wszystkim perspektywy rozwoju handlu z Wiedniem i krajami rozległego państwa Habsburgów. Nadzieje te zostały niebawem poważnie zachwiane. Nieustanne niemal wojny epoki napoleońskiej, w których Austria brała udział po stronie koalicji antyfrancuskiej, rujnowały gospodarkę kraju, uniemożliwiały normalny rozwój handlu.

Ale i w tej sytuacji obrotni kupcy potrafili znaleźć źródła pokaźnych dochodów. Do takich należały zwłaszcza intratne dostawy wojskowe. Powtarzała się odwieczna prawda, że wojna jednemu zabiera, a drugiemu daje.

W tych niespokojnych czasach wzbogaciła się między innymi rodzina Steinkellerów. Piotr Steinkeller — ojciec naszego bohatera — powiększał szybko swój majątek dzięki zyskownym transakcjom handlowym i bankowym. Zmarł on w 1813 r.; osierocił pięcioro nieletnich dzieci: Piotra Antoniego, Karolinę, Antoniego, Rudolfa i Józefa.

Na dziedzica firmy ojcowskiej testament wyznaczył najstarszego syna, Piotra Antoniego, urodzonego 15 lutego 1799 r. Pozostałe dzieci miały otrzymać po jednej piątej majątku ojcowskiego. Do czasu pełnoletności spadkobierców interesami firmy kierowała ich matka, Józefa z Frejów Steinkellerowa przy pomocy Karola Scholtza, zaufanego buchaltera i współnika zmarłego męża.¹⁵⁹ Piotr Antoni Steinkeller stanął na czele firmy około 1818 r., po powrocie z Wiednia, gdzie pobierał nauki w zakresie handlu. Studia wiekańskie przydały mu się bardzo, zyskał bowiem oprócz przygotowania fachowego szerokie kontakty handlowe ze znanymi kapitalistycznymi domami bankowymi stolicy Austrii.

Majątek rodziny Steinkellerów w latach dwudziestych XIX stulecia można szacować na około 1 mln złotych polskich. Same tylko sumy zabezpieczone na hipotekach rozmaitych dłużników z Wolnego Miasta Krakowa* i Królestwa Polskiego wynosiły w 1829 r. 439 659 złotych polskich 12 groszy.¹⁶⁰ O zamożności Steinkellerów świadczył duży zapis w testamencie matki zmarłej w 1826 r., która przeznaczyła 22 600 złotych polskich na rzecz „ubogich żebrac się wstydzących” oraz na szpitale i klasztory katolickie w Krakowie.¹⁶¹

Śmierć matki oraz związanie się młodego szefa Domu Handlowego Piotra Steinkellera z administracją transportu solnego na terenie Królestwa Polskiego wpłynęły na decyzję przeniesienia firmy z Krakowa do Warszawy.

Od kilku lat przebywała już tam Karolina Steinkellerówna, która wyszła za mąż za obywatela ziemskiego Bogumiła Braeuniga. Po kilku latach małżeństwa rozwiódła się z nim i w końcu

* Wolne Miasto Kraków — popularna nazwa Rzeczypospolitej Krakowskiej, państwka uzależnionego od zaborców, istniejącego od 1815 do 1846r., obejmującego lewobrzeżny Kraków wraz z najbliższą okolicą. Mieszkaństwo krakowskie w latach Rzeczypospolitej przeżywało okres pomyślnej koniunktury w handlu.

1827 r. wyszła powtórnie za mąż za pułkownika hrabiego Józefa Hauke. Brat Józefa Maurycy był generałem i dowódcą trzeciego legionu armii Księstwa Warszawskiego, a następnie ministrem wojny w Królestwie Polskim. Na tym stanowisku zadeklarował się jako zwolennik ugody z Rosją i zginął niechlubną śmiercią z rąk powstańców w noc listopadową. Józef Hauke, wyższy oficer armii polskiej pod rozkazami wielkiego księcia Konstantego, przed powstaniem 1830 r. został przeniesiony do Petersburga. Zmarł tam w roku 1837 jako generał major armii carskiej.

Z małżeństwa z Karoliną Steinkeller urodziło się troje dzieci: córka Salomea, później żona księcia sycylijskiego de San Cataldo, oraz synowie Aleksander, zmarły w 1854 r., i najmłodszy Józef. Dzieci, wychowywane początkowo przy matce w Warszawie, po śmierci ojca przewieziono na specjalny rozkaz Mikołaja I do Petersburga i umieszczono w ekskluzywnych instytucjach carskich.

Józef Hauke, pozbawiony zupełnie wpływu matki, wyrastał w carskim korpusie kadetów, później w korpusie paziów, skąd jako siedemnastoletni chłopiec wyszedł w stopniu oficera czerwonych huzarów gwardii. Kariera wojskowa stała otworem przed młodym, zdolnym oficerem. W 1861 r., po walkach na Kaukazie, Józef Hauke awansował do rangi pułkownika. Na wieść o manifestacjach patriotycznych w Warszawie rzucił on świetną karierę w armii rosyjskiej i wziął udział w powstaniu styczniowym. Przeszedł do historii jako wybitny demokrat i jeden z najlepszych dowódców powstańczych, znany pod pseudonimem Bosak. Zginął w 1871 r., walcząc we francuskiej armii Wogezów z najazdem pruskim.

Powróćmy jednak do Piotra Steinkellera i jego pierwszych samodzielnych kroków jako kierownika firmy. Młody handlowiec od początku zamierzał wypłynąć na szerokie wody. W małej terytorialnie Rzeczypospolitej Krakowskiej, choć cieszyła się ona w tych latach stosunkowo dużą swobodą gospodarczą i polityczną oraz stanowiła ośrodek handlu tranzytowego między zaborami, rzutki przedsiębiorca nie widział możliwości zaspokojenia swych ambicji. Pociągało go Królestwo Polskie, obdarzone autonomią administracyjno-gospodarczą i żywo rozwijające w tym czasie handel i przemysł. Szczególnie nęciła go Warszawa. Nie był zresztą na tym terenie człowiekiem zupełnie nowym.

Ojciec młodego dziedzica fortuny utrzymywał ożywione kontakty handlowe z Warszawą za pośrednictwem wielu miejscowych firm kupieckich. Stałym współnikiem Domu Handlowego Steinkellerów był zamożny kupiec warszawski Jan Anthonin, właściciel kilku posesji, który prowadził duży handel win i korzeni w obszernej kamienicy przy wylocie Krakowskiego Przedmieścia i Senatorskiej na plac Zamkowy, pod numerem hipotecznym 457. Piotr Steinkeller dobrze znał rodzinę ojcowskiego współnika, często gościł u niej w czasie swych podróży do Warszawy. Dodajmy, że córka Anthonina, Aniela Elżbieta, młodsza o 7 lat od naszego bohatera, wyszła za niego za mąż 25 stycznia 1824 r., licząc wówczas 18 lat. Zawarcie małżeństwa poprzedziła praktykowana powszechnie wtedy w sferach arystokratyczno-biurokratycznych oraz kupieckich intercyza przedślubna, w której młodzi małżonkowie postanowili zachować odrębność majątków. Małżeństwo zamieszkało w Krakowie w domu Steinkellerów przy ulicy Szczepańskiej, gdzie 18 marca 1825 r. urodził się im syn Piotr Józef. W tym okresie zamierzali oni przenieść się na stałe do Warszawy, która wkraczała wówczas w okres szybkiego rozwoju gospodarczego.

Ważkie powody skłaniały Piotra Steinkellera do obrania Warszawy za siedzibę, a w niedalekiej przyszłości centralę wszystkich swych rozległych poczynań gospodarczych. Chodziło mianowicie o sprawę udziału w dzierżawie transportu soli przeznaczonej na konsumpcję w Królestwie oraz o duży majątek ziemski Żarki, położony w powiecie lelowskim obwodu olkuskiego, którego właściciel hrabia Jan Męciński był od dawna poważnie zadłużony w firmie Steinkeller. Wszystko to wystarczało na uzasadnienie porzucenia Krakowa dla atrakcyjniejszego znacznie Królestwa Polskiego, tym bardziej że i rodzeństwo Piotra osiadło wówczas w Kongresówce.

Antoni Steinkeller, ożeniwszy się z Ludwiką z Rygerów, osiadł w dobrach Maków w powiecie olkuskim. Zmarł on wkrótce po powstaniu listopadowym. Rudolf Steinkeller przez kilka lat przebywał w Wiedniu, gdzie prowadził własny teatr w dzielnicy Leopoldstadt. Po 1831 r. przeniósł się do Warszawy i zamieszkał przy ulicy Wierzbowej 613. Współpracował z najstarszym bratem Piotrem, prowadząc w jego imieniu interesy na terenie Krakowa.

Najmłodszy Józef osiadł w dobrach Niedzborz w powiecie przasnyskim.

W Warszawie zamieszkał także Karol Scholtz, który razem z Piotrem stanął na czele Domu Handlowego „Piotr Steinkeller”.

Młody właściciel firmy przeniósł się do Warszawy w początkach 1826 r. W księdze Zgromadzenia Kupców miasta przy jego nazwisku pod datą 6 maja 1826 r. zapisano: „Bankier, komisowy handel i ekspedycja”. W kwietniu następnego roku Steinkeller nabył od hrabiny Aleksandry Potockiej za wysoką cenę 310 tys. złotych polskich obszerną kamienicę przy ulicy Trębackiej 638, w której przez długie lata mieszkała jego rodzina i gdzie miał swą siedzibę Dom Handlowy.¹⁶² Stąd, aż do końca pobytu w Królestwie, to jest do roku 1853, niezwykle rzutki przedsiębiorca kierował realizacją różnorodnych poczynań gospodarczych, obejmujących swym zasięgiem tereny wszystkich ziem polskich oraz Wiedeń, Berlin, Paryż, Londyn itd.

Stosunkowo szybko wszedł Steinkeller w środowisko finansjery warszawskiej. Transakcja z pałacem Mniszchowskim ułatwiła mu nawiązanie stosunków ze sferami burżuazyjno-arystokratycznymi skupionymi wokół Resursy Kupieckiej. Kontakty z Bankiem Polskim zapewniły poparcie finansowe młodemu przedsiębiorcy. Nic dziwnego, że wkrótce Steinkeller stał się popularną postacią wśród burżuazji warszawskiej, że wciąż był wybierany do władz miejskich organizacji kupieckich i filantropijnych.

Podstawą tego uznania była umacniająca się pozycja materialna Steinkellera, dochodzącego dopiero do 30 roku życia. Działalność handlowa firmy „Piotr Steinkeller” rozwijała się pomyślnie, a ponadto jej właściciel prowadził z powodzeniem interesy związane z transportem soli. To ostatnie zagadnienie wymaga szerszego omówienia.

Wiadomo, że Polska jest krajem obficie wyposażonym przez naturę w bogate złoża soli. Słynne żupy wielickie przeszły nawet do legendy, choćby tej o pierścieniu św. Kingi. Sól z Wieliczki i Bochni od setek lat przynosiła poważne dochody skarbowi królewskiemu, podobnie jak olkuskie złoża rud ołowiano-srebrnych. Zaopatrzenie ludności w ten artykuł powszechnego użytku nie stanowiło nigdy poważniejszego problemu w kraju, gdzie soli było pod

dostatkiem. Dopiero rozbiory spowodowały na znacznych obszarach ziem polskich trudności w tej dziedzinie.

Królestwo Polskie, odcięte kordonem granicznym od kopalń w Wieliczce i Bochni, miało na swym terytorium jedynie warzelnię ciechocińską, która nie mogła zaspokoić potrzeb ludności. Wobec tego władze Królestwa musiały zaopatrywać mieszkańców w sól importowaną. Sprowadzano ją z Wieliczki i Bochni na podstawie specjalnej konwencji z rządem austriackim, który w traktacie wiedeńskim z 1815 r. zobowiązał się pokrywać zapotrzebowanie na sól w Królestwie Polskim. Szacowano je wówczas na 600 tys. cetnarów rocznie. Austria zobowiązała się przekazywać bezpłatnie 500 tys. cetnarów, a 100 tys. sprzedawać po cenie 8 złotych polskich 6 groszy za 1 cetnar. Władze skarbowe Królestwa usiłowały wpłynąć na obniżkę ceny soli galicyjskiej oraz szukały tańszych źródeł zakupu. Minister Lubecki prowadził w tej sprawie rozmowy z Prusami, a nawet wysyłał agentów do Anglii. Poszukiwano też nowych złóż soli na terenie Królestwa, ale bez rezultatu.

W sprzedaży znajdowały się różne rodzaje soli. Oprócz tzw. soli konwencyjnej z Wieliczki i Bochni oraz warzelnianej z Ciechocinka znajdowała się na rynku pośledniego gatunku sól samborska przemycana z Galicji, sól liverpoolska, nazywana przez ludność oczkowatą, pochodząca z importu z Anglii, i tzw. sól tranzytowa, przemycana z Prus, gdzie zabraniano jej konsumpcji z uwagi na szkodliwość dla zdrowia.

Oczywiście najpowszechniej używano soli z Wieliczki i Bochni, która była jednym z najważniejszych źródeł dochodów skarbu Królestwa Polskiego, a także dobrym interesem dla prywatnych przedsiębiorców ubiegających się o udział w czerpaniu zysków z jej rozprowadzania. Wzorem Prus już w 1816 r. wprowadzono w Królestwie tzw. monopol solny, którego istotą było skupienie w ręku władz skarbowych całokształtu spraw związanych ze sprowadzaniem i rozprzedażą soli. Administrację monopolu oddano wówczas w ręce prywatnych przedsiębiorców, tzw. antrepreneurów.

6 lutego 1816 r. administrację monopolu solnego objął bogaty warszawski bankier i kupiec Berek Szmul, protoplasta znanych rodzin kupieckich: Bergsonów, Fraenklów, Bereksonów i Laskich. Przedsiębiorca wpłacał do skarbu państwa 9 złotych polskich



Piotr Steinkeller

Litografia S. Oleszczyńskiego, Muzeum Narodowe
w Warszawie

Bon pieniężny Domi-
nium Zarki

Reprodukcja rysunku z
książki Piotr Steinkeller —
dwie monografie



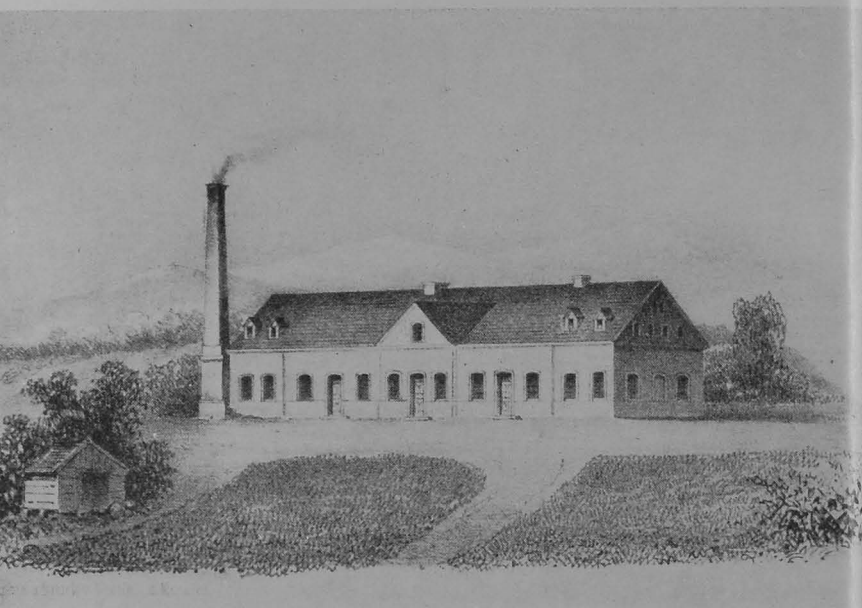
Godło dóbr żareckich Piotra
Steinkellera

Reprodukcja rysunku z książki:
H. Radziszewski, J. Kindelski
Piotr Steinkeller — dwie mono-
grafie, Warszawa 1905



Herb Steinkellerów

Reprodukcja rysunku z książki
Piotr Steinkeller — dwie mono-
grafie



Młyn mączki kostnej i gipsu w Podgórzu, własność Piotra Steinkellera
Litografia Loeillota i Merciera, Muzeum Narodowe w Warszawie

15 groszy za każdy cetnar soli sprowadzanej z kopalni podkrakowskich, a 3 złote polskie za cetnar zakupywanej w Anglii soli liverpoolskiej, zobowiązując się „dostarczać w każdym roku tyle [soli], ile konsumpcja krajowa wymagać będzie, tak dalece, iż niedostatek jej doświadczonym nie będzie”¹⁶³.

Sól sprzedawano w magazynach po cenie 26—30 złotych polskich za cetnar, zależnie od miejscowości. Wahania te wiązały się głównie z różnicami w kosztach transportu. Cena detaliczna była wyższa, gdyż mieściła się w niej także marża zarobkowa drobnych sprzedawców, zwanych ówczesznie szynkarzami soli.

Dochód skarbu Królestwa z dzierżawy administracji monopolu solnego kształtował się w latach 1816—21 w granicach 5—5 i pół miliona złotych polskich, co było kwotą bardzo dużą na owe czasy. Zysk prywatnego dzierżawcy, aczkolwiek skrzętnie ukrywany, znacznie przewyższał dochody skarbu. Skłoniło to ministra Lubeckiego w chwili objęcia przezeń kierownictwa finansami Królestwa do zerwania kontraktu i włączenia monopolu solnego z dniem 1 czerwca 1821 r. w bezpośrednią administrację skarbową. Odtąd tylko dzierżawę transportu soli oddawano w ręce osób prywatnych. Utrzymał się przy niej wspomniany Berek Szmul.

Dochody skarbu po przejściu administracji monopolu solnego wzrosły ponad dwa i pół raza, kształtując się w granicach 13—14 milionów złotych polskich rocznie. Taki oto był rezultat działalności fiskalnej księcia ministra na jednym tylko przykładzie: administracji monopolu solnego. Politykę Lubeckiego kontynuowali jego następcy z Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu (ówczesnego ministerstwa skarbu), osiągając nie mniejsze rezultaty. A więc transport soli pozostał w rękach prywatnych i przynosił duże zyski.

Firma Steinkeller od 1816 r. starała się bezskutecznie o dzierżawę administracji monopolu solnego. Władze skarbowe Królestwa bowiem faworyzowały w dobrze rozumianym interesie własnym kapitalistów z Warszawy. Zabiegały też o to, by administrację soli na terenie Wolnego Miasta Krakowa oddano osobie zajmującej się tym przedsięwzięciem w Królestwie. Widziano w tym środek walki z rozwiniętym wówczas na dużą skalę przemysłem soli z Galicji. Uprawiały go duże uzbrojone grupy chłopów, wykorzystując różnicę cen na ten artykuł w obu dzielnicach. Senat Wolnego Miasta

Krakowa, zainteresowany żywotnie w utrzymaniu szerokiej wymiany handlowej z Królestwem, stosował się do życzenia czynników skarbowych z Warszawy i oddawał administrację monopolu solnego na swoim terenie warszawskim przedsiębiorcom.

Dopóki Steinkeller przebywał w Krakowie, nie miał szans na otrzymanie tej zyskowej dzierżawy, mimo iż składał oferty korzystniejsze niż Berek Szmul. Dopiero gdy w 1825 r. Lubecki zerwał kontrakt z dotychczasowym dzierżawcą i oddał transport soli w ręce zaufanego i protegowanego przez siebie ziemianina i handlowca Konstantego Wolickiego, los uśmiechnął się do Steinkellera. Przeniósł się on właśnie do Warszawy, gdzie w ciągu najbliższych miesięcy miał osiąść na stałe. W pertraktacjach z Wolickim użył najbardziej ważkiego argumentu w postaci wysokiego odstępnego i wszedł z nim w spółkę.¹⁶⁴ W ten sposób czynione od dziesięciu lat starania firmy Steinkeller o dostęp do zysków z monopolu solnego uwieńczył sukces.

Obaj wspólnicy zobowiązali się sprowadzać za pomocą własnego transportu ilość soli wystarczającą do zaspokojenia potrzeb ludności Królestwa, a ponadto podjęli się organizacji transportu rud i węgla z kopalni obu okręgów górniczych wschodniego i zachodniego do Warszawy. Zgodnie z podziałem funkcji przeprowadzonym w 1826 r. między Wolickim i Steinkellerem pierwszy miał zająć się organizowaniem żeglugi na Wiśle, drugi wziął na siebie ogólne kierownictwo dostawą soli oraz zorganizowanie przewozu rud i węgla.¹⁶⁵ Faktycznym kierownikiem całego przedsiębiorstwa był Piotr Steinkeller.

W stosunkowo krótkim czasie zbudowano flotyllę rzeczną. Transportowano sól głównie Wisłą oraz jej dopływami, naturalną i najtańszą w ówczesnych warunkach arterią komunikacyjną.

Niejako na marginesie tych poczynań usiłowano uruchomić komunikację pasażerską na Wiśle. W tym celu Steinkeller i Wolicki sprowadzili z Anglii pierwszy w Królestwie statek parowy, który dotarł do Warszawy w sierpniu 1828 r. O tym niezwykłym wydarzeniu czytamy w pamiętniku Lipińskiego: „Od dawna zapowiedziany, długo oczekiwany, przybył wreszcie statek, tak zwany okręt parowy. Od Gdańska płynął nader zwolna, po większej części go ciągniono, a to z powodu, iż kocioł parowy pękł, a co najbardziej, że woda jest za mała dla niego. Stanął przy potoku pod

Bielanami i dalej nie może postąpić, mnóstwo osób nawiedza to dziwo za opłatą złotego na rzecz Towarzystwa Zupy Rumfordzkiej. Nie można dociec prawdy, kto jest właścicielem onego i na jaki cel zakupiony został w Anglii za 13 tysięcy dukatów. Podług jednych miał go sprowadzić nasz wszystko możny Lubecki, minister skarbu; podług drugich zaś Wolicki, który jest niejako prawe ramię pierwszego, przy tym wielki przedsiębiorca. Prawda, że statek ten gustownie jest wewnątrz urządzony, do zbytku nawet: stoły, meble mahoniowe pięknej roboty, sofy morą pokryte, lustra itd. zdobią cztery pokoje, nadto jest izba dla ludzi okrętowych, wszystko to bawi oko, ale każdy, co to obejrzy, zapyta: cui bono [dla czyjego dobra]?"¹⁶⁶

Działo się to zaledwie w kilkanaście lat po zbudowaniu w Ameryce przez Roberta Fultona pierwszego na świecie parostatku. Nic dziwnego, że owe curiosum odwiedzali ciekawscy mieszkańcy stolicy, rekompensując złotową opłatą wydatki przedsiębiorców, którzy nie przewidzieli, iż wskutek zbyt dużego zanurzenia parostatek nie będzie mógł służyć do żeglugi na Wiśle.

Warto przyjrzeć się bliżej organizacji transportu soli. Dzierżąca ów transport od skarbu państwa spółka Wolicki-Steinkeller była głównym, lecz nie jedynym organizatorem przedsiębiorstwa dostaw tego artykułu pierwszej potrzeby. Wolicki zresztą, spłacony wkrótce przez współnika, przestał zajmować się solą, ograniczył się do organizacji żeglugi rzecznej w Królestwie i formalnego uczestnictwa w spółce. Steinkeller natomiast dobrał sobie niebawem liczne grono ludzi, którym powierzył transport soli z głównych składów do lokalnych magazynów rozrzuconych po całym kraju. Pozawierał z nimi notarialne umowy, ustalając zasady wynagrodzenia, i pobrał wysokie kaucje tytułem zabezpieczenia swoich interesów. Wśród tych poddzierżawców, tzw. podantreprenerów, znalazło się wielu właścicieli ziemskich i kupców żydowskich z różnych części kraju. Detaliczny handel prowadzili drobni sprzedawcy.

W ten sposób w organizacji dostaw i sprzedaży wytworzyła się swoista drabina. Na jej szczycie stały władze skarbowe Królestwa, którym bezpośrednio podlegał tzw. antreprener — główny administrator przedsiębiorstwa transportu solnego, związany z władzami oficjalnym układem o dzierżawę. Antreprenerowi podlegali

liczni podantreprenerzy, rozwózający sól do magazynów prowincjonalnych, skąd rozprowadzali ją wśród konsumentów szynkarze soli. Podobny system stosowano wówczas i w innych przedsiębiorstwach, jak na przykład przy budowie dróg bitych, dostawach dla armii, przy budowie rozmaitych obiektów wojskowych, w administracji monopolu sprzedaży niektórych artykułów żywnościowych, głównie importowanych, oraz monopolu tabacznego. Cechą charakterystyczną tego systemu było powiązanie licznych przedsiębiorców, dostawców i najrozmaitszych handlarzy ze skarbem państwa.

Sprawnie zorganizowane przedsiębiorstwo transportowe oraz dochody ze sprzedaży nadwyżek soli przynosiły Steinkellerowi pokaźne zyski. Dobrze zapowiadający się interes uległ stagnacji z chwilą wybuchu powstania listopadowego. Wskutek działań wojennych zniszczona została flotylla na Wiśle, przedsiębiorstwo uległo dezorganizacji, a spółka ostatecznie się rozleciała. Ponieważ Wolickiego zesłano po powstaniu na Syberię, Steinkeller przez kilka lat działał sam. W 1837 r. wszedł w spółkę z Władysławem Pusłowskim, obrotnym ziemianinem dorabiającym się na handlu. Wkrótce odbudowali oni flotyllę rzeczną.

W dwa lata później Steinkeller wraz z generałem Tomaszem Łubieńskim, swym współnikiem w wielu interesach, odbył podróż do Anglii aby zakupić nowe parostatki. Zostały one sprowadzone do kraju w 1840 r.¹⁶⁷ Jednakże nie można było ich wykorzystać do żeglugi na Wiśle wskutek zbyt dużego zanurzenia.

W tym czasie Steinkeller, uwikłany w najróżnorodniejsze interesy i przedsięwzięcia, miał już poważne kłopoty majątkowe. Utrzymał się jednak przy transporcie soli niemal do chwili bankructwa, choć wskutek zadłużenia w Banku Polskim pozostał nominalnym raczej dzierżawcą tego przedsiębiorstwa. Zyski zeń szły na pokrycie rosnących stale długów.

Niełatwo ustalić wysokość dochodów Steinkellera z dzierżawy transportu soli. Źródła współczesne szacują je na ponad 300 tys. złotych polskich rocznie, lecz nie uwzględniają sum uzyskiwanych ze sprzedaży 12% nadwyżek soli, przyznawanych przez władze austriackie jako wynagrodzenie za ewentualne ubytki w czasie transportu. Krakowski kupiec Maurycy Samelson, który początkowo był współnikiem Steinkellera, posiadając $\frac{1}{4}$ udziału w przed-

siębiorstwie transportu solnego, swój zysk z tego tytułu obliczał w 1827 r. na 50 tys. złotych polskich. Szacunek ten jednak był zbyt skromny.¹⁶⁸ Biorąc pod uwagę koszty utrzymania floty, organizacji transportu lądowego, administracji itp. należy oceniać łączny przeciętny dochód roczny Steinkellera z dzierżawy dostaw soli na około 400 tys. złotych polskich. Nic też dziwnego, że uporczywie trzymał się on tego przedsięwzięcia, że na przykład w 1841 r. dał konkurentom 350 tys. złotych polskich za samo tylko odstąpienie od przetargu na dzierżawę transportu soli.

Ponadto trzeba pamiętać, że dostarczanie soli przynosiło niemałe zyski licznym poddzierżawcom i drobnym sprzedawcom detalicznym.

Tak więc z racji wprowadzenia monopolu solnego konsument, kupując ten artykuł pierwszej potrzeby, płacił olbrzymi haracz na rzecz skarbu państwa i wielu pośredników.

W latach dwudziestych XIX w. cena cetnara soli w kopalni wynosiła około 8 złotych polskich, a po powstaniu listopadowym spadła do niecałych 4 złotych. W Królestwie cetnar soli kosztował przed rokiem 1830 około 30 złotych polskich i kwota ta w latach trzydziestych niewiele się zmniejszyła. Okazuje się więc, że cena sprzedaży początkowo prawie czterokrotnie, a po 1830 r. około siedmio- lub ośmiokrotnie przewyższała cenę zakupu. Mimo dłużych stosunkowo kosztów transportu i utrzymania administracji monopolu solnego zyski z niego ciągnięte były nadzwyczaj wysokie.

Płacił oczywiście konsument. Wydatki na sól obciążały najdotkliwiej szerokie rzesze chłopstwa i biedoty miejskiej. Historyk Maksymilian Meloch w swej pracy *Sprawa włościańska w powstaniu listopadowym* pisał: „Najbardziej dawał się odczuwać szerokim sferom ubogiej ludności podatek pośredni od soli. Tymczasem rząd, a przede wszystkim minister skarbu Lubecki, nie zwracał na to żadnej uwagi i ustanowił niezwykle wysoką cenę soli, tak że ten przedmiot pierwszej potrzeby stał się dla włościan luksusem. Dochód dla skarbu z tego źródła przewyższał znacznie podymne* i ofiarę** razem wzięte. Ale chłop musiał wydawać 20%

* Podymne — podatek płacony od wszystkich domów mających kominy wywiedzione nad dach. Wysokość podatku zależała od rodzaju budynku.

** Ofiara — podatek gruntowy, który w czasach Królestwa Polskiego pobierano w wysokości 24% czystego dochodu z dóbr ziemskich.

na rzecz skarbu. Przy ówczesnej cenie zboża chłop średnio uposażony, aby sprostać wszystkim wymaganiom skarbu, gminy i szkoły, był zmuszony spieniężyć $\frac{2}{3}$ plonu¹⁶⁹.

20%, czyli $\frac{1}{5}$ wszystkich dochodów pieniężnych gospodarstwa chłopskiego, na samą tylko sól to bardzo dużo. Warto dodać, że cenie detalicznej 1 cetnara soli odpowiadała mniej więcej cena 5 korców* żyta. A przecież bez soli trudno się było obejść nawet największemu biedakowi. W pewnych częściach Królestwa próbowali ją chłopci zastępować ziołami; niektóre z nich okazały się trujące.

Bezwzględna politykę podatkową władz krytykowali współcześni. Już na sejmie w 1818 r. nazywano monopol solny „najnie-sprawiedliwszym sposobem opodatkowania biedniejszej ludności”. Społeczeństwo stale domagało się obniżenia wygórowanych ponad wszelką miarę cen soli stwierdzając, że: „Drożyzna tego najniezbędniejszego w codziennym użyciu produktu jest powodem tyfusów i innych zakaźnych chorób, które szerząc się z zastraszającą szybkością, wynoszącą dziesiątki tysięcy ofiar¹⁷⁰. Jednakże ani książę Lubecki, ani czynniki oficjalne po 1831 r. nie liczyły się z tym. Skarb Królestwa gromadził środki pieniężne, z których korzystali w formie dotacji i pożyczek prywatni przedsiębiorcy i ziemianie, pod patronatem władz skarbowych dorabiali się majątków rozmaici aferzyści.

Transport soli to tylko jedna dziedzina działalności Steinkellera. Gorączkowo ruchliwy, podejmował działalność na coraz to innych odcinkach życia gospodarczego. Spośród wielu jego przedsięwzięć omówimy jeszcze trzy: Żarki, przedsiębiorstwo karet kurlerskich oraz działalność w przemyśle cynkowym.

Z lektury akt notarialnych pochodzących z kancelarii Jana Wincentego Bandtkiego w Warszawie wynika, że 5 lutego 1835 r., a więc w 9 lat po osiedleniu się Steinkellera w Warszawie, nabył on dobra ziemskie i miasteczko Żarki od Aleksandry z Charle-montów Anthonin za sumę 600 tys. złotych polskich.¹⁷¹ Pani Anthonin była teściową Steinkellera, matką jego pierwszej żony Anieli, zmarłej w 1834 r.

* 1 korzec = 6 pudów = 98,28 kg.

Dominium żareckie — tak zwano ówczesnie owe dobra ziemskie i miasteczko — leżało na półmoco-wschód od Będzina, w pobliżu Myszkowa, nad rzeczką Leśniówką i obejmowało obszar 14 275 morgów chełmińskich*. W skład Dominium wchodziło 9 folwarków: Żarki, Jarosów, Zawada, Leśniów, Przewodziszwice, Jaworzniak, Cisówka, Nowa Wieś i Wiercianna.

Wiadomo, że Steinkeller znacznie wcześniej, bo już w 1826 r., nosił się z zamiarem nabycia Żarek od ówczesnego właściciela majątku, hrabiego Jana Męcińskiego, który był poważnie zadłużony w firmie Steinkellera. Według oryginalnego dokumentu zatytułowanego *Wykaz hipoteczny ustalenia własności dóbr ziemskich i miasta Żarki*, sporządzonego w Kielcach 17 października 1827 r. w biurze pisarza kancelarii ziemiańskiej województwa krakowskiego Jana Ścibor-Rylskiego, na rzeczonym majątku ciążyła obok innych długów wierzycielność Steinkellera w wysokości 223 800 złotych polskich.¹⁷² Wartość szacunkowa całego majątku węglug obliczeń Męcińskiego wynosiła 1 270 000 złotych polskich. Męciński był także obciążony zapisami rodzinnymi. Wykorzystał to Steinkeller i w początkach 1828 r., wykupiwszy od siostry dłużnika, hrabianki Klary Męcińskiej, przypadające jej należności zabezpieczone na dobrach Żarki, doprowadził do procesu sądowego w Kielcach. W związku z procesem nastąpiło porozumienie między dłużnikiem i wierzycielem, przy czym Steinkellera ustanowiono administratorem majątku. W tym charakterze zaczął wprowadzać w Żarkach gospodarcze innowacje i ulepszenia.¹⁷³

Po powstaniu listopadowym Żarki zostały wystawione na licytację i w marcu 1832 r. kupiła je Aleksandra Anthonin, teściowa Steinkellera, za sumę 593 972 złotych polskich. Był to zapewne jedynie formalny wybieg. Faktycznie majątek nabył Steinkeller, który od razu przystąpił do pracy nad jego zagospodarowaniem.

Według urzędowej oceny z 1832 r. dobra żareckie składały się „z jednego ciągłego kawała ziemi górzysto-piaszczystej, gatunku w większej połowie trzeciej, a w połowie mniejszej — drugiej klasy, na którym w znacznej części znajdują się góry, piaski, skały, wydmy, sapy [mokradła] i nieużytki,¹⁷⁴. Jako obiekt rolniczy nie był więc atrakcyjny dla trzeźwo kalkulującego nabywcy.

* 1 móg chełmiński = 0,5985 ha.

Inwestycyjne projekty nowego właściciela wiązały się ściśle z realizowanym wówczas przez kierownictwo Banku Polskiego planem rozwoju górnictwa i hutnictwa rządowego. Około roku 1832 zdecydowała się ostatecznie sprawa budowy wielkich zakładów hutniczych w okolicach Dąbrowy i Niwki, a więc w pobliżu Żarek. Znajdowały się one na terenach tzw. zachodniego okręgu górniczego, w odróżnieniu od staropolskiego ośrodka przemysłowego (na Kielcczyźnie), nazywanego wschodnim. Z czasem okręg zachodni, w miarę burzliwego rozwoju górnictwa węglowego i hutnictwa w drugiej połowie ubiegłego wieku, przybierze nazwę Zagłębia Dąbrowskiego. Steinkeller zamierzał zbudować w Żarkach zakłady produkujące urządzenia przemysłowe, których rozwój miał się oprzeć przede wszystkim na dostawach dla zachodniego ośrodka przemysłowego. Powstająca tu Huta Bankowa, zakłady hutnicze w Niwce, Blachownia, Panki, Sławków, Będzin oraz Olkusz — oto magnes, który przyciągnął uwagę przedsiębiorczego przemysłowca.

Steinkeller planował także już w 1829 r. założenie dużej przędzalni bawełny. Był to bez wątpienia śmiały zamiar, gdyż ta gałąź przemysłu włókienniczego znajdowała się wówczas dopiero w początkowej fazie swego rozwoju na gruncie polskim. Steinkeller wrócił do swego planu w roku 1834 i złożył w Banku Polskim szczegółowo opracowany projekt przędzalni bawełny z 25 tys. wrzecion oraz tkalni z 500 warsztatami mechanicznymi. Miała to być fabryka zatrudniająca 900 robotników, której koszty uruchomienia miały wynosić 4 mln. złotych polskich. Projekt ów upadł jednak, nie znajdując zrozumienia i poparcia finansowego u władz skarbowych.¹⁷⁵

Podstawową inwestycją Żarek pozostał w tej sytuacji zakład budowy maszyn i narzędzi, zbudowany przez Steinkellera w ciągu zaledwie dwóch lat (1833—35). Było to duże osiągnięcie, które może wzbudzić podziw nie tylko ówczesnych entuzjastów przemysłu.

Oto opis opublikowany w „Wiadomościach Handlowych i Przemysłowych” z 4 stycznia 1837 r. pod tytułem *Fabryka wyrobów żelaznych w Żarkach*: „Do liczby najznakomitszych zakładów przemysłowych, jakie w krótkim czasie w kraju naszym powstały, policzyć bez wątpienia należy tutejszą fabrykę wyrobów mechanicznych, żelaznych, której twórcą i właścicielem jest pan Piotr Stein-

keller [...] Wielka brama strzeżona bezustannie przez dozorcę prowadzi do wewnętrznego dziedzińca fabryki. Obszerny plac, wypełniony mnóstwem rozmaitych kształtów żelaza i drzewa, przedstawia nam obraz urzeczywistnionego ruchu i działalności przemysłu; po lewej stronie tegoż placu widać zabudowania piętrowe tak dla kierującego tą fabryką, jak niemniej i na mieszkania dla robotników przeznaczone, wewnętrzne ich urządzenie odznacza się wygodą, a nawet wykwintnością. Dalej zaraz poza tymi zabudowaniami wznosi się gmach wielki, dwupiętrowy, przeszło 163 łokci* długi, a 18 łokci szeroki, będący właściwie fabryką. Dolna jego sala wzdłuż całego zabudowania idąca, zajęta jest po większej części rozmaitymi maszynami, będącymi dziełem najbogiejszych rzemieślników Anglii. Sześć tokarni żelaznych, dwie wielkie maszyny do wiercenia cylindrów przeznaczone, dwie zadziwiającej konstrukcji heblownie, wielka podziałowa maszyna (Theilmaschine) i inne liczne pomniejsze maszyny, już to do wiercenia, już to do borowania, rżnięcia śrub i tym podobnych czynności służące, poruszane są siłą jednego wodnego koła. Mnóstwo warsztatów ślusarskich, stolarskich i tokarni drewnianych, zatrudniają codziennie przeszło stu dwudziestu robotników, mieszczących się na dole i na pierwszym piętrze, a drugie zaś piętro przeznaczone jest na skład modeli i maszyn nie będących jeszcze w ruchu, z których najznakomitszą jest maszyna do ciągnięcia rur ołowianych. W głębi dziedzińca znajduje się długi budynek mieszczący w sobie kuźnię z szesnastu ogniskami, tudzież gisernię z dwoma kopułowymi piecami, dostarczającymi pomniejszych odlewów. Na koniec pomiędzy tych wszystkich budowli najwięcej swą okazałością i ogromem odznacza się wielka gisernia. Jej nadzwyczajne, obszerne i sklepione okna, jej kolosalny rozmiar i dwa wyniosłe płomieniowe kominy nadają jej dziwny, szczególny, poważny i nader ozdobny kształt. Budynek ten nie jest jeszcze zupełnie ukończonym, wewnętrzne jego urządzenia zajmują ciągle licznych robotników. Maszyna parowa siły ośmiu koni tamże znajdująca się, a do poruszania miechów służyc mająca, jest wyrobem fabryki żareckiej, a jej dokładna i z największą precyzją wykonana robota tudzież gustowny jej kształt zwraca na siebie uwagę zwiedzającego i czyni

* 1 łokieć = 57,6 cm.

prawdziwą chlubę teje fabryce. Trudno gdzie indziej znaleźć tyle życia, tyle połączenia i skombinowania sił przemysłowych. Dwustu robotników zajętych codziennie rozlicznymi rodzajami produkcji zdają się ubiegać o pierwszeństwo w wykończeniu lub utworzeniu swych prac. Mnóstwo licznych robót i machin bezustannie zwracają oko zwiedzającego i każą mu mimowolnie nawet objawić swoje podziwienie. Wybór i zręczność pracujących we wszystkich tych warsztatach, zasługuje tu również na chlubną wzmiankę, albowiem fabryka żarecka zdolna jest zarówno najprostsze i najwięcej skomplikowane z wszelką dokładnością wystawiać maszyny i rzeczywiście też oprócz machin parowych siły 38 i stu koni, nad którymi tamże obecnie pracują, dostarcza jeszcze wszelkich aparatów gorzelniczych, młockarni, siewkarni, młynków zbożowych i kartoflanych i tym podobnych przedmiotów, które taniością swoją i dobrocią, jeśli nie górują nad wszelkimi podobnego rodzaju utworami, w kraju naszym produkowanymi, to przynajmniej pośledniejszego miejsca nie zajmują [...]”¹⁷⁶

Imponuje rozmach inwestycji podjętych przez Steinkellera w Żarkach. Wybudowanie w ciągu dwóch lat kompleksu zabudowań fabrycznych z pełnym wyposażeniem, doprowadzenie doń nowej drogi o twardej nawierzchni było niewątpliwie dziełem wybitnym.

Zastanawia jednak fakt, że zakład przeznaczony do produkcji maszyn parowych o sile 8 do 100 koni mechanicznych oraz najróżnorodniejszych narzędzi rolniczych był właściwie jeszcze manufakturą. Siłę napędową stanowiła tu woda poruszająca koło wodne, które z kolei napędzało różne warsztaty i urządzenia, wielu wszakże procesów wytwórczych w dalszym ciągu dokonywano ręcznie. Jadna zaledwie maszyna parowa siły 8 KM to niewiele jak na tak duży kombinat.

Istniały już wówczas w Królestwie zakłady przemysłowe posługujące się maszynami parowymi. Między innymi zakład budowy maszyn na Solcu w Warszawie, wzniesiony przed powstaniem listopadowym, posługiwał się takimi maszynami. Steinkeller, licząc się z dużym kosztem sprowadzenia maszyn parowych z zagranicy do swego obiektu, postanowił wykorzystać naturalne właściwości terenu w Żarkach, wodę, i przeprowadził niezbędne urządzenia, aby zastosować jej siłę do napędu w zakładzie żareckim.

Dopiero w kilka lat później przedsiębiorstwo wyposażono w dwie nowe maszyny parowe o sile 12 i 6 KM.

Biorąc pod uwagę ówczesny stan techniki krajowej, zakład żarecki nie był na pewno anachronizmem. Przeciwnie, mimo wymienione zastrzeżenia, należy go zaliczyć do najnowocześniejszych obiektów przemysłowych w Królestwie.

Fabryka w Żarkach powstała pod kierownictwem znanego nam już Filipa Girarda. Był on technicznym doradcą Steinkellera i według jego projektów rozpoczęto w Żarkach produkcję maszyn parowych.

W owym okresie sprowadzano do Królestwa wielu mechaników z Anglii, Francji, Belgii i Niemiec. Przy ich pomocy uruchamiano nowe zakłady przemysłowe, korzystając przede wszystkim z najnowszych zdobyczy technicznych kapitalistycznej Anglii, przodującej w tym zakresie od drugiej połowy XVIII stulecia. Wielu było mechaników i inżynierów angielskich wśród personelu technicznego zakładów górniczo-hutniczych Banku Polskiego: przy budowie Huty Bankowej, zakładów hutniczych w Niwce, fabryki budowy maszyn na Solcu w Warszawie, w Białogonie itd.

Żarki wytwarzały najrozmaitsze maszyny oraz urządzenia dla przemysłu i rolnictwa. Odbiorcami produkcji były przede wszystkim zakłady rządowe, a także przedsiębiorcy przemysłowi, przeważnie z terenu Królestwa, oraz właściciele ziemscy. Bliskie powiązania Steinkellera z ówczesnymi kierownikami Banku Polskiego i usytuowanie zakładu żareckiego w pobliżu rozbudowywanego wówczas intensywnie zachodniego okręgu górniczo-hutniczego dawało mu przewagę nad konkurentami.

Ogółem w latach 1835—43 Żarki dostarczyły na potrzeby górnictwa rządowego maszyn i innych urządzeń wartości półtora miliona złotych. Znaczną część sum należnych Steinkellerowi Bank Polski przekazywał mu w formie zaliczek. W rzeczywistości więc — o czym można się przekonać z szczegółowych wzajemnych rozliczeń — zakład w Żarkach funkcjonował w oparciu o kapitały otrzymywane z Banku. Bank Polski miał sporo kłopotu ze swym dostawcą. Steinkeller, zaabsorbowany różnymi interesami i przedsięwzięciami, nie dotrzymywał terminów umów i często dostarczał maszyny z defektami. Sam Steinkeller miał rozmaite trudności z zarządzającym żarecką fabryką mechanikiem angielskim, Sa-

muelem Redgate, który nie licząc się z właścicielem często działał na własną rękę.

Gdy zakończono budowę obiektów przemysłowych Banku w zagłębiu zachodnim, skończył się dla fabryki żareckiej pomyślny okres. Pozbawiona szerszego rynku zbytu, oddalona od innych ośrodków przemysłowych, co przy ówczesnym stanie komunikacji miało istotne znaczenie, a także w związku z rosnącymi trudnościami finansowymi właściciela — zaczęła wegetować.

Omówiliśmy najważniejszą, lecz nie jedyną inwestycję Steinkellera w Dominium żareckim. Nowy właściciel w stosunkowo krótkim czasie postawił także majątek ziemski na poziomie nowoczesnego gospodarstwa rolnego z rozwiniętą własną przetwórczością rolną. Przeprowadzono intensywne melioracje w oparciu o najnowsze zdobycze kultury agrotechnicznej, zaczęto stosować nawozy sztuczne w postaci wytlóków oleistych oraz mączki kostnej i gipsowej, wprowadzono nowe uprawy, rozwinięto hodowlę rasowej trzody chlewnej. W majątku powstały zakłady przetwórcze płodów rolnych. Cytujemy za prasą ówczesną: „Gmach piętrowy, murowany, przeszło 240 łokci długi, a 24 łokcie szeroki, mieści w sobie piękne fabryki likieru, syropu, octu, blejwasu [biel ołowiana] i kremserwejsu [biała farba olejna] tudzież browar, wytwarzający najlepszych gatunków piwo”¹⁷⁷. Ponadto założono w miasteczku nowe rzeźnie, zbudowano cegielnię, cukrownię, młyn i piekarnię.

„Nową epokę w życiu miasteczka stanowi zaprowadzenie tu zakładów przemysłowych przez Steinkellera, który nabywszy dobra żareckie od Męcińskich, zajął się zarówno melioracjami, jak i wytworzeniem w osadzie życia przemysłowego”¹⁷⁸ — czytamy w *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego*. Inwestycje przeprowadzone przez Steinkellera, unowocześnienie gospodarki rolnej i uprzemysłowienie majątku, uczyniło z Dominium żareckiego jedną z najlepiej zagospodarowanych posiadłości w Królestwie. W efekcie poważnie wzrosła wartość szacunkowa dóbr, które w 1843 r. — bez uwzględnienia zakładów przemysłowych — oceniono na 2 086 726 złotych polskich.¹⁷⁹

Wiele zmieniło się w miejscowych stosunkach wiejskich. Chłopi z dóbr żareckich zostali częściowo uwolnieni od pańszczyzny, którą zamieniono na czynsz. Odpowiadało to interesom właściciela.

i było niewątpliwie krokiem naprzód w ówczesnej sytuacji wsi polskiej.

Rozwój przemysłu miejscowego, a więc i wzrost zatrudnienia, oraz rozszerzenie się handlu wpłynęły pobudzająco na życie samego miasteczka. Liczba mieszkańców Żarek zwiększyła się z 2 573 w 1827 r. do 3 225 w roku 1850. Rozwinęło się budownictwo miejskie, wzrosła liczba osób zatrudnionych w handlu, rzemiośle i przemyśle, a to wszystko przecież oznaczało wyjście z vegetacji gospodarczej właściwej poprzedniemu okresowi.

Nie należy wszystkich tych pozytywnych przemian przypisywać wyłącznie Steinkellerowi. Były one jakąś wypadkową zamierzonej, świadomej działalności właściciela Żarek i dokonujących się niezależnie od niego przeobrażeń gospodarczych, którym podlegało całe Królestwo. Faktem jednak jest, że inwencja i działalność Steinkellera wywarły poważny wpływ, i jemu przede wszystkim zawdzięczały Żarki swój pomyślny rozwój gospodarczy.

Dobra koniunktura Żarek, jak pokazał czas, opierała się na trwałszych podstawach niż losy ich właściciela. Oto jak generał Tomasz Lubieński charakteryzował Steinkellera: „Dosyć, że on chociaż prędzej, później upadnie, zawsze nadto wiele rzeczy biorąc na siebie, ale da zawsze popęd bardzo wielu użytecznym przedsięwzięciom”¹⁸⁰. Nie jest to stwierdzenie pozbawione racji. Steinkeller w tym samym czasie zajmował się transportem soli, inwestycjami w Żarkach, przemysłem cynkowym i ulepszeniem komunikacji, rozwijał działalność handlową w Warszawie, gdzie ponadto stworzył duży ośrodek przemysłowy wokół Młyna Parowego na Solcu, podróżował w celach gospodarczych do Wiednia, Paryża i Londynu. W każdym podjętym działaniu przejawiał rzutkość i pomysłość. Mimo że sam Steinkeller skończył krachem, nie miało to większego wpływu na dalszy rozwój zapoczątkowanych przez niego przedsięwzięć.

Nasz bohater zajął się między innymi usprawnieniem komunikacji i transportu, tego swoistego układu krwionośnego społeczeństwa. Trudności komunikacyjne wywierały niekorzystny wpływ na stan gospodarki krajowej. Wawrzyniec Surowiecki, wybitny ekonomista doby Księstwa Warszawskiego, pisał: „Kraj nasz obfitujący wszędzie w zbytek jednych płodów, z tej przyczyny cierpi

niedostatek drugich, że mu brakuje sposobu taniego ich przewozu”¹⁸¹.

Zasługą Staszica, Lubeckiego, a potem instytucji Banku Polskiego była znaczna poprawa sytuacji na tym odcinku. Zbudowano Kanał Augustowski w latach 1823—37, wytyczono i oddano do użytku po 1831 r. sześć traktów bitych, liczących 2 240 km. Nie rozwiązało to jednak problemu komunikacji i transportu, szczególnie wobec szybkiego wówczas rozwoju przemysłu, handlu, rolnictwa i hodowli.

Steinkeller rozpoczął działalność w zakresie komunikacji od prób uruchomienia żeglugi parowej na Wiśle i zorganizowania transportu solnego. Jeśli chodzi o transport rzeczny, Steinkeller ustąpił miejsca Andrzejowi Zamoyskiemu z jego Towarzystwem Żeglugi Parowej na Wiśle, trwale natomiast zapisał się w historii komunikacji lądowej.

Zorganizował regularną komunikację za pomocą konnych dyliżansów. „Steinkellerki” — tak nazywały się karety kurierskie — kursowały na drogach Królestwa Polskiego jeszcze w początkach bieżącego stulecia. „Wyparte obecnie z szerszego obiegu żalozne te szczątki dni minionych — wspomina autor monografii o Steinkellerze w 1905 r. — biegają jeszcze z Warszawy w kierunku Radomia i na niektórych innych traktach pocztowych. Składają się z postawionego na czterech kołach długiego drewnianego kadłuba, obitego zewnątrz blachą. Wewnątrz posiadają stojące wzdłuż ścian ławki dla dziesięciu pasażerów. Jedenasty mógł się umieścić z woźnicą i konduktorem, którzy siedząc pod niewielkim daszkiem na przedzie, byli oddzieleni od towarzystwa podróżnych krótką ścianą z okienkiem. Wchodziło się do wnętrza po stopniu przez drzwiczki w tylnej ścianie. Tak zwane steinkellerki odznaczały się niezwykłą trwałością, resory ich i osie, pomimo tylu lat użycia, dotąd są chętnie nabywane.”¹⁸²

Ponad 60 lat spędzonych w służbie łączności zawdzięczały „steinkellerki” niewątpliwie swoim zaletom technicznym. Choć więc były anachronizmem w dobie przeobrażeń technicznych z elektrycznością i telefonem, samochodem i samolotem, na przełomie stuleci spotykano jeszcze wysłużone karety konne zmarłego już dawno Steinkellera na szlakach komunikacyjnych ziem polskich

obok ekspresowych i kurierskich pociągów parowych. Dziś możemy je obejrzeć tylko w muzeach.

Na początku 1838 r. wystąpił Steinkeller z projektem organizacji ruchu pocztowo-pasażerskiego w Królestwie. Zrozumienie potrzeb rozwijającego się handlu i przemysłu, wzmożona migracja ludności, znajomość organizacji komunikacji w Anglii i Francji oraz zapewne spodziewane zyski — skłoniły go do podjęcia tej inicjatywy. W projekcie przedstawionym władzom deklarował gotowość uruchomienia własnego zakładu produkującego odpowiednie pojazdy i prosił o kredyt w wysokości 200 tys. złotych polskich, zobowiązując się do sprowadzenia z Anglii „znakomitych fabrykantów powozów, obeznanych z postępowymi ulepszeniami w przemyśle tego rodzaju”¹⁸³.

Kontrakt w tej sprawie zawarto 4 września 1838 r. w obecności notariusza Aleksandra Engelkego. W imieniu Steinkellera umowę podpisał jego pełnomocnik, kupiec i właściciel kantoru bankowego, Wilhelm Hordliczka.¹⁸⁴

Uzyskawszy zapewnienie pomocy finansowej, Steinkeller energicznie zabrał się do dzieła. W pobliżu Młyna Parowego na Solcu w Warszawie, będącego od kilku lat jego własnością, zbudowano fabrykę powozów. Zakładem tym kierował w latach późniejszych młodszy brat Piotra, Rudolf Steinkeller. W 1843 r. warsztaty soleckie wzbogacone zostały nową lakiernią. Części metalowe pojazdów produkowano w Żarkach.

O rozmachu tego przedsięwzięcia Steinkellera świadczy wymownie liczba zatrudnionych w zakładzie soleckim. W roku 1852 pracowało tu około 700 stolarzy, siodlarzy, rymarzy, ślusarzy, kowali, kołodziei i innych wykwalifikowanych oraz niewykwalifikowanych robotników. Był to na owe czasy duży kombinat, który wraz z Młynem Parowym oraz fabryką budowy maszyn, należąca do Banku Polskiego, nadawał Solcowi charakter najbardziej wówczas uprzemysłowionej dzielnicy Warszawy. Do 1843 r. Steinkeller włożył w przedsiębiorstwo milion złotych polskich; znaczną część tej sumy uzyskał w formie kredytów z Banku Polskiego.

Pierwsza karetka kurierska wyruszyła 1 października 1838 r. na trakt Warszawa-Kraków, pokonując odległość 40,75 mili*, to jest

* 1 mila = 7 wiorst = 7467 metrów.

304,3 km, w ciągu 22 godzin 17 minut. Było to zaledwie w kilka miesięcy po przystąpieniu Steinkellera do zorganizowania przedsiębiorstwa.

Oto szczegółowy rozkład jazdy na trasie Warszawa-Kraków oraz prospekt reklamowy nowego przedsiębiorstwa, wydrukowany w 1838 r. na specjalnych ozdobnych blankietach:

UWIADOMIENIE EKSPEDYCJI GŁÓWNEJ KARETY KURIERSKIEJ PIOTRA STEINKELLERA

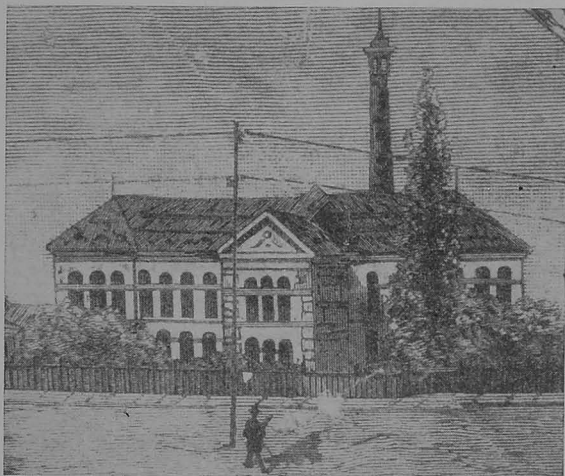
Kareta Kurierska z Warszawy do Krakowa								
odl. stacji od W-wy (w milach)	Stacja pocztowa	odl. stacji od stacji	przybywa na stację				czas do eks. min.	U w a g i
			z rana		po połud.			
			godz.	min.	godz.	min.		
0	Warszawa				4			
3	Sękocin	3			5	30	2	
5	Tarczyn	2			6	32	2	
6 3/4	Grójec	1 3/4			7	27	2	
10	Białobrzegi	3 1/4			9	7	30	kolacja
12 1/2	Jedlińsk	2 1/2			10	51	2	
14 1/4	Radom	1 3/4			11	46	2	
16 1/4	Orońsk	2	12	48			2	
18 1/4	Szydłowiec	2	1	50			2	
21	Suchedniów	2 3/4	3	15			2	
24 1/2	Kielce	3 1/2	5	2			2	
26 1/2	Chęciny	2	6	4			2	
29 1/2	Jędrzejów	3	7	36			30	śniadanie
31 1/2	Wodzisław	2	9	15			2	
35	Miechów	3 1/2	10	52			2	
38 3/4	Wilczkowie	3 3/4			12	47	30	ekspedycja na komorze
40 3/4	Kraków	2			2	17	2	

z Krakowa do Warszawy

0	Kraków		10	45			2	
2	Wilczkowie	2	11	45			30	ekspedycja na komorze
5 3/4	Miechów	3 3/4			2	10	30	obiad
9 1/4	Wodzisław	3 1/2			4	29	2	
11 1/4	Jędrzejów	2			5	33	2	
14 1/4	Chęciny	3			7	7	2	
16 1/4	Kielce	2			8	11	30	kolacja
19 3/4	Suchedniów	3 1/2			10	27	2	
22 1/2	Szydłowiec	2 3/4			11	54	2	
24 1/2	Orońsk	2	12	58			2	
26 1/2	Radom	2	2	2			2	
28 1/4	Jedlińsk	1 3/4	2	59			2	
30 3/4	Białobrzegi	2 1/2	4	18			2	
34	Grójec	3 1/4	6				2	
35 3/4	Tarczyn	1 3/4	6	57			30	śniadanie
37 3/4	Sękocin	2	8	28			2	
40 3/4	Warszawa	3	10				—	



Współczesna karykatura Piotra Steinkellera
Reprodukcja z książki *Piotr Steinkeller — dwie monografie*



Młyn parowy na Solcu w Warszawie
Archiwum Państwowe m. st. Warszawy

SZKICE I TYPY WARSZAWSKIE.

Rysował F. Kostrzewski.



Pracownicy Wisły

Drzeworyt wg rysunku Fr. Kostrzewskiego z cyklu „Szkice i typy warszawskie”,
Muzeum Historyczne m. st. Warszawy



№ 305
115

Wzrost 5 st 10 lin. ciemne
oczu i nosa i ust. włosy
ciemne i gęste. Oczy
niebieskie. Nos i usta
średnio. Ciężar ciała
160 funtów. Ciężar
serca 12 funtów. Ciężar
płuc 12 funtów. Ciężar
jelcztwa 12 funtów. Ciężar
wątroby 12 funtów. Ciężar
śledziony 12 funtów. Ciężar
nerek 12 funtów. Ciężar
pęcherzyka żółci 12 funtów.
1. Wzrost 5 st 10 lin. ciemne
oczu i nosa i ust. włosy
ciemne i gęste. Oczy
niebieskie. Nos i usta
średnio. Ciężar ciała
160 funtów. Ciężar
serca 12 funtów. Ciężar
płuc 12 funtów. Ciężar
jelcztwa 12 funtów. Ciężar
wątroby 12 funtów. Ciężar
śledziony 12 funtów. Ciężar
nerek 12 funtów. Ciężar
pęcherzyka żółci 12 funtów.
2. Wzrost 5 st 10 lin. ciemne
oczu i nosa i ust. włosy
ciemne i gęste. Oczy
niebieskie. Nos i usta
średnio. Ciężar ciała
160 funtów. Ciężar
serca 12 funtów. Ciężar
płuc 12 funtów. Ciężar
jelcztwa 12 funtów. Ciężar
wątroby 12 funtów. Ciężar
śledziony 12 funtów. Ciężar
nerek 12 funtów. Ciężar
pęcherzyka żółci 12 funtów.
3. Wzrost 5 st 10 lin. ciemne
oczu i nosa i ust. włosy
ciemne i gęste. Oczy
niebieskie. Nos i usta
średnio. Ciężar ciała
160 funtów. Ciężar
serca 12 funtów. Ciężar
płuc 12 funtów. Ciężar
jelcztwa 12 funtów. Ciężar
wątroby 12 funtów. Ciężar
śledziony 12 funtów. Ciężar
nerek 12 funtów. Ciężar
pęcherzyka żółci 12 funtów.

Fotokopia strony tytułowej spisu inwentarza pozostałego po Piotrze Steinkellerze, sporządzonego po jego śmierci w 1854 r. na żądanie rodziny



Tablica pamiątkowa poświęcona Piotrowi Steinkellerowi, wmurowana w 1904 r. w kościele św. Piotra i Pawła na Koszykach w Warszawie

Na mocy Postanowienia Rady Administracyjnej z daty 26 lipca/7 sierpnia rb. Nr 20382 oraz porozumienia się z Dyrekcją Jeneralną Poczty otwieram w ciągu miesiąca września rb. pomiędzy Warszawą a Krakowem związek karety kurierskiej. Urządzonej w tym celu powóz najwygodniejszy, uprzążony trzema wyborowymi końmi, kierowany przez kuriera, obchodzić będzie stosownie do znajdującej się przy niniejszym Tabelli każdego dnia w tygodniu, wyjąwszy niedzielę, z Warszawy o godz. 4 z południa, z Krakowa zaś o 10 rano, i odbywać drogę tę, mil 40 i $\frac{3}{4}$ wynoszącą, w przeciągu 22 godzin 17 minut. Tenże powóz odwozić będzie podróżnych do wszystkich miejsc położonych na trakcie oznaczonym pomiędzy wzmiankowanymi dwoma głównymi Miastami. Przedsiębiorca nie pominął starania i aby zapewnić Pasażerom dobrej i taniej usługi na stacjach, na których powóz dla śniadania, obiadu i kolacji zatrzymywać się będzie. Opłata od osoby, mogącej mieć ze sobą 20 π [funtów] pakunku, wynosi zł 1 gr 15 na milę. Zapisywanie się podróżnych oraz ekspedycja Karety Kurierskiej miejsce mieć będzie w Warszawie w domu moim przy ulicy Trębackiej pod liczbą 638. W Krakowie zaś przy ulicy Szpitalnej pod liczbą 57 5/6 w Hotelu pod Złotą Kotwicą.

*Piotr Steinkeller*¹⁸⁵

Z pomocą Steinkellerowi przysłała usłużna prasa warszawska i krakowska, reklamując jego przedsiębiorstwo przewozowe. Od początku rozwijało się ono pomyślnie. Karety kursowały regularnie, podróż była dość wygodna, a uwzględniając dużą odległość między obu miastami, kilkakrotną zmianę koni na trakcie, czas dwóch posiłków oraz odprawę celną na granicy Królestwa i Galicji w Wilczkowicach — trwała naprawdę krótko. Koszt podróży jednej osoby z Warszawy do Krakowa wynosił 60 złotych polskich. Oczywiście z tego środka lokomocji mogli korzystać ludzie względnie zamożni. Chłop idący ze wsi do miasta w poszukiwaniu pracy, czeladnik wędrowny, wyrobnik czy uboższy inteligent nadal chodzili pieszo, w najlepszym razie korzystając z wynajętej furmanki.

W 1840 r. przedsiębiorstwo zostało rozszerzone. Weszli doń nowi wspólnicy, rekrutujący się spośród warszawskich kapitalistów, tworząc spółkę, która uruchomiła komunikację osobowo-pocztową na wszystkich głównych traktach Królestwa, mianowicie:

1. Warszawa-Siedlce-Brześć nad Bugiem;
2. Warszawa-Markuszew-Lublin-Zamość;
3. Warszawa-Łowicz-Kalisz oraz Kalisz-Poznań;
4. Warszawa-Kowal-Włocławek-Toruń;
5. Warszawa-trakt kowieński.

Przedsiębiorstwo przynosiło znaczny dochód. Z samej tylko sprzedaży furgonów, produkowanych na szerszy zbył, i przewozu poczty karetami kurierskimi, bez uwzględnienia opłat z tytułu przewozu pasażerów, Steinkeller otrzymywał rocznie około 100 tys. złotych polskich.¹⁸⁶ Nawet gdy poczynając od 1845 r. zaczęto oddawać do użytku pierwsze odcinki Kolei Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, dochodowość przedsiębiorstwa nie zmniejszyła się. Mimo rozwoju komunikacji kolejowej wiele regionów i miast Królestwa, jak na przykład Kalisz, nie uzyskało połączenia kolejowego przez długie jeszcze dziesiątki lat. W tej sytuacji „steinkellerki” pozostawały dla upośledzonych miast i osiedli jedynym regularnym środkiem łączności pocztowej i pasażerskiej.

Interesuje zapewne Czytelnika stosunek Steinkellera do budowy dróg żelaznych w Polsce. Otóż był on pierwszym, który rzucił projekt połączenia linią kolejową Warszawy z zagłębiem przemysłowym zachodnim, a dalej — przez granicę z Wiedniem. Miało to miejsce na kilka lat przed zorganizowaniem przedsiębiorstwa karek kurierskich. O tym jednak będziemy mówić w szkicu poświęconym wyłącznie dziejom pierwszej drogi żelaznej w Królestwie Polskim. Sprawa ta wykracza znacznie poza krąg działalności samego Steinkellera.

Charakteryzując poczynania gospodarcze bohatera niniejszego szkicu, nie można pominąć jego powiązań z przemysłem cynkowym, w którym utopił on cały bez mała majątek zdobyty na innych polach swej rozległej działalności przemysłowej i handlowej.

Złóża srebra i rud cynkowo-ołowianych w Polsce znane były już we wczesnym średniowieczu. Według przekazów źródłowych w XII i XIII stuleciu kopalnictwo rud ołowiu i srebra znajdowało się wówczas w rozkwicie. Była to więc, obok wydobywania soli w Wieliczce i Bochni jedna z najstarszych w Polsce gałęzi górnictwa. Cynk zaczęto wytapiać dopiero w XVIII w.

Podróżując wzdłuż tego starego zagłębia górniczego Polski piastowskiej, dostrzeżemy w okolicy Olkusza las kominów nowego wielkiego kombinatu przemysłu cynkowego; złoża rudy w tej okolicy były eksploatowane w czasach Steinkellera. Są to słynne zakłady „Bolesław”, których uruchomienie w Polsce Ludowej zre-

wolucjonizowało — rzec można bez przesady — życie okolicznych ubogich w ziemię wiosek. Kombinat górniczo-hutniczy „Bolesław” stał się dla wsi powiatu olkuskiego tym, czym Nowa Huta dla wsi podkrakowskich. Przyciąga on i wchłania setki okolicznych chłopów, burząc stary układ stosunków społecznych na tym skrawku Polski.

Tworząc największe w Polsce zakłady górniczo-hutnicze cynku i ołowiu, państwo ludowe nawiązało do wiekowych tradycji tego ośrodka górniczego, który w roku 1959 obchodził sześćsetlecie swego istnienia. Ta sędziwa gałąź naszej gospodarki narodowej osiągnęła w ciągu ostatniego piętnastolecia wysoki poziom, reaktywując nie eksploatowane od wielu lat, a w niektórych wypadkach nawet od wieków — pokłady rud galmanowych, z których otrzymuje się między innymi cynk. Polska jest obecnie krajem, który zajmuje szóste miejsce w światowej produkcji cynku — po USA, ZSRR, Belgii, Kanadzie i NRF.

Pokłady rud cynkowo-ołowianych ciągną się w dwóch prawie równoległych pasmach, z północnego zachodu na południowy wschód, na terenach Krakowskiego i Śląska. Jest to najbogatsze skupisko rud galmanowych w Polsce i jedno z największych w świecie.

Eksploatowano je od wieków, wydobywając ołów i srebro, a skarb królewski poważnie zasilala tzw. olbora olkuska. Była to danina wnoszona przez miejscowych gwarków, to jest górników i przedsiębiorców górniczych dzierżawiących kopalnie.

Właściwości geologiczne okolic Olkusza, a szczególnie napór wód podskórnych zatapiających głębiej położone pokłady kopalnin, od dawna były utrapieniem tego ośrodka górniczego. Mimo podejmowanych od XV w. kosztownych prób odwodnienia przez przekopywanie sztolni odwadniających, czyli chodników drażnionych w ziemi dla odprowadzania wody z zalanych pokładów, kopalnie olkuskie w ciągu wieku XVII stopniowo obumierały.

Starano się uruchomić je ponownie w XVIII w., ale bez powodzenia. Czasy Królestwa Polskiego przyniosły nowe zabiegi wokół odwodnienia zalanych kopalń. Wiele uwagi poświęcił tej sprawie Stanisław Staszic. Podjął on starania o ożywienie olkuskiego regionu górniczego. Z jego inicjatywy projektowano odbudowę dawnych sztolni: pileckiej, starczynowskiej oraz największej, pocho-

dzącej z XVI w., sztolni ponilkowskiej. Władze skarbowe Królestwa nie kwapiły się z podjęciem prac z uwagi na wysokie koszty. Minister Lubecki zaakceptował wreszcie plan odwodnienia kopalń olkuskich za pomocą wielkich maszyn parowych, które Filip Girard i Piotr Steinkeller sprowadzili w 1829 r. z Anglii, lecz wydarzenia lat 1830—31 nie pozwoliły na jego realizację.

Zainteresowanie Steinkellera cynkiem było spowodowane wzrastającym zapotrzebowaniem na ten metal na rynkach zagranicznych, rokującym duże dochody. Ów motyw, pokrywany wprawdzie w oficjalnych wypowiedziach i pismach wzniosłymi słowami o chęci przysłużenia się krajowi, skłonił najpewniej Steinkellera do zajęcia się cynkiem. Na terenie Królestwa Polskiego cynk wydobywano i przetwarzano w zakładach górniczo-hutniczych w rejonie Sławkowa, Będzina i Dąbrowy Górniczej oraz w Niemcach. Mieszczanie olkusczy również dobywali rudę galmanu, aczkolwiek w niewielkich ilościach i prymitywnym sposobem odkrywkowym z łatwo dostępnych pokładów. Głównymi nabywcami cynku były w tym czasie kraje zachodnioeuropejskie i Rosja oraz Indie. Jednakże jeszcze przed 1830 r. nastąpiło pewne przesylenie tym artykułem, co spowodowało duży spadek cen i naraziło na poważne straty między innymi skarb Królestwa Polskiego.

Piotr Steinkeller od początku swej kariery zdradzał duże zainteresowanie cynkiem. Jeszcze przed przeniesieniem się z Krakowa do Warszawy uruchomił hutę cynku w Niedzieliskach na obszarze Rzeczypospolitej Krakowskiej. Jego związki z przemysłem cynkowym pogłębiły się po 1825 r., kiedy to zawarł on umowę z władzami skarbowymi Królestwa o transport węgla i rud Wisłą z zagłębia zachodniego do Gdańska. Rozległe stosunki handlowe, częste wyjazdy za granicę i znajomość tamtejszego środowiska przemysłowo-handlowego bez wątpienia dawały Steinkellerowi pewne podstawy do zajęcia się hurtowym zbytem cynku wytwarzanego w Królestwie.

W latach trzydziestych koniunktura na cynk na rynkach światowych uległa znacznej poprawie. Po powstaniu listopadowym przemysł cynkowy, podobnie jak całe górnictwo i hutnictwo skarbowe, znalazł się pod zarządem Banku Polskiego, którego kierownicą, prezes Józef Lubowidzki i wiceprezes hrabia Henryk Łubiński, kontynuowali politykę protekcyjną Lubeckiego.

Wśród wielu reflektantów na przejęcie z rąk Banku hurtowej sprzedaży cynku znaleźli się Piotr Steinkeller oraz Dom Handlowy Braci Łubieńskich. Henryk Łubieński postarał się, by rokujący poważne korzyści interes pozostał w rękach rodziny. Steinkeller jednak nie dawał za wygraną i kosztem poważnych koncesji na rzecz Łubieńskich, o czym była mowa w poprzednim szkicu, odkupił od nich komisową sprzedaż cynku. Stało się to w 1835 r., który w karierze „naszego znakomitego ziomka” miał być początkiem jego katastrofy.

Steinkeller od razu rozwinął szeroką działalność, zmierzając do całkowitego zmonopolizowania sprzedaży cynku w swoim ręku. Zebrawszy wśród personelu górniczego informacje o możliwościach produkcyjnych kopalń i hut cynkowych, pozawierał wiążące umowy na rynkach zagranicznych, usiłując przyciągnąć do spółki kapitały francuskie i angielskie. Na przedmieściach Londynu wybudował własną walcownię cynku. Za pośrednictwem agentów, wśród których znajdował się jego brat Rudolf, zakupił cały cynk produkowany przez przemysł górniczo-hutniczy na terenie Wolnego Miasta Krakowa.

W 1836 r. Steinkeller zawarł z Bankiem Polskim umowę na 20 lat, na mocy której obejmował całkowicie administrację rządowego górnictwa i hutnictwa cynkowego. Przebywał on wówczas w ciągłych rozjazdach zagranicznych, tak że nawet akt tego ważnego kontraktu dzierżawnego podpisywał jego pełnomocnik, adwokat warszawski Wojciech Trzetrzewiński. Zasugerowany przyszłymi zyskami, Steinkeller przyjął bardzo uciążliwe warunki. Podejmował się między innymi osuszenia własnym kosztem zatopionych kopalń olkuskich. Licząc na rozszerzenie produkcji cynku, zobowiązał się do uiszczania corocznie z tytułu czynszu dzierżawnego 600 tys. złotych polskich od 110 tys. cetnarów cynku — takie bowiem przewidywał minimum wydobycia rocznego.¹⁸⁷

Nic nie zapowiadało fatalnego końca. Przeciwnie, wszystko wydawało się ściśle wykalkulowane, a osoba Steinkellera, nie nowicjusza przecież, rokowała pomyślny rozwój spraw. Bank był zadowolony, ponieważ umowa przewidywała rozbudowę przemysłu cynkowego, w którym kopalnie olkuskie miały odegrać niepoślednią rolę.

W opinii prezesa Banku z 6 marca 1840 r. czytamy: „Zakupił on [Steinkeller] wszystkie cynk polski i krakowski, sprzedał i zakupił znaczne partie w Londynie i na innych targach, pokombinowawszy tak terminy odstawy, że cały ten handel przeszedł w jego ręce [...] Bank jest przekonany, że do korzystnej sprzedaży tego metalu konieczne jest staranie osoby prywatnej, a zarazem, że do tego rodzaju handlu nikt zdaniejszym nie jest od P. Steinkeller [...]”¹⁸⁸

W kilka lat później podobnie pisał o sobie sam Steinkeller: „Znając handel zagraniczny cynkiem, ja, który jak to w świecie handlowym wszystkim jest wiadomo, cenami tego artykułu podług mego kierowałem upodobania, potrafię korzystać ze spekulacji; w moim ręku cynk ma inną wartość, jak w ręku rządu, który będąc pozbawiony tych środków, zapasy swoje w drodze licytacji sprzedawać musiał [...] Wówczas spekulanci specjalnie postaraliby się obniżyć ceny cynku, by nabyć go od rządu [...]”¹⁸⁹ Zdaniem naszego przedsiębiorcy najwygodniej było czekać na koniunkturę na rynkach światowych, a sam cynk, rozmiary jego produkcji utrzymywać w tajemnicy, by w odpowiednim momencie sprzedać go po najkorzystniejszych cenach.

Można podziwiać Steinkellera, który w swej działalności na rozległych rynkach europejskich posługiwał się metodami właściwymi przedsiębiorcom dojrzałej formacji kapitalistycznej. Górował on pod tym względem nad współczesnymi sobie kapitalistami z terenu Królestwa, nie mówiąc już o ciężkiej machinie urzędniczej Banku Polskiego, którego kierowników metody Steinkellera wprawiały w zachwyt.

Nie na wiele jednak zdała się rzutkość i spryt warszawskiego przedsiębiorcy. Świetnie zapowiadający się interes przynosił same niepowodzenia. Przede wszystkim zawiodły rachuby Steinkellera na rozszerzenie się produkcji cynku. Mimo dużych nakładów finansowych nie udało się osuszyć kopalni olkuskich. W 1837 r. rozpoczęto prace przy zastosowaniu maszyn parowych, w tym jednej o mocy 100 KM, wyprodukowanej w Żarkach, jednakże jeszcze w 1842 r. nie było widać żadnych pomyślnych rezultatów. Na miejsce wody wypompowanej w ciągu dnia nocą napływała nowa. Ponadto właściwa tamtejszym warunkom geologicznym kurzawka hamowała postęp robót.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że przy ówczesnym stanie techniki osuszenie zalanych kopalń było zadaniem bardzo trudnym. Dopiero w Polsce Ludowej prace nad odwodnieniem zalanych szybów i sztolni wkroczyły w stadium rokujące pomyślne rezultaty. Tak więc podsycane przez Steinkellera nadzieje potomków staropolskich gwarków olkuskich miały się spełnić po przeszło stu latach.

Steinkeller, zapoznawszy się w 1836 r. ze stanem górnictwa olkuskiego, oparł się na opiniach personelu technicznego — mechaników i inżynierów górniczych, wśród których był znany Czytelnikowi Filip Girard. Opracowali oni projekt odwodnienia zalanych kopalń nie za pomocą kanałów odprowadzających wodę, lecz przy zastosowaniu pomp wodnych poruszanych maszynami parowymi. Było to niezgodne ze starą, praktykowaną od wieków na tym terenie metodą stosowania sztolni odwadniających, którą zresztą popierał wówczas zdolny inżynier górniczy, Józef Cieszkowski.

Przekonawszy się, iż plany jego poniosły fiasko, Steinkeller już w 1839 r. domagał się rozwiązania niewygodnego dlań kontraktu z roku 1836, pragnąc zatrzymać w swoim ręku tylko komisową sprzedaż cynku bez odpowiedzialności za cały wydobywczy przemysł cynkowy. Napotkał jednak zdecydowany opór władz skarbowych, które wypowiedziały się negatywnie w tej sprawie. „Steinkeller znał i wiedział, że produkcja cynku od osuszenia kopalń zależy — czytamy w opinii urzędowej — lecz na każdy przypadek przyjął risico na siebie [...] Dla P. Steinkeller przedmiot ten nie był obcym [...] przystępując do tej antreprzyzy sam nawet poza wiedzą Banku o zamożności kopalń zbierał wiadomości i we własnych środkach, a szczególnie w osuszeniu kopalń olkuskich pokładał nadzieję zwiększenia produkcji [...]”¹⁹⁰

Ostatecznie Bank Polski wbrew oporowi Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu rozwiązał zawartą ze Steinkellerem umowę o administrację rządowego przemysłu cynkowego, pozostawiając go tylko przy komisowej sprzedaży cynku. Jednakże długi, w które popadł niefortunny dzierżawca w latach 1836—40, kiedy kierował całą gospodarką cynkową, były tak olbrzymie, że Bank musiał położyć rękę na wszystkich dochodach Steinkellera ze sprzedaży cynku, które odtąd w całości miały iść na pokrycie jego zobowią-

zań wobec skarbu Królestwa z tytułu kontraktu zawartego w 1836 r.

Dodajmy, że zawiodły również Steinkellera rachuby na zorganizowanie międzynarodowego konsorcjum do sprzedaży cynku.. W 1836 r. nastąpił krach jego współników paryskich, co wiązało się z ówczesnym kryzysem gospodarczym na Zachodzie. Odstąpili także od spółki kapitaliści angielscy. Wobec tego, aby sprostać przyjętym zobowiązaniom Steinkeller już w końcu roku 1836 musiał się poważnie zadłużyć w Banku Polskim, który udzielił mu wówczas zaliczeń sięgających 2 500 tys. złotych polskich, zabezpieczonych na całym jego majątku.¹⁹¹ A więc na samym początku tego przedsięwzięcia nastąpiły takie powikłania, których konsekwencje zdecydowały o losach Steinkellera.

Z dniem 1 stycznia 1843 r. całe rządowe górnictwo i hutnictwo wyłączono spod administracji bankowej i oddano pod zarząd Wydziału Górnictwa, podporządkowanego bezpośrednio Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. Z tą chwilą wszystkie sprawy dotyczące Steinkellera uzależnione dotychczas od Banku Polskiego znalazły się w gestii oficjalnych osobistości z Komisji Przychodów, wśród których od dłuższego czasu panowały nastroje krytyczne wobec całej polityki Banku Polskiego oraz powiązanego z tą instytucją wieloma interesami Steinkellera.

Nadal prowadzone w tymże roku na rachunek Steinkellera prace odwadniające w rejonie Olkusza nie przyniosły żadnych poważniejszych efektów. Ponadto wówczas właśnie nastąpiło zahamowanie produkcji w fabryce żareckiej, a 9 grudnia 1843 r. pożar i huragan zrujnowały doszczętnie hutę cynkową w Dąbrowie oraz dzierzawione przez huty w Będzinie i Niemcach.¹⁹² Waliły się główne podstawy, na których opierał swe rachuby Steinkeller, nagabywany wciąż o zwrot długów.

Mimo niepowodzeń działalność Steinkellera miała pozytywne skutki dla przemysłu cynkowego Królestwa. Wzrosły wprawdzie koszty wydobywania, lecz produkcja cynku także wzrosła z 35 440 cetnarów w 1833 r. do 59 923 cetnarów w roku 1842; nie osiągnęła jednak poziomu przewidywanego przez Steinkellera.¹⁹³ Wprowadzono dość istotne ulepszenia w procesie technologicznym wytopu cynku oraz w produkcji blachy cynkowej. Uruchomienie londyńskiej walcowni, a co ważniejsze, zorganizowanie korzystnej sprzedaży

cynku na rynkach zagranicznych — wprawdzie w dogodniejszych warunkach niż w okresie złej koniunktury przed 1830 r. — było niewątpliwą zasługą rzutkiego przedsiębiorcy. Inne korzyści to upowszechnienie zastosowania węgla kamiennego pochodzącego z krajowych kopalń, do produkcji przemysłowej w hutach cynkowych, co z punktu widzenia postępu gospodarczego miało wówczas duże znaczenie.

Trzeba przyznać, że umieli docenić te zasługi ludzie, którzy niejednokrotnie wypowiadali się krytycznie na temat faworyzowania Steinkellera przez Bank Polski. Benedykt Niepokojczycki, prezes Banku Polskiego od 1843 r., bronił Steinkellera przed atakami ze strony dygnitarzy z Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, stwierdzając: „Pozyteczne prace P. Steinkellera dla kraju, którym prawie całe swe mienie poświęcił, względ na upadek domu L'Adame [zbankrutowanego współnika Steinkellera] w Paryżu i straty stąd wynikłe były Bankowi powodem, że proszącemu o pomoc takowej nie odmawiał [...] Przedsięwzięcia P. Steinkellera są wszystkie w zawodzie przemysłowym niezaprzeczoną użyteczność dla kraju niosące [...] im dalej cofnie się epoka likwidacji P. Steinkeller, tym na mniejszą stratę Bank wystawionym się znajdzie — pisał Niepokojczycki w raporcie z 1845 r., w którym tłumaczył także, dlaczego bank zwleka ze zlikwidowaniem swych interesów z niefortunnym dłużnikiem. — Lecz skutki upadłości tak użytecznego przedsiębiorcy dla kraju, jakim był i jest P. Steinkeller, nie podług cyfr rachunkowych tylko obliczane być powinny [...] P. Steinkeller jest jednym z przedsiębiorców przemysłowych, którego widoki ku dobru krajowemu, nie zaś osobistych zysków głównie kierowane były [...]”¹⁹⁴

Słowa te brzmią bardzo pochlebnie dla zadłużonego po uszy kontrahenta Banku Polskiego. Opinie takie wpłynęły na przedłużenie stanu „zawieszenia broni” między dłużnikiem i wierzycielem. Upadek jednak zbliżał się milowymi krokami. Na nic zdały się gorączkowe wysiłki Steinkellera, by wyrwać z trudnej sytuacji.

Od 1837 r. był on faktycznie tylko agentem Banku Polskiego, gdy tymczasem jeszcze trzy lata wcześniej należał do niego majątek, którego wartość bez zadłużeń zamykała się kwotą około 3 mln. złotych polskich. Bank pozostawał głównym wierzycielem, a znac-

ne zaliczenia pieniężne na rzecz Steinkellera już w 1836 r. — a więc w związku z krachem przedsiębiorstwa cynkowego — przekroczyła wartość obiektów stanowiących ich zabezpieczenie. Steinkeller uzyskał z Banku Polskiego łącznie 118 612 198 złotych polskich kredytu.¹⁹⁵ W 1853 r. ciążył jeszcze na nim dług w wysokości 11 971 785 złotych polskich. Nie spotkamy w tych czasach w Królestwie drugiego wypadku tak wielkiego zadłużenia się osoby prywatnej w instytucji państwowej.

Mimo bardzo trudnej sytuacji Steinkeller nie tracił głowy. Przeciwnie, właśnie na lata 1836—45 przypada jego najbardziej intensywna działalność. Odbył kilka podróży na Zachód w sprawach cynku i kolei żelaznej, prowadził ożywione spekulacje kierując Domem Handlowym przy ulicy Trębackiej, rozbudował znacznie Młyn Parowy na Solcu, uruchomił fabrykę powozów i zorganizował komunikację pocztowo-pasażerską na różnych traktach. Zajmował się także rolnictwem i przemysłem w dobrach żareckich i nadal prowadził interes solny. W całym tym okresie Steinkeller uczestniczył w pracach Zgromadzenia Kupców miasta Warszawy, pełnił funkcje honorowe w Resursie Kupieckiej, był radcą handlowym Banku Polskiego i agentem giełdy warszawskiej, a ponadto brał czynny udział w życiu towarzyskim wyższych sfer burżuazyjno-ziemiańsko-biurokratycznych. W dowód uznania dostał od władz carskich kilka odznaczeń oraz otrzymał wyróżnienia z racji udziału w różnych wystawach przemysłowych i rolniczych.

Zadziwiająca jest ta wszechstronność zainteresowań i niezwykła energia Steinkellera, która nie zmalała nawet wtedy, gdy władze skarbowe Królestwa zajęły na pokrycie olbrzymich długów wszystkie jego dochody z przedsiębiorstw i innych interesów, a samego właściciela zamieniły faktycznie w ich administratora, pozostającego pod ścisłą kuratelą Banku Polskiego. Stało się to po 1842 r. Podporządkowanie górnictwa i hutnictwa rządowego bezpośrednio Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu postawiło na ostrzu noża przede wszystkim sprawę długów Steinkellera z tytułu administracji przemysłu cynkowego. Steinkellerowi udało się jednak utrzymać do 1845 r. monopol sprzedaży cynku w swoich rękach.

W roku 1846 jego długami zainteresował się sam Paskiewicz, który dla wyświetlenia całokształtu stosunków między Steinkel-

lerem a Bankiem Polskim powołał 19 lutego 1847 r. specjalny komitet pod kierownictwem tajnego radcy, senatora Aleksandra Dymitriewa. Z ramienia Banku do komitetu wszedł urzędnik tej instytucji Jan Kraśniewski. Rozpatrywana sprawa, wprawdzie bardzo zagmatwana, posuwała się jednak aż tak powoli, że tempo jej opracowania budzi „podziw” dla ówczesnej biurokracji. W ciągu dwóch pierwszych lat pracy zdołano zbadać zaledwie okres 1828-39. W czasie tych żmudnych wysiłków komitetu Steinkeller utrzymywał się nadal jako nominalny właściciel swych przedsiębiorstw, z których dochody przejmował na poczet jego długów Bank Polski. Instytucja ta — trzeba przyznać — niezłą obrała taktykę wobec swego współnika.

Bank Polski skutecznie powstrzymywał Komisję Rządową Przychodów i Skarbu przed szybkim zlikwidowaniem stosunków ze Steinkellerem, co musiałoby się łączyć z przejściem jego majątku i ogłoszeniem upadłości. Jak najdłużej starał się podtrzymywać Steinkellera w obliczu grożącego upadku, usiłując ratować w ten sposób przede wszystkim swoje pieniądze, a ponadto pragnął zapewne przyjść z pomocą swemu wieloletniemu współnikowi.

Długi Steinkellera mimo wszystkich jego wysiłków nie zmniejszały się. Komitet zakończył wreszcie swą pracę i 28 listopada 1851 r. postanowiono zerwać ze Steinkellerem wszelkie stosunki oraz wystąpić na drogę sądową. Od tego momentu zaczęła się stopniowa likwidacja jego majątku, który zajął Bank Polski jako główny wierzyciel. Cały dług wynosił w 1853 r. 11 971 785 złotych polskich. Ponieważ nie wystarczyło majątku Steinkellera na pokrycie wszystkich zobowiązań, pozostała suma 4 680 232 złotych polskich 20 groszy Bank umorzył.¹⁹⁶ Akt notarialny dotyczący likwidacji stosunków między Steinkellerem a Bankiem Polskim spisano 20 czerwca 1853 r. w kancelarii rejenta Aleksandra Bryndzy, w obecności Piotra Steinkellera i Teodora Wosińskiego, urzędnika bankowego.¹⁹⁷

Nie da się do końca wyjaśnić sprawy rozliczeń wzajemnych między Bankiem Polskim a Steinkellerem. Mimo że majątek zajęty przez Bank nie wystarczył na pokrycie wszystkich długów Steinkellerowi pozostały jeszcze dwie posesje w Warszawie przy ulicy Solec 2979 i Trębackiej 632 oraz inwentarz ruchomy w kamienicy przy ulicy Trębackiej 638. Łącznie z wierzytelnościami osób pry-

watnych wobec niego wartość szacunkową majątku pozostałego w Warszawie oceniono w 1854 r. na 731 019 złotych polskich. Ponadto Steinkeller miał w Krakowie dom, a w Podgórzu fabrykę gipsu oraz cegły, również nie zajęte na poczet długów wobec Banku Polskiego.¹⁹⁸ Wreszcie wymienić trzeba duży majątek ziemski Samokłęski, inaczej Stróżkłęski, położony w Jasielskiem w Galicji, według szacunku z 1842 r. oceniony na 500 tys. złotych polskich. Na nim to była hipotecznie zabezpieczona suma 188 673 złotych polskich 26 groszy, należna matce pierwszej żony Steinkellera Aleksandrze Anthonin, którą to sumę aktem notarialnym z 19 lutego 1852 r. przekazała ona na rzecz jego dzieci, a swoich wnuków, oświadczając przy tym, że: „darowiznę powyższą czyni tytułem zaliczenia na przyszłą schedę spadkową, do jakiej obdarowani po zeznającej mieliby prawo”.¹⁹⁹

Bezpośrednio po rozliczeniu się z Bankiem Polskim Steinkeller wyjechał do Krakowa, gdzie 11 lutego 1854 r. zaskoczyła go śmierć. Dobięł końca żywot człowieka, który związał się trwale z początkami kapitalizmu w Polsce. Wzrostu wysokiego, kościsty, ubrany z angielska w cylindrze i białej kamizelce, był Steinkeller postacią popularną nie tylko w Warszawie i Królestwie, lecz także za granicą, gdzie w latach 1830-40 krążyły jego karykatury. Jedna z nich przedstawia go jako Don Kichota siedzącego na chudej szkapie z makiętą okrętu pod pachą, na tle zabudowań fabrycznych.

Ambitny i niezwykle czuły na punkcie godności własnej, Steinkeller nie płaszczył się przed ówczesnymi władzami, śmiało stawiał żądania, przy każdej okazji dawał do zrozumienia, że jest człowiekiem, z którym należy się liczyć. W życiu rodzinnym był małomówny i surowy wobec najbliższych, takim zapamiętały go jego dzieci. Miał ich sześcioro: Piotra Józefa, Paulinę Aleksandrę, Piotra Alfreda, Piotra Aleksandra i Edwarda z małżeństwa z Anielą Anthonin, zmarłą w 1834 r., oraz Henryka Artura, urodzonego dopiero w roku 1847 z drugiej żony Marii z Lemańskich, poślubionej w 1835 r. Imię Piotr musiało być otoczone w rodzinie Steinkellerów szczególną czcią, skoro nosili je dziad i ojciec naszego bohatera, on sam oraz trzech spośród pięciu jego synów.

Niewiele potrafimy powiedzieć o losach potomków Steinkellera. W chwili śmierci ojca pięcioro najstarszych było już pełnoletni-

mi. Piotr, Paulina i Alfred przebywali w Krakowie, Aleksander służył jako oficer w wojsku rosyjskim i stacjonował ze swym pułkiem w Białej, a Edward pracował jako subiekt (praktykant) bankowy w Warszawie. Około pięciu lat trwały perypetie sukcesorów majątku pozostałego po Steinkellerze z wierzycielami ojca. W rezultacie przeprowadzonych działań spadkowych najstarszy syn Piotr Józef odziedziczył dobra Samokłęski, spłacając pozostałe rodzeństwo. Alfred i Aleksander, który rzucił służbę wojskową, oraz Edward osiedli w Warszawie, a Paulina wyszła za mąż za Władysława Rozwadowskiego, „profesora techniki” w Krakowie. Najmłodszy syn Henryk Artur, wówczas niepełnoletni, pozostawał przy matce i mieszkał wraz z nią w znanym nam już z poprzednich rozdziałów pałacu Łubieńskich przy ulicy Królewskiej w Warszawie. Na tym zmuszeni jesteśmy zakończyć informacje o rodzinie naszego bohatera, gdyż nie udało się znaleźć żadnych bliższych danych o dalszych jej losach.

Powróćmy jeszcze do spraw ogólniejszych związanych z głównym bohaterem szkicu. Trudno znaleźć w owym okresie na ziemiach polskich drugiego człowieka uprawiającego działalność gospodarczą na równie szeroką skalę jak Steinkeller. Aby uzyskać pełny obraz tej działalności trzeba by skrupulatnie przewertować — poza skromną raczej literaturą przedmiotu oraz prasą zawierającą sporo informacji do tematu — źródła archiwalne Warszawy, Krakowa, Kielc, Radomia, Dąbrowy Górniczej, Katowic, Poznania, Gdańska i Łodzi, a także archiwalia w Moskwie, Leningradzie, Paryżu, Londynie i Wiedniu.

Ożywione stosunki z zagranicznymi bankami i ośrodkami przemysłowymi, orientacja w sytuacji panującej na rynkach europejskich, a nawet dalekich Indii, wszystko to wskazuje, iż Steinkeller był postacią nieprzeciętną, że rozmachem i zasięgiem swej działalności wybiegał na spotkanie tego okresu kapitalizmu, w którym opierał się on na międzynarodowych powiązaniach. Takie stwierdzenie będzie miało szczególną wymowę, jeśli się weźmie pod uwagę, że centrum i głównym terenem działalności Steinkellera było Królestwo Polskie, tkwiące jeszcze wówczas na pograniczu dwóch epok: feudalnej i kapitalistycznej.

Steinkeller zdobył ogromny majątek i stracił go. Fascynujące kariery majątkowe oraz gwałtowne upadki wybitnych kapitali-

stów należały do zjawisk powszednich w świecie opartym na kulcie pieniądza i zysku. Ważne jest to, że w czasach, w których Steinkeller rozwijał swą szeroką działalność, uosabiał raczej cechy pozytywnego bohatera rodzącej się nowej epoki. Dążąc do kariery osobistej, był jednocześnie pionierem nowoczesnej gospodarki, której rozwój przynosił podniesienie ogólnego poziomu ekonomicznego kraju.

W tym też sensie można mówić o pionierstwie naszego bohatera. Cała późniejsza legenda wytworzona wokół postaci Steinkellera miała bardzo doraźne cele. Chodziło o przystrojenie zwykłej pogoni za zyskiem w piórka altruizmu i poświęcenia dla dobra narodu. Stawiając pomniki i obdarzając laurkami oraz wzniosłymi sentencjami Piotra Steinkellera, chciano przedstawić w dobrym świetle własną działalność w dziedzinie kapitalistycznego przemysłu, handlu i rolnictwa wtedy, kiedy kapitalizm wszedł już w swe wsteczne stadium.

Być może niejedynemu Czytelnik zadał sobie pytanie: Czy Piotr Steinkeller był Polakiem, czy Niemcem? O problemie asymilacji ludzi obcych narodowościowo i wyznaniowo mówiliśmy ogólnie w szkicu o towarzystwie warszawskim. Nie powracalibyśmy do tej sprawy, gdyby nie publikacje niemieckie dotyczące Steinkellera, które zostały wydane w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

W drugim roku okupacji hitlerowskiej ukazał się w Poznaniu w zbiorowym wydawnictwie *Deutsche Gestalter und Ordner im Osten*, szkic niejakiego Hansa Schmidta pod tytułem *Der Initiator der ersten Eisenbahn in Kongresspolen Peter Steinkeller (1799—1854)* (Inicjator pierwszej kolei żelaznej w Królestwie Kongresowym Piotr Steinkeller). Niedawno zaś, w roku 1955, niejaki Alfons Perlick wydał pracę zatytułowaną: *Oberschlesische Berg und Hütten Leute* (Górnośląscy górnicy i hutnicy). Obaj autorzy rozwodzą się nad zasługami Niemca — Piotra Steinkellera w dziedzinie rozbudowy przemysłu w dziewiętnastowiecznej Polsce. Pioniera polskiego przemysłu zatem pasowano na jednego z przedstawicieli cywilizacyjnej misji narodu niemieckiego na terenach Słowiańszczyzny.

Prześledziliśmy losy Steinkellera i możemy chyba stwierdzić, że wraz ze swą rodziną wrósł on w społeczeństwo polskie. Sam niedwuznacznie określił się jako Polak, choć najważniejsze jest prze-

cież to, iż swoją działalnością i życiem osobistym bardzo silnie związał się z wewnętrznymi dziejami Polski epoki porozbiorowej. Prawda, że nie brał udziału w żadnym z powstań, lecz znając stanowisko polskiej burżuazji wobec ruchu narodowowyzwoleńczego wiemy, że nie był żadnym wyjątkiem. Warto tu dodać, iż w wykazach osób ściganych przez władze carskie w 1846 r. znajduje się najstarszy jego syn, a w walkach partyzanckich powstania styczniowego uczestniczyli Steinkellerowie.

KOLEJ ŻELAZNA WARSZAWSKO-WIEDEŃSKA

Pierwsze projekty. — Towarzystwo Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. — Koń czy parowóz? — Prace na linii Warszawa-Niwka. — Rozwiązanie Towarzystwa i przejęcie budowy przez rząd. — Otwarcie Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. — Robotnicy, kolejni.

Pocziwa kolej żelazna, jeden z najbardziej wysłużonych i zasłużonych wynalazków myśli ludzkiej, jest już dziś na dobrą sprawę staruszką. Od momentu pojawienia się pierwszego pociągu, ciągniętego po szynach przez parowóz, ludzkość dokonała ogromnego kroku naprzód w dziedzinie postępu technicznego. Przed człowiekiem drugiej połowy XX stulecia coraz wyraźniej rysuje się wizja nie tak chyba odległej przyszłości z komunikacją raketową i podróżami w kosmos.

Kolej żelazna, której sieć pokrywa dziś wszystkie bez mała kontynenty, w początkach swojego żywota była zapewne dla ówczesnych ludzi zjawiskiem naprawdę niezwykłym, graniczącym niemal z wymysłem szatana. Ten wytwór techniki nie tylko zrewolucjonizował życie gospodarcze świata, ale również przybliżył do siebie i powiązał odległe kraje, przyspieszając rozwój cywilizacji i kultury ogólnoludzkiej.

Początki kolei żelaznej wiążą się z nazwiskiem angielskiego inżyniera Jerzego Stephensona (1781—1848), który w 1814 r. zbudował w Anglii pierwszą lokomotywę, a w latach 1821—25 połączył pierwszą linią kolejową, długości 40 km, miejscowości Stockton i Darlington. A oto następnie uruchamiane linie kolejowe w świecie ²⁰⁰:

Rok	Kraj	Miejscowość	Długość linii w km
1826	Anglia	Liverpool-Manchester	50
1827	Stany Zjednoczone	Munck-Chunck	15
1828	Francja	Saint Étienne-Andrézieux	18
1828	Austria	Budweis-Linz	128



Stacja główna Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej w Warszawie
Muzeum Narodowe w Warszawie

Rok	Kraj	Miejscowość	Długość linii w km
1835	Belgia	Anvers-Malines	20
1836	Bawaria	Noymberga-Fürth	7
1837	Saksonia	Lipsk-Drezno	40
1838	Rosja	Petersburg-Carskie Sioło	26,7 (25 wiorst*)
1838	Prusy	koleje nadreńskie	20
1839	Włochy	Neapol-Castellammare	42
1840	Wielkie Księstwo Badeńskie	Mannheim-Baden	18
1844	Królestwo Hanowerskie	Hanower-Hildesheim	42
1844	Księstwo Toskańskie	Florencja-Livorno	43
1845	Królestwo Polskie	Warszawa-Łowicz-Rogów	119,5 (112 wiorst)

W niniejszym zestawieniu pominięto pierwszą linię kolejową na ziemiach polskich, łączącą Wrocław z Oławą, długości 27 km, która zaczęła funkcjonować w 1842 r.

Uruchomienie pierwszego odcinka kolei żelaznej w Królestwie Polskim nastąpiło 20 lat później niż w przodującej w tej dziedzinie Anglii. Z inicjatywą budowy kolei w Królestwie znacznie wcześniej wystąpił Piotr Steinkeller. Współ z Henrykiem Łubieńskim rozpoczęli w 1834 r. prace wstępne nad wytyczeniem przyszłego szlaku pierwszej linii kolejowej w Królestwie Polskim. Dla projektodawców było jasne, że winna ona połączyć Warszawę z rozwijanym wówczas usilnie na południowym zachodzie Królestwa nowym okręgiem przemysłowym: z kopalniami węgla i rud, hutami żelaza i cynku w okolicach Niwki oraz Dąbrowy.

Już w początkach 1835 r. Henryk Łubieński przedstawił Bankowi Polskiemu „pierwszy ogólny projekt pobudowania drogi żelaznej pomiędzy Warszawą a granicą południową Królestwa”. Wówczas to polecono naczelnemu inżynierowi Banku Polskiego, Stanisławowi Wysockiemu, opracować *Uwagi nad sposobem rozłożenia robót przygotowawczych do projektu drogi szynowej od Niwki do Warszawy*, a naczelnikowi dróg lądowych i wodnych Banku, inżynierowi Teodorowi Urbańskiemu, powierzono zadanie wskazania sposobów „jakimi by najprościej, najdokładniej i najoszczędniej można wyrobić projekt urządzenia kolei żelaznej od Niwki do Warszawy”²⁰¹.

* 1 wiorsta = 1,0668 km. Była to miara długości używana wówczas w Rosji.

Obaj inżynierowie złożyli wkrótce wstępne projekty. Zgodnie z planami Wysockiego linia kolei miała przebiegać od Warszawy do Niwki przez Błonie, Skierniewice, Tuszyn, Grocholice, Kamińsk, Przyrów, Żarki, Włodowice, Kromolów, Niegowonice i Dąbrowę bądź przez Skierniewice, Wolborz, Piotrków, Rozprzę, Przyrów, a dalej jak poprzednio. Według uzasadnienia projektodawcy taki przebieg trasy „[...] wynika szczególnie z uwagi na linie przedziałowe, gdyż te zwłaszcza w części kraju górzystej, od Niwki do Piotrkowa, mogą najpewniej wskazać punkta, którymi prowadzić drogę [...]”; w ten sposób „[...] będziemy w możliwości nadania jej zawsze jednostajnego spadku, unikając przy tym budowy kosztownych pomostów dla przejścia głębokich dolin”²⁰².

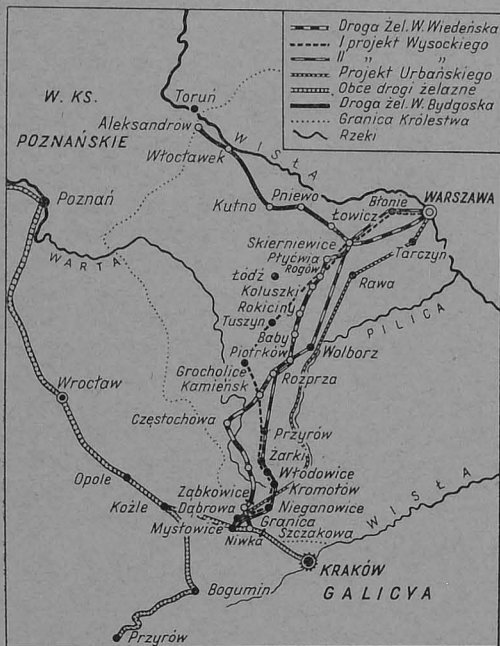
Plan inżyniera Urbańskiego, w zasadzie podobny do poprzedniego, przewidywał nieco inny przebieg drogi, motywowany także koniecznością utrzymania spadku zawsze w jednym kierunku. Urbański proponował wytyczyć linię kolei żelaznej wzdłuż pochyłości „lewego brzegu Pilicy aż w okolice Piotrkowa, a stamtąd zawsze idąc ze spadkiem ku Warszawie, wprowadzić ją na niziny Rawy i Tarczyna, a stamtąd dopiero przyjść z nią zawsze ze spadkiem do samej Warszawy”²⁰³.

Ponieważ realizacja projektu Urbańskiego wymagałaby zbudowania wielu mostów, grobli itp., co znacznie podwyższyłoby koszty budowy drogi żelaznej, postanowiono oprzeć się na planie Wysockiego. W toku dalszych prac i badań w terenie uległ on pewnym zmianom. W styczniu 1839 r. zdecydowano budowę linii kolejowej z Warszawy przez Grodzisk, Skierniewice, Tomaszów, Piotrków, Radomsko, Częstochowę, Żarki, Dąbrowę do Niwki²⁰⁴.

„Gazeta Codzienna” z 10 stycznia 1840 r. donosiła w związku z tym: „Z przyszłą wiosną rozpoczną się roboty około Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, cała linia została już zniwelowaną i główne punkta oznaczone. Pójdzie ona przez Skierniewice, Piotrków, Częstochowę do Niwki; punkta pośrednie zależeć będą od układów z właścicielami gruntów, przez które kolej przechodzić będzie”.

Warto wspomnieć, że przy wytyczaniu trasy między Warszawą a Skierniewicami dokonano pewnych zmian na wyraźne żądanie Paskiewicza. Nie było to na rękę budowniczym drogi żelaznej. Generał Tomasz Łubieński pisał do ojca w liście datowanym

1 sierpnia 1840 r.: „Roboty nasze postępują na linii, chociaż tak jak od początku przewidywaliśmy, zejście ze wskazanej naturą drogi do Skierniewic wiele nas będzie kosztowało. Spotkaliśmy się tam albowiem z gliną, która o znaczne sumy wydatki nasze powiększy”²⁰⁵.



Pierwsza kolej żelazna w Królestwie Polskim. Z książki H. Hilchena, *Historia Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, 1835—1848—1898*, Warszawa 1912

Przystąpienie do prac przy budowie kolei wstrzymywały trudności natury finansowej. Kto miał pokryć koszty tej olbrzymiej inwestycji, której inicjatorzy różnili się w poglądach co do samej koncepcji budowy i przyszłych korzyści? Brak było wówczas w kraju kapitalistów skłonnych zaangażować swoje środki w tak wielkie przedsięwzięcie. Władze carskie także nie kwapiły się ku temu; przeciwnie, już w toku finalizowania sprawy zawiązania

towarzystwa akcyjnego, które miało podjąć się sfinansowania budowy, napotkano duże opory w Petersburgu w Radzie Stanu i u ministra skarbu cesarstwa rosyjskiego Kankrina. Ten dygnitarz carski był w ogóle niechętny ekonomicznemu rozwojowi Królestwa Polskiego, a należy przecież pamiętać, że mimo formalnej autonomii Królestwo po 1831 r. było stopniowo coraz ściślej podporządkowywane władzom i decyzjom centralnej administracji carskiej. Podlegało ono uciskowi politycznemu i było wyzyskiwane pod względem gospodarczym, gdyż corocznie musiało odprowadzać pokaźne sumy ze swojego budżetu do skarbu państwa w Petersburgu. Tendencja ta z biegiem czasu rozszerzała się, hamując rozwój gospodarczy kraju.

Kankrin był przeciwnikiem kolei żelaznych w tamtych czasach. W 1842 r., a więc w okresie gdy upowszechniały się one coraz bardziej, pisał do tronu: „Koleje wzmagają skłonności do niepotrzebnego przerzucania się z miejsca na miejsce i tak już w wieku naszym bardzo wydatnego, wyludzając przy tym od publiki niepotrzebne koszta”. Tak samo niechętnie widział on początkującą wówczas formę zrzeszania się kapitalistów w towarzystwach akcyjnych. O tym nowym zjawisku pisał z przekąsem: „[...] dążności takie uważać należy raczej za chorobę niż za środek mogący rzeczywiście sprowadzić polepszenie bytu społecznego”.²⁰⁶

Namiestnik, książę Paskiewicz, poparł wprawdzie inicjatywę budowy kolei, lecz był przeciwny udzielaniu większych koncesji finansowych rządu dla tej inwestycji.

Książę Szczerbatow, autor monografii o Paskiewiczzu, napisanej na schyłku ubiegłego stulecia, przedstawił namiestnika jako głównego inicjatora budowy kolei żelaznej w Królestwie Polskim, a wyższego urzędnika carskiego Fuhrmana, dyrektora w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, jako tego, który najbardziej przyczynił się do zawiązania towarzystwa akcyjnego ze Steinkellnerem na czele.

Stosunek sfer rządowych w Petersburgu do całej tej sprawy był niechętny, cesarz jednak podpisał dekret o budowie kolei, a wcześniej jeszcze, 10 lutego 1838 r., pisał do Paskiewicza: „Sprawę drogi żelaznej uważam za bardzo ważną i korzystną, jeżeli rząd austriacki nie zamknie przed nami jak Prusy swej granicy, bo wtedy wszelkie nasze nadzieje by upadły”.

Ostatecznie Mikołaj pozostawił to zagadnienie uznaniu Paskiewicza, przesyłając mu w styczniu 1839 r. dekret cesarski wraz z protokołem Rady Państwa, jednak bez swojego podpisu. Paskiewicz pisał w związku z tym do Mikołaja I: „Rzeczywisty radca stanu Turkułł zakomunikował mi dekret Waszej Cesarskiej Mości wraz z uwagami departamentu Rady Państwa w sprawie budowy drogi żelaznej do granicy austriackiej. Pozostawiono do mej woli albo dekret wykonać, albo całą sprawę złożyć do akt, jeżeli się zgodzę na opinię Rady. Tymczasem okazało się, że wszelkie wątpliwości Rady ustają wobec objaśnień pomieszczonych w dokumentach, które uprzednio złożyłem [...] W papierach, które jednocześnie posyłam p. Turkułłowi wyjaśnione są szczegółowo wszystkie motywa, dla których postanowiłem wykonać dekret Waszej Cesarskiej Mości”²⁰⁷. Tak więc przekonanie księcia Paskiewicza o spodziewanych korzyściach dla rządu z wybudowania tej pierwszej kolei żelaznej w rządzonym przezeń Królestwie, zadecydowało o wyrażeniu zgody na zawiązanie się Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.

Wobec stanowiska rządu i powszechnej wśród finansistów krajowych niechęci do angażowania swych kapitałów w budowę drogi żelaznej, powstające towarzystwo akcyjne stanęło wobec poważnych trudności. Pieniądze postanowiono zebrać wypuszczając 5 tys. akcji o wartości 4 200 złotych polskich każda, co dawało potrzebną sumę 21 mln złotych polskich. Rząd miał zagwarantować akcjonariuszom 4% dywidendy rocznie od złożonych pieniędzy, czyli 840 tys. złotych polskich, zobowiązując do jej wypłaty Bank Polski, który obejmował ogólną kontrolę nad działalnością Towarzystwa, jego wydatkami oraz przyszłymi dochodami. Umorzenie kapitału zakładowego Towarzystwa miało się dokonywać w drodze stopniowego wykupu, za pieniądze z dochodów kolei, corocznie wylosowywanych akcji. Umowa przewidywała, że po umorzeniu kapitału zakładowego kolej przejdzie na własność państwa. Był to warunek udzielenia przez rząd koncesji na budowę linii kolejowej i — pomocy finansowej Towarzystwu. Władze Królestwa żądały, by Towarzystwo Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej zawiązało się formalnie dopiero wówczas, kiedy przynajmniej połowa owych 5 tys. akcji zostanie przez nie sprzedana. Wszystkie wyliczone tu warunki przyjęto i uwzględniono w umo-

wie zawartej przez Piotra Steinkellera i Tomasza Łubieńskiego z Bankiem Polskim 26 listopada 1838 r., a która następnie uzyskała zatwierdzenie Mikołaja I ukazem z 19 stycznia 1839 r.²⁰⁸

Zaczęły się gorączkowe starania o znalezienie nabywców na akcje Towarzystwa. Steinkeller, wykorzystując swoje stosunki w kołach handlowych i przemysłowych kapitalistycznej Europy, zdołał w roku 1839 spieniężyć w Londynie tysiąc akcji, w Warszawie — 71, w Petersburgu — 22, w Berlinie — 20, w Hamburgu — 15 i w Amsterdamie — 15, co razem czyniło 1143 akcje. Gdy na skutek dalszych zabiegów udało się w tym samym roku ulokować u angielskich przemysłowców następne 1500 akcji w zamian za 14 tys. ton szyn kolejowych, a 2 tys. akcji sprzedać wiedeńskiemu Domowi Handlowemu Steiner et Companie, liczba rozprowadzonych akcji wzrosła do 4 643, co usuwało ostateczną przeszkodę na drodze do formalnego zawiązania towarzystwa akcyjnego.²⁰⁹

Powstało ono pod nazwą Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. W skład Dyrekcji weszli Tomasz Łubieński, kierownik Domu Handlowego Braci Łubieńskich, oraz Piotr Steinkeller. O rozpoczęciu działalności Towarzystwa powiadamiało ogłoszenie zamieszczone w „Wiadomościach Handlowych i Przemysłowych” z 5 stycznia 1840 r.: „Dyrektorowie Towarzystwa Drogi Warszawsko-Wiedeńskiej podają do publicznej wiadomości, że biura Dyrekcji otwarte zostały od dnia 4 stycznia 1840 r. i że się tymczasowo znajdują w pałacu nr 1066 przy Królewskiej ulicy, w dziedzińcu, schodki na lewo”. Był to ten sam pałac, w którym mieścił się Dom Handlowy Braci Łubieńskich.

Kierowniczą rolę w Towarzystwie usiłował odgrywać hrabia Henryk Łubieński, którego generał Tomasz ślepo słuchał. Kiedy na przykład w czasie wspólnie ze Steinkellerem odbytej podróży do Anglii w 1839 r. sfinalizowano tam ulokowanie 1500 akcji Towarzystwa w zamian za szyny, generał Tomasz w liście do żony wyrażał obawę: „[...] nie wiem jeszcze, jak się na to będzie zapatrywać Henryk, Bank Polski i rząd”²¹⁰. W ogóle na podstawie korespondencji generała Tomasza można by sądzić, że tylko Henryk Łubieński był filarem Towarzystwa.

Kierownictwo Towarzystwa spieszyło się z wstępnymi pracami organizacyjnymi i przygotowawczymi. Tomasz Łubieński pisał w liście z 19 grudnia 1839 r., a więc niedługo po powrocie z An-

glii: „[...] musimy się przygotować do wszystkich robót, gdyż jeżeli tego teraz nie zrobimy, to już cały rok przyszedł będzie stracony. Zajęty teraz jestem urządzaniem dyrekcji, ażeby ją tak ustanowić, żeby mogła dopiąć najlepiej swego celu, ale dotąd wiele w tej mierze znajduję trudności [...] Bo w naszym kraju trudno jest zaprowadzić porządek, łatwiej jest u nas znaleźć ludzi z twórczymi pomysłami, jak ludzi do ich wykonania, którzy by mieli w charakterze ten porządek, tę wytrwałość, a szczególnie tę oszczędność czasu i pieniędzy, bez czego nic udać się nie może [...]”²¹¹

Zasadniczy spór w związku z budową drogi żelaznej toczył się wokół zagadnienia, diskutowanego także w bardziej rozwiniętych gospodarczo krajach Zachodu. Otóż wśród budowniczych kolei w tych krajach rozważano w latach dwudziestych i trzydziestych XIX stulecia problem, czy maszyna parowa, czy koń jako siła pociągowa ma znaleźć zastosowanie do transportu ładunków po szynach żelaznych. Ponieważ Anglicy opowiedzieli się zdecydowanie za trakcją parową, Amerykanie zaś obstawali przy projekcie zastosowania siły koni — system pierwszy nazwano angielskim, a drugi amerykańskim. Do początku lat czterdziestych trwały zaciekle dyskusje między zwolennikami obu systemów, aż wreszcie zwyciężyła lokomotywa i trakcja parowa.

Dlaczego ta sprawa — dziś dla każdego oczywista — była wówczas przedmiotem tak gorących sporów? Główna przyczyna leżała w tym, że pierwsze lokomotywy miały niewielką moc i małą prędkość, a powodowały szybsze zużycie i tak nietrwałych szyn, wykonanych z niewalcowanej stali. Ponadto ówczesne lokomotywy zużywały bardzo duże ilości paliwa, którego transport na szlaku komunikacyjnym pochłaniał znaczną część ich mocy. W pierwszym więc okresie rozbudowy kolejnictwa na Zachodzie upowszechnił się system amerykański.

Inżynier Stanisław Wysocki, który z ramienia Banku Polskiego w 1836 r. odbył podróż po Europie Zachodniej w celu zapoznania się z tamtejszym budownictwem kolejowym, opowiedział się jako zwolennik zastosowania systemu amerykańskiego na projektowanym szlaku Warszawa-Niwka. Donosił o tym generał Tomasz Łubieński w liście do ojca z 2 marca 1837 r.: „Wrócił już inżynier

przez Henryka [Łubieńskiego] wysłany do zwiedzenia dróg żelaznych i przywiózł wszelkiego rodzaju modeliów tak zwanych rails*. Ale co przywiózł ciekawego, to, że do dróg żelaznych, na których konie tylko iść mają, najlepiej robić koleje z belek drewnianych związanych małymi poprzecznikami, a na tych belkach dopiero przybijając gładkie szyny. Zdaje się, że ten sposób ułatwi bardzo budowę tych dróg, a beleczki te według oświadczenia na 5 lat trwałości liczone być mogą. Ciekawy będą dalszych uwag tego inżyniera²¹².

Również hrabia Henryk Łubieński wyrażał przekonanie o wyższości systemu amerykańskiego nad angielskim, pisząc w liście z 24 lipca 1838 r.: „[...] Zachodzi kwestia, jak kolej żelazna ma być urządzona, tj. czy sprowadzać się mające ciężary mają być locomotivami, czy końmi ciągnięne. Ciężary te są: żelazo, cynk, sól, kamienie, węgle, wapno, zboże, wódka, drzewo itd., około 4 milionów cetnarów. Na transport osób mało rachować można, czas więc trwania transportu nie ma co mieć na względzie. Żadnej ofiary dla przyspieszenia robić nie ma potrzeby [chodzi tu o to, że obsługa ruchu pasażerskiego wymagałoby zwiększenia szybkości pociągów, a to wiązało się ze znacznie wyższymi kosztami], w tym stanie rzeczy należy rozemnać tylko to, co będzie korzystniej. Na locomotivę potrzeba znacznego wykładu kapitału, znacznych kosztów utrzymania tak na reparację, amortyzację machin, jako i na kosztownych zagranicznych ludzi do ich prowadzenia. Szynowa droga sama pod maszyny będzie znacznie kosztowniejszą, a nadto kamienny węgiel jest na samym końcu drogi tak, iż trzeba będzie prawie trzecią część siły locomotiv użyć na rozwożenie węgla po stacjach dla zaopatrywania nimi locomotiv w podróży. W kraju naszym taki jest tani owies i siano, takie tanie konie, że się zdaje ze wszystkiego, iż nierównie taniej te 4 miliony cetnarów przewieźć będzie można końmi, jak maszynami parowymi. Ale jeśli się tego pierwszego chwycimy sposobu, rozważyć należy, jak urządzić transporta, czy noga za nogą, czy klusem. Że koń ciągnie więcej wolno idąc, to nie ma kwestii [...]”²¹³

Argumentacja hrabiego Henryka — mimo śmieszności, gdy się patrzy na nią dzisiaj — miała swoje racje w tamtym okresie.

* Rails (ang.) — droga żelazna; tu chodzi o szyny.

Przypominamy, że były to lata sporów między zwolennikami systemu angielskiego i amerykańskiego na znacznie bardziej niż Królestwo Polskie uprzemysłowionym Zachodzie.

W przytoczonym liście Henryk Łubieński podawał liczbę 4 mln cetnarów ładunku, braną w rachubę przy sporządzaniu pierwszego projektu kolei żelaznej Warszawa-Niwka. Szczegółowe dane dotyczące przewidywanego przewozu towarów w ciągu roku zawierają notatki Tomasza Łubieńskiego. Roger Łubieński, wydawca korespondencji generała, sporządził wyciąg z tych notatek. Oto on:

„Speranda* drogi żelaznej

	korcy	cetnarów	zp
Węgiel kamienny	600 000	1 800 000 po	20 gr = 1 200 000
Sól		500 000 „	1 zp = 500 000
Żelazo		300 000 „	1 „ = 300 000
Cynk		150 000 „	1 „ = 150 000
Marmur		30 000 „	1 „ = 30 000
Kamień ciosowy		100 000 „	24 gr = 80 000
Gips		30 000 „	20 „ = 20 000
Wapno		150 000 „	1 zp = 150 000
Drzewo do budowl		100 000 „	1 „ = 100 000
Zboże	150 000	300 000 „	24 gr = 240 000
Wódka		20 000 „	1 zp = 20 000
Nieprzewidziane		500 000 „	1 „ = 500 000

Razem 3 980 000 cetnarów = 3 290 000 zp”

Podsumowując powyższe obliczenia generał Tomasz pisał do ojea 4 lipca 1839 r. z Londynu, gdzie bawił wówczas razem ze Steinkellerem: „Przypuszczając, że trzeba będzie w ciągu roku przewieźć 3 980 000 cetnarów, rachując tylko przez 300 dni, będzie można prowadzić transporta, z powodu przypadków nieprzewidzianych różnego rodzaju, wypadnie na dzień 13 000 cetnarów. Jeżeli wagon jeden będzie mógł znieść 200 cet., to by trzeba dziennie 67 wagonów, gdyby zaś wagon nie mógł znieść jak 100 cet., to by trzeba 133 wagonów. Trzeba by więc, żeby transporta trzy razy na przykład na dzień wychodziły, o 4 rano, w południe i o 8 wieczór. Gdyby transport podróżnych nastąpił z czasem, można

* Speranda — tu: spodziewany zysk.

by go tak urządzić, znając dokładnie wszystkie momenta, w których transporta w różnych punktach znajdować się będą, ażeby uniknąć spotkania, i mijać je bez ich wstrzymywania”²¹⁴.

Wynika stąd, że spodziewane wpływy z przewozu węgla i soli miały być podstawą ogólnych dochodów projektowanej kolei żelaznej. Oczywiście mowa tu jeszcze cały czas o kolei jednotorowej z końmi jako siłą pociągową. Projektanci kolei żelaznej w Królestwie różnili się jednak w opiniach co do wyboru trakcji parowej czy konnej i sprawa ta nie była jeszcze rozstrzygnięta. Ponadto — jak wynika z listu — zamierzano wówczas budować kolej przede wszystkim dla transportu towarów, nie licząc się poważniej z ruchem pasażerskim.

Należy stwierdzić, że Piotr Steinkeller — według zgodnych opinii ówczesnych i późniejszych — był od początku zwolennikiem zastosowania lokomotyw na drodze warszawsko-wiedeńskiej. Mimo oporów ze strony braci Łubieńskich starał się przeforsować swój punkt widzenia, co mu się zresztą w końcu udało. Znalazło to wyraz w liście Tomasza Łubieńskiego do ojca datowanym 29 stycznia 1840 r., z którego dowiadujemy się już o pewnych konkretnych decyzjach w sprawie budowy drogi żelaznej. Przytoczamy ten list bez skrótów: „Cały zajęty żelazną drogą, robię wszystko co tylko mogę, ażeby mogła być jak najkorzystniejsza dla kraju, nie uważając jednak przede wszystkim jak na to, co jej samej dobro stanowić powinno, bo dobro kraju samo z siebie przyjdzie. Nader ważna kwestia, która mnie od dawna zajmuje i na objaśnienie której już wiele bardzo rozpocząłem rachunków, dzisiaj była przedmiotem dyskusji Dyrekcji u Henryka jako reprezentanta Banku, czyli rządu. Czyli droga żelazna ma być jednostajnie zrobiona z szyn żelaznych, railsami zwanych, tejsze samej formy i wagi, czyli część tylko drogi ma być usłużona przez lokomotywy, a reszta końmi. Tyle było przyczyn pro i contra, że prawdziwie decyzja była trudna. Zdaje się jednak, że się na tym skończy, że droga będzie z jednostajnych railsów i że cała będzie obsłużona lokomotywami. Ale jakże to jeszcze wiele trudności zwalczyć potrzeba, ażeby cała ta antreprzyza mogła przyjść do skutku, tak jak bym sobie życzył żeby mogła być zaprowadzona. Szczęściem, że mamy do czynienia głównie z człowiekiem, który zawsze gotów jest swoją uwagę zastosować do przedmiotu, który mu przed-

Droga żelazna

WARSZAWSKO-

WIEDENSKA.

Rozkład jazdy. — Rok 1845.

Miesiąc Listopad i Grudzień.

Pociągi odchodzą:

	O S O B O W E		Z T O W A R A M I	
	do Łowicza	do Warszawy	do Rogowa	do Warszawy
z Warszawy	o godz. 10 rano	o godz. 5 ³⁰ po południu	o godz. 8 rano	o godz. 6 ³⁰ po południu
z Pruszkowa	— 10 ³⁰ —	— 5 —	— 8 ³⁰ —	— 6 —
z Grodziska	— 11 —	— 4 ³⁰ —	— 9 ³⁰ —	— 5 ³⁰ —
z Redy	— 11 ³⁰ —	— 4 —	— 10 —	— 4 ³⁰ —
z Radziwiłłowa	— 11 ³⁰ —	— 4 —	— 10 ³⁰ —	— 4 ³⁰ —
z Skiernewic	— 12 ³⁰ po południu	— 3 ³⁰ —	— 11 ³⁰ —	— 4 ³⁰ —
z Pływ	—	—	— 12 w południe	— 3 ³⁰ —
z Rogowa	—	—	—	— 3 —
z Łowicza	—	o godz. 3 po południu	—	—

Pociągi przychodzą do Warszawy:

OSOBOWE z Łowicza o godzinie 6 wieczór; z TOWARAMI z Rogowa o godzinie 7 wieczór.

Pociągi osobowe przewożą także towary i wszelkie produkty.

Pociągi z towarami przewożą osoby lecz tylko pojazdami 3^{ty} i 4^{ty} klasy.

Pociągi osobowe zatrzymują się na wszystkich przystankach i stacjach. — Pociągi z towarami zatrzymują się na samych tylko stacjach.

W Niedziele i Święta odchodzić będzie sam tylko Pociąg osobowy o godzinie 10³⁰ rano z Warszawy do Łowicza, a nadto o godzinie 3³⁰ po południu z Warszawy do Pruszkowa i Grodziska. — Powrót do Warszawy o godzinie 6 wieczór.

Taryfa szczegółowa opłat za przewóz towarów, produktów i innych ciężarów, wystawiona jest na każdej Stacji drogi żelaznej.

Opłata od jednej Osoby kopiejek srebrem:

Dokąd?	do Pruszkowa mił 2	Grodziska mił 1	Redy Gurów mił 6	Radziwiłłowa mił 7 ^{1/2}	Skiernewic mił 6	Łowicza mił 12	Pływi mił 13	Rogowa mił 13
Nowej klasy	I. II. III. IV.	I. II. III. IV.	I. II. III. IV.	I. II. III. IV.	I. II. III. IV.	I. II. III. IV.	I. II. III. IV.	I. II. III. IV.
z Warszawy	34 26 18 12	152 103 54 28	190 128 82 42	230 158 72 36	260 180 80 40	320 200 100 50	350 230 115 57	370 250 120 60
z Pruszkowa	34 26 18 12	34 26 18 12	100 70 35 17	134 94 47 23	170 120 58 29	210 150 75 37	230 170 85 42	250 190 90 45
z Grodziska	34 26 18 12	34 26 18 12	90 63 31 15	124 87 43 21	160 115 57 28	200 145 72 36	220 165 82 41	240 185 87 44
z Redy	—	—	41 27 13 ^{1/2} 6	61 34 17 8	81 51 25 12	101 67 33 16	111 77 38 19	121 87 42 21
z Radziwiłłowa	—	—	—	31 17 8	51 27 13 ^{1/2} 6	71 37 18 9	81 47 23 11	91 57 28 14
z Skiernewic	—	—	—	—	31 17 8	51 27 13 ^{1/2} 6	71 37 18 9	91 57 28 14
z Łowicza	—	—	—	—	—	100 67 33 16	120 87 42 21	140 107 52 26
z Pływ	—	—	—	—	—	—	100 67 33 16	120 87 42 21

W Brucku & Wiedeńskie.

Rozkład jazdy z 1845 r.
Muzeum Historyczne m. st. Warszawy

Pasażerowie
I klasy



Pasażerowie
II klasy

Pasażerowie
III klasy



Pasażerowie
IV klasy





„Na pociąg”

Rysunek St. Wolskiego, 1866 r., Muzeum Historyczne m. st. Warszawy

stawiamy, i który lepiej niż ktokolwiek przeczuwa korzyści, jakie droga żelazna za sobą przyniesie, a który z drugiej strony ma nadzwyczajną zdolność walczenia przeciw wszelkim przeciwnościom. Ojciec łatwo się domyśli, że mówię tutaj o Henryku. Już kontrakt o roboty grabarskie [ziemne] porobione, teraz robimy kontrakt o dostawę drzewa, o dostawę szyn walcowanych i żelastwa lanego. Młeczko [Onufry] podjął się budowy drogi od Warszawy do Piotrkowa. Niejaki pan Śmieciński podjął się reszty. Roboty grabarskie mają być całkowicie ukończone w roku 1841. A sądzę, że droga żelazna będzie mogła być całkowicie ukończona w roku 1842”²¹⁵.

W końcu 1840 r. władze Królestwa powołały specjalny komitet, „który by rozpatrzył sprawę dokładnie i zdecydował, jaki system szyn należy użyć i jaką siłę pociągową”²¹⁶. W skład komitetu weszli generałowie Gorczakow, Berg i Dehn. Na przewodniczącego powołano generała Rautenstraucha, naczelnika w Komisji Komunikacji Lądowych i Wodnych.

Tymczasem wśród członków Towarzystwa przeważała ostatecznie opinia o zastosowaniu lokomotyw. Zdecydowano się również zbudować od razu linię dwutorową, a nie jak to pierwotnie zamierzano — jednotorową z wielu mijankami na trasie. W tej sprawie Steinkeller przedłożył memoriał generałowi Reutenstrauchowi. Członkowie komitetu przychylni się do stanowiska Towarzystwa. Uzyskało ono także aprobatę Paskiewicza i samego cara. Już w 1841 r. prace na poszczególnych odcinkach drogi żelaznej poprowadzono zgodnie z nowymi ustaleniami.

Przyjęcie tych założeń poważnie zwiększyło koszty budowy, obalając dotychczasowe obliczenia i przysparzając Towarzystwu mnóstwa nowych kłopotów. Pierwotnie zaplanowane wydatki zamykały się sumą 21 mln złotych polskich, trakcja parowa natomiast, na którą się zdecydowano ostatecznie, wymagała zainwestowania sum przewyższających 30 mln złotych polskich.²¹⁷

Przed przystąpieniem do omówienia toku prac przy budowie kolei trzeba zwrócić uwagę, że poszczególne odcinki i rodzaje robót zlecano prywatnym przedsiębiorcom. Spotykamy się tu, podobnie jak przy organizacji administracji monopolu solnego, z systemem przypominającym swoistą drabinę, której szczeble stanowili najrozmaitsi pośrednicy żądni łatwego zarobku. Byli to dzierżawcy,

poddzierżawcy i różni dostawcy. Wymienieni w ostatnim cytowanym tu liście Tomasza Łubieńskiego przedsiębiorcy Mleczko i Śmieciński — to znani wówczas ze swej obrotności ziemianie-handlowcy. Podjęli się oni budowy dużych odcinków drogi żelaznej, mniejsze odcinki oddając w poddzierżawę; pozawierali kontrakty z ludźmi, którzy zobowiązali się werbować robotników, z dostawcami materiałów budowlanych, żywności itd. Sami, nie zajmując się prawie budową, ciągnęli z niej pokaźne zyski jako pośrednicy.

Do wstępnych prac przy budowie kolei przystąpiono w początkach 1839 r., wkrótce po spieniężeniu większej części akcji i ostatecznym zatwierdzeniu Towarzystwa. Uzyskano od władz wojskowych plany miejscowości, przez które miała przebiegać droga żelazna; całą trasę podzielono na cztery odcinki: Warszawa-Skierniewice, Skierniewice-Piotrków, Piotrków-Częstochowa i ostatni od Częstochowy do Niwki i dalej do granicy Królestwa Polskiego i Rzeczypospolitej Krakowskiej, do miejscowości Granica [dziś Maczki]. Nadzór nad poszczególnymi odcinkami objęli inżynierowie: Konstanty Kamiński, Jakub Schaeffer, Adam Kranz i Franciszek Leszczyński. Kierownictwo całości prac przyjął inżynier Stanisław Wysocki. W tym samym jeszcze roku Wysocki oraz Kamiński i Leszczyński wyjeżdżali do Wiednia, Berlina i Saksonii dla konsultacji z tamtejszymi budowniczymi kolei żelaznych. Wysocki pojechał ponadto do Anglii, by spotkać się ze Stephensonem, a nie zastawszy go konsultował się z inżynierem Biderem, współnikiem i wybitnym współpracownikiem wynalazcy lokomotywy.

W kwietniu 1840 r. rozpoczęto równocześnie na całej linii roboty ziemne, które do końca tegoż roku poważnie posunęły się naprzód. Wycięto las wzdłuż traktu, którym miał biec tor kolejowy, ukończono nasypy i przekopy, zbudowano kilka mostów, wykopano rowy dla odpływu wody. Ponieważ sprawa typu szyn i rodzaju trakcji nie była jeszcze wówczas zdecydowana, torów nie położono. Dopiero w roku następnym, po zapadnięciu decyzji o budowie trakcji parowej, ruszyły dalsze prace.

Zachwycał się nimi Tomasz Łubieński w czasie swej podróży wzdłuż linii kolejowej w listopadzie 1841 r., odbytej wraz z inżynierami Wysockim, Kamińskim i Schaefferem, inspektorem Las-

kiewiczem, odpowiedzialnymi za wykonanie robót na odcinkach Warszawa-Skierniewice i Skierniewice-Piotrków braćmi Mleczeko oraz urzędnikami zatrudnionymi przy budowie. Podróż odbywano bryczkami, konno wierzchem, a najczęściej pieszo. „Pierwszego dnia dojechalśmy do Jordanowic — czytamy w liście z 14 listopada 1841 r. — drugiego do Skierniewic, trzeciego do wioski należącej do pana Trzeciewskiego, czwartego do Łagnowa, a dzisiaj późno tutaj przybyliśmy do Piotrkowa. Poszedłem jeszcze zobaczyć piękną groblę, będącą koło miasta i przejazd zrobiony pod groblą, a obok tego również arkada zrobione dla spływu wody. Wykonanie tego dzieła jest nader doskonałe, z kamienia polnego na cement, sklepienia tylko zległy. Jutrzejszego dnia bardzo rano wyjeżdżam do Radomska, mamy 6 mil, nie przyjedziemy więc, aż późno w nocy [...] Kraj ten cały zdaje mi się bardzo cofnięty w kulturze i cywilizacji od okolic Warszawy. Jeżeli droga żelazna przyjdzie do skutku, sądzę, że łatwość komunikacji korzystną dla tych okolic zrobi zmianę.” W cztery dni później generał Tomasz pisał z Żarek: „Od Piotrkowa ciągle podróżuję, połowę pieszo, połowę bryczkami lekkimi, bo inaczej nie można by dojechać po wszystkich rowach i piaskach, po których jeździć potrzeba. Droga żelazna najbezpieczniejszą częścią Polski przechodzi, wyjąwszy Częstochowę, której położenie nader jest piękne [...] Trzeci oddział od Piotrkowa do Częstochowy w dwóch trzecich częściach jest skończony co do roboty grabarskiej. Czwarty od Częstochowy do Granicy prawie całkiem będzie ukończony. Najwięcej zostaje do zrobienia na drugim oddziale od Skierniewic do Piotrkowa, który jest największy, mając blisko 12 mil, a obok prawie cały jest gliniasty i groble nader są wielkie i nie mogące być zrobione taczkami, tylko wagonami prowadzonymi po tymczasowej ułożonej drodze żelaznej. Powiadają mi, że i czwarty oddział od dnia jutrzejszego jeszcze wiele przedstawi wielkich robót, które już dokonane zostały. Zabawimy tutaj przez jutro dla zlustrowania niektórych rachunków i fabryki wapna hydraulicznego, którą tutaj prowadziemy, zarazem zwiedzę fabrykę machin Steinkellera. Potem jeszcze nam zostanie drogi na dwa dni. Nie wiem jeszcze, którądy powrócę, bo chciałem zwiedzić Niwkę i Dąbrowę, a zarazem i Olkusz. Bardzo jestem kontent z pułkownika Leszczyńskiego, kierującego robotami 4-go oddziału, chociaż ze wszystkich inżynierów na ca-

tej drodze zupełnie byłem kontent. Zdaje się wszyscy równie szlachetni jak uczciwi, honor robię wyborowi Wysockiego, który sprawiedliwie jest ich naczelnikiem. Podobne podróżowanie cały nam czas zabiera, a wieczór tak jesteśmy zmęczeni, że wszyscy przed dziesiątą już są w łóżku".²¹⁸

Przytoczona prawie w całości relacja generała Tomasza z podróży trafnie oceniała zacofanie gospodarcze i kulturalne znacznej części kraju, przez którą miała przebiegać kolej żelazna, tak przecież ważny po dzień dzisiejszy czynnik podnoszenia poziomu cywilizacji. Optymizm i zadowolenie z wykonanych prac wydają się uzasadnione, jeśli się zważy trudności, z jakimi przyszło borykać się przy realizacji tej ważnej inwestycji.

Do końca roku 1841 wykonano już $\frac{3}{4}$ wszystkich prac.²¹⁹ W toku robót jednak natrafiono na szereg nieprzewidzianych trudności, które poważnie wpłynęły na podwyższenie kosztów. W cytowanym już fragmencie listu generała Łubieńskiego z 1 sierpnia 1840 r. spotkaliśmy się z utyskiwaniami na trudności w pracach ziemnych pod Skierniewicami. „Pod Strzemieszycami znowu — czytamy w tym samym liście — napotkaliśmy na kamień piaszczysty, bardzo twardy w miejscu, a rozsypujący się prawie, skoro wyniesiony zostanie na powietrze. Zgoła ze wszystkich stron okazują się większe wydatki, aniżeliśmy na nie z początku rachowali [...]”²²⁰

Ponadto — jak pisaliśmy — już prace na linii były w pełnym toku, gdy przedsiębiorcy doszli do wniosku, że zamiast budować liczne mijanki przy systemie jednotorowym, obsługiwanym końmi, lepiej od razu wybudować dwa tory, licząc się z perspektywami dużego ruchu. Oczywiście wymagało to większych wydatków, niż pierwotnie zaplanowano. W tym czasie zdecydowała się również ostatecznie sprawa wyboru systemu angielskiego, który wymagał podniesienia kwot przeznaczonych na zakup drogich lokomotyw i dostosowanego odpowiednio taboru oraz urządzeń technicznych na linii.

Lokomotywy w pierwotnie planowanej liczbie 5 sztuk, w zamian za akcje Towarzystwa, miał dostarczyć John Cockerille, pół-Anглиk pół-Belg, wybitny przemysłowiec, właściciel wielkich zakładów fabrycznych w Leodium i Seraing w Belgii oraz w innych krajach europejskich. Stosunki polskich przemysłowców z Joh-

nem Cockerille sięgają roku 1830, kiedy to właściciel warsztatów włókienniczych w Zgierzu Zachert sprowadził od niego maszyny parową. Również Steinkeller pozostawał z nim w częstych kontaktach. W 1836 r. Cockerille przyjechał po raz pierwszy do Warszawy, a w roku 1840 bawiąc tu po raz drugi w przejeździe do Petersburga, zmarł nagle.²²¹ Znim właśnie przybył do Warszawy jego wspólnik Wilhelm Rau, późniejszy współwłaściciel wielkich zakładów metalowych w stolicy „Lilpop-Rau-Loewenstein”.

Decyzja o budowie trakcji parowej pociągnęła za sobą konieczność położenia specjalnego rodzaju szyn, tzw. pionowych, zdolnych wytrzymać zarówno duży ciężar samej lokomotywy, jak i zwiększoną poważnie szybkość pociągów.

Wszystko to wywróciło całkowicie dotychczasowe kalkulacje Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, zmuszając je do opracowania nowego kosztorysu. Kapitał zakładowy Towarzystwa, ustalony w początkach 1839 r. na kwotę 21 mln złotych polskich, który okazał się za mały nawet gdyby pozostano przy systemie amerykańskim, wymagał zwiększenia do około 30 mln. Władze Królestwa ustosunkowały się jednak z rezerwą do prośby Towarzystwa o gwarancję rządu na projektowane wypuszczenie dalszych 2 500 akcji kolei żelaznej.

Do tych kłopotów dołączyły się jeszcze inne. Z Anglii miało nadejść 15 tys. ton szyn. Przeciwno bezcłowemu ich sprowadzeniu wystąpił Maurycy Koniar, bogaty burżua, administrator rządowych kopalń i hut żelaza. Dzięki swoim stosunkom w sferach carskiej administracji, pod pretekstem, że dostawy szyn angielskich podkopują rozwój podległych mu zakładów żelaznych w Królestwie, zdołał on różnymi zakulisowymi machinacjami doprowadzić do odmowy władz Królestwa na bezcłowy import szyn. Nawiasem mówiąc administrowane przez niego zakłady nie byłyby absolutnie w stanie wykonać zamówień na szyny. Intryga ta poważnie zaważyła na losach Towarzystwa, które miało otrzymać angielskie szyny w zamian za akcje Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Na losach Towarzystwa zaważyły także trudności natury ogólniejszej. Ówczesna sytuacja gospodarcza w Europie, nosząca znamiona kryzysu, doprowadziła do krachu wielkiego wiedeńskiego Domu Bankowego Steiner et Companie. W nim to Steinkeller

ulokował 2 tys. akcji Towarzystwa, za które Steiner zobowiązał się sukcesywnie uruchamiać kapitały. Skomplikowała się również sytuacja na rynku angielskim, a przecieź w Londynie była ulokowana dalsza poważna część akcji. Wszystko to zachwiało Towarzystwem Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, doprowadzając do jego rozwiązania się 31 maja 1842 r., za uprzednią zgodą Rady Administracyjnej Królestwa.

Z inicjatywą likwidacji spółki akcyjnej wystąpiło 13 maja 1842 r. jej kierownictwo, nie widząc — wobec odmowy poparcia władz Królestwa i braku funduszków — możliwości dokończenia poważnie zaawansowanych robót. Akt prawny rozwiązania Towarzystwa Drogi Żelaznej spisano w kancelarii rejenta Józefa Jeziorańskiego w Warszawie, w obecności Piotra Steinkellera i Tomasza Łubieńskiego oraz Ludwika Orłowskiego, naczelnika sekcji prawnej Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu.²²²

Trudno wdawać się w szerszą analizę przyczyn upadku Towarzystwa. Wydaje się, że przedstawione trudności dostatecznie tłumaczą niepowodzenie tej ze wszelkich miar pożytecznej inicjatywy. Dlaczego jednak nie znalazła ona żywego poparcia kapitalistów w kraju? Oto pytanie, które uporeczywie powraca przy studiowaniu historii budowy pierwszej w Królestwie Polskim linii kolejowej. W Warszawie zdołano rozprowadzić zaledwie 71 akcji o łącznej wartości 298 200 złotych polskich na ogólną liczbę 5 tys. wypuszczonych akcji opiewających na 21 mln złotych polskich.²²³ To stanowczo zbyt mało, jeśli się zważy, że były przecieź w Warszawie tych lat milionowe fortuny takich choćby bankierów i przemysłowców, jak S. A. Fraenkel, Kronenbergowie, Toeplitzowie, Evansowie, S. Jakubowski i M. Koniar, nie mówiąc już o arystokracji w rodzaju Zamoyskich zaangażowanej w handlu i przemyśle.

Nie pomogła kampania na rzecz budowy kolei rozwijana usilnie przez prasę krajową ani próby Steinkellera i Łubieńskich wciągnięcia do spółki większej liczby właścicieli kapitałów z Królestwa. Upadło więc to towarzystwo akcyjne podobnie jak opisywane już Towarzystwo Wyrobów Zbożowych. Wielokrotnie podkreślaliśmy niechęć polskich kapitalistów do angażowania swych pieniędzy bezpośrednio w inwestycje przemysłowe. Handel i bankierstwo — oto znacznie pewniejsze sfery działania. Działalność

przemysłową podejmowano najczęściej w oparciu o fundusze Banku Polskiego. Dowodzą tego poczynania Steinkellera, Łubieńskich, Evansów, Raua, Kronenbergów, Koniara, Jakubowskiego, Epsteinów i wielu innych przedsiębiorców, którzy budowali fabryki opierając się na kredytach rządowych. Tak było najwygodniej, bo ryzykowało się najwyżej przejście zakładu na własność Banku Polskiego. Nie więc dziwnego, że w tej sytuacji bardzo kosztowna budowa kolei żelaznej nie mogła być przeprowadzona bez pomocy finansowej rządu.

Kapitałisi krajów bardziej rozwiniętych gospodarczo nie kwapili się jeszcze wówczas do inwestowania w krajach gospodarczo zapóźnionych. Wkłady w zakłady przemysłowe na własnym terenie i szybki rozwój kolejnictwa w krajach zachodniej Europy dawały rękojmię dużych zysków bez uciekania się do eksportu kapitału.

Interesujące jest, jaki był stosunek ogółu społeczeństwa do nowego wynalazku: kolei żelaznej. Miał on niewątpliwie prawdziwych entuzjastów, rozpowszechniających swe poglądy i opinie na łamach prasy, która zamieszczała również wiele wypowiedzi inspirowanych przez Towarzystwo Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Szeroki ogół ludności rzemieślniczej i robotniczej w latach czterdziestych XIX stulecia przyjmował maszynę parową z niechęcią. Były to lata niezbyt odległe od znanych w historii międzynarodowego ruchu robotniczego wystąpień angielskich burzycieli maszyn, tzw. luddystów. Na ziemiach polskich podobne wystąpienia miały miejsce jeszcze w dwadzieścia lat później. W 1861 r. wybuchł pierwszy, powszechnie znany strajk robotników łódzkich u Scheiblera, zakończony zburzeniem wprowadzonych świeżo maszyn. Taki stan rzeczy powodowały obawy, że maszyny zastąpią pracę ludzi, którzy stracą wtedy podstawy utrzymania.

Omawiane zagadnienie poruszał nieznany autor w obszernym artykule pod tytułem *O wpływie machin na przemysł i na byt klasy pracującej* zamieszczonym w *Wiadomościach Handlowych i Przemysłowych* z 12 sierpnia 1837 r. Pisał on: „[...] W Polsce mamy bogate kopalnie węgla w Dąbrowie; połowę drzewa, które Polska konsumuje oszczędzić moglibyśmy, połowę lasów naszych zachować, gdybyśmy mieli kolej żelazną z Dąbrowy do Warsza-

wy [...] Nie sądzimy, aby to zastąpienie ludzi machiną zmniejszyło potrzebę rąk pracujących, bynajmniej; żądanie i potrzebowanie węgla przez zmniejszenie ceny jego tak się powiększyło, że musiano użyć dwa razy większą ilość górników do rozkopywania coraz nowych otworów i studni. Cóż dopiero mówić, ile nowych otworzyło się rodzajów zarobkowania przez budowę machin, wyrabianie narzędzi górniczych, transportowanie tylekroć powiększonej produkcji węgla ziemnego do warsztatów lub do miejsca sprzedaży [...] Czym była fabrykacja wyrobów bawełnianych, dopóki nie wynaleziono sposobów mechanicznych przędzenia, tkania, farbowania itd. Wyroby bawełniane zaledwie dla klas możniejszych dostępnymi były, dziś nie masz wieśniaczki, chłopki prostej, która by materii bawełnianej na sobie nie miała [...]” Autor kończy zwracając uwagę „[...] na wielkie i dobroczynne skutki, jakie przyjęcie i upowszechnienie machin parowych krajowi naszemu rokuje. Bogactwo i pomyślność kraju lepszej dźwigni mieć nie mogą”.

W tym samym numerze „Wiadomości” zamieszczono artykuł pod znamienym tytułem: *Czego potrzeba, ażeby się udały koleje żelazne*, co niewątpliwie pozostawało w bezpośrednim związku z podejmowaną wówczas budową Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W latach następnych sprawę tę często omawiano na łamach prasy; rozważano ją teoretycznie i także zamieszczano relacje z praktycznej działalności najpierw inżynierów przedsięwzięcia, a potem Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. W 1841 r., kiedy wśród kierowników Towarzystwa decydowała się kwestia według jakiego systemu ma być zbudowana kolej, szacowna „Biblioteka Warszawska” zamieściła obszerny artykuł, którego autor opowiadał się stanowczo za budową trakcji parowej, popierając swoje stanowisko dokładnymi wyliczeniami.²²⁴ Mamy podstawy sądzić, że był nim bądź sam Piotr Steinkeller, bądź ktoś występujący z jego ramienia.

Niezwykle trafne uwagi wypowiadał w tym samym roku K. Krupski, nieznany bliżej entuzjasta wieku XIX, który w artykule pod tytułem *Uwagi nad stanem handlu wełną i nad przemysłem rolniczym* pisał: „Wiek nasz, oswobodzony przez nieustający postęp cywilizacji od marzeń, w których się błąkały dawniejsze wieki, wszedł na drogę rzetelnych, rzeczywistych korzyści, ten

duch go ożywia, z tą myślą dąży. Kolej żelazna — ta nowa potężna sprężyna jego sił żywotnych, ten lewiatan przemysłu ludzkiego w naszych czasach, wyda owoc, którego żaden rozum, nie mógłby opisać, ale nawet w myśli wystawić jeszcze nie jest w stanie, żadna jeszcze myśl tak daleko sięgnąć nie zdoła. Kolej żelazna nie pozostanie jedynie środkiem mechanicznym, będzie ona zarazem środkiem umysłowym, niech tylko sieć jej na całą Europę rzuconą zostanie, a wszystko na kolejach żelaznych pójdzie naprzód: przemysł, cywilizacja, rozum, moralność. Biada temu, kto na tę kolej nie siądzie, daleko on za nią w tyle pozostanie”²²⁵.

W części drugiej tego samego artykułu Krupski apelował do współczesnych: „Trzeba dziś koniecznie w dalszą niż dawniej zaglądać przemysłową przyszłość, bo ona teraz szybkim nachodzi nas krokiem; i dalej jeszcze śledzić ją potrzeba, aby ją poznać i dla naszych dzieci, bo i ona należy do spadku, który dla nich pozostawić mamy”²²⁶.

Zainteresowanie nowym systemem komunikacji kręgu jego zwolenników wyraziło się w popularyzowaniu zdobyczy innych krajów na tym odcinku. Nie potrafimy dziś dociec, z czyjej bezpośrednio inspiracji wydano w Warszawie w 1842 r. tłumaczenie dziełka francuskiego o kolejach żelaznych. Rok wydania zbiegł się z datą rozwiązania Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, nie ulega więc wątpliwości, że podjęto tę inicjatywę oraz dokonano przekładu wcześniej, w 1839 lub 1840 r. Mógł to być rezultat którejs z podróży Steinkellera lub Tomasza Łubieńskiego odbywanych na Zachód w owych latach. Z równym prawdopodobieństwem mogła to być inicjatywa samego tłumacza, R. K. W. Górskiego, autora wielu artykułów na tematy techniczne i gospodarcze drukowanych ówczasie w prasie warszawskiej. Na karcie tytułowej dziełka czytamy: *Pismo podręczne dla budującego drogi żelazne albo wykład zasad ogólnych sztuki budowania drogi żelaznej, przez Biota, jednego z członków zarządzających wykonaniem robót drogi żelaznej od St. Etienne do Lyonu*. Tłumacz zadedykował swój przekład generałowi Rautenstrauchowi, wspomnianemu już naczelnikowi w Komisji Komunikacji Lądowych i Wodnych.

Górski w swej przedmowie uzasadniał wydanie dziełka w następujący sposób: „Ażeby więc uczynić zadosyć tak wygodnie

służby inżynierskiej, jako też ku jednemu celowi dobra powszechnego, rozpięzchnione, a niekiedy zupełnie sobie przeciwne sposoby widzenia rzeczy, przez podanie gruntownych zasad skierować, szukałem odpowiedniego pisma w obcych językach²²⁷.

Autor dziełka dość przystępnie omówił w nim techniczną problematykę budownictwa kolejowego, uwzględniając wszystkie wówczas stosowane sposoby budowy torów, rodzaje szyn, typy lokomotyw, wagonów, urządzeń stacyjnych itp., jak również koleje obsługiwane końmi. Publikację, liczącą 267 stron druku, zaopatrzone w rysunki techniczne wyobrażające różne urządzenia kolejowe, tabor i lokomotywy. Dziełko Biota zasługuje dziś na uwagę wszystkich tych, którzy interesują się historią kolejnictwa od strony technicznej.

Z późniejszego okresu, gdy oddawano już do użytku pierwsze odcinki Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, pochodzi ciekawy dowód zrozumienia w pewnych kręgach społeczeństwa prowincjonalnego wagi i znaczenia kolei. W Archiwum Akt Dawnych w Warszawie zachował się oryginał prośby władz miejskich miasteczek Kromołowa, Pilicy i Wolbromia, leżących w ówczesnym powiecie olkuskim, wystosowanej 11 lutego 1846 r. do senatora Storożenki w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Autorzy pisma prosili o urządzenie stacji kolejowej w osadzie przemysłowej Zawiercie, a nie w odległości 10 km od tej miejscowości, gdzie zamierzali ją zlokalizować budowniczy kolei. Czytamy w piśmie: taka odległość od Zawiercia zniweczy „przyszłą pomyslność wszystkich trzech miast, bowiem miasto Kromołów ze swą fabryczną osadą Zawiercie jest od granicy najpierwszym miastem, przez którego grunta kolej żelazna przechodzi, i posiada znakomite fabryki bawełniane, wielu sukienników, przedalnię bawełny obok samej kolei i przeszło 2 000 handlującej ludności. Miasto Pilica fabryki bawełniane, wielu zamożnych kupców hurtowych, rzemieślników, ludność 4 000 wynoszącą i słynne targi zbożowe, a miasto rządowe Wolbrom przeszło 3 000 mieszkańców prowadzących ogromny handel zbożowy ze wszystkimi miastami, których okolice w produkcję zboża obfitują”. Dalej autorzy prośby oferowali gotowość bezpłatnego oddania ziemi pod zabudowania stacyjne oraz pomoc w ich wystawieniu, byleby tylko stacja została zlokalizowana w Zawierciu. Stwierdzali przy tym, że dla

nich przyniosłoby to „łatwość wysyłek z targów zbożowych i wszystkie korzyści wewnętrznego handlu [...] [ponieważ] niewątpliwą jest rzeczą, że przeznaczeniem kolei żelaznej jest ułatwienie handlu i połączenie miast, jak to w całej Europie i Ameryce spostrzegać się daje”.²²⁸

Pismo podpisali przedstawiciele władz miejskich Pilicy i Wolbromia, właściciel miasteczka Kromolów Ludwik Zachert oraz szereg osób reprezentujących miejscowe kupiectwo i rzemiosło. Zasluguje na uwagę zrozumienie korzyści i wielkich perspektyw otwierających się przed miejscowościami, które miały być przecięte linią kolei żelaznej. Specjalnie trzeba to podkreślić zważywszy, że pismo dotyczyło w istocie małych, nie odgrywających większej roli w życiu gospodarczym miasteczek. Fakty bowiem przytoczone w prośbie uznać trzeba za przesadzone. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że inicjatywa omówionego wystąpienia wyszła zapewne od Zacherta i znaczniejszych mieszczan. Dodajmy, że prośbę tę władze załatwiły odmownie.

Likwidacja Towarzystwa Drogi Żelaznej zahamowała na pewien czas prace przy budowie kolei. Do chwili upadku Towarzystwa jednak posunięto je już zbyt daleko, by można było zrezygnować z dokończenia budowy. Koszt robót wykonanych na linii w latach 1840—41 wynosił około 13 500 tys. złotych polskich. Ponieważ przerwano prace wiosną 1842 r., pozostało bez zatrudnienia wzdłuż drogi Warszawa-Granica około 3 tys. robotników, zwerbowanych na polecenie Steinkellera w guberniach rosyjskich jeszcze w początkach tego roku. Mąciło to spokój księcia Paskiewicza, który obawiał się, że robotnicy ci zagrożą bezpieczeństwu okolicznych osiedli.

W związku z wytworzoną sytuacją Paskiewicz powołał komitet do opracowania dalszych wniosków w sprawie budowy kolei.²²⁹ W czasie między 13 maja a 7 października 1842 r. komitet sporządził bilans rachunków byłego Towarzystwa i kosztorysy dalszych robót oraz wystąpił z wnioskami kontynuowania budowy i wykupienia akcji rozwiązanego Towarzystwa. Rząd wnioski te zaakceptował i podjął się finansowania dalszej budowy kolei żelaznej.

Łączny koszt tej inwestycji, przy uwzględnieniu sum już wydatkowanych, obliczono na 6 900 tys. rubli, tj. 46 mln złotych pol-

skich. Było to znacznie więcej, niż przewidywało Towarzystwo Drogi Żelaznej, a trzeba zaznaczyć, że rząd planował zbudowanie trakcji jednotorowej.

Zwierzchnictwo nad całością prac objął Zarząd Budowy Drogi Wiedeńskiej z przewodniczącym generałem Dehmem i konstruktorem generałem inżynierem Edwardem Gerstfeldem na czele. Kierownictwo techniczne pozostało nadal w rękach inżyniera Stanisława Wysockiego.

Przerwane prace podjęto dopiero w 1844 r. 14 lipca tegoż roku położono w Warszawie kamień węgielny pod budowę przyszłego dworca Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Uroczystość ta zgromadziła śmietankę towarzystwa warszawskiego i przedstawiciele sfer rządowych z księciem Paskiewiczem na czele. Gmach zaprojektował wybitny architekt warszawski, inżynier Henryk Marconi. Poświęcenia aktu erekcyjnego dokonał ksiądz biskup sufragan łowicki Kotowski w obecności namiestnika Paskiewicza, księcia Górczakowa, hrabiego Ożarówskiego, oberpolicmajstra warszawskiego generała Abramowicza, tajnego radcy senatora Wiorogórskiego, generalnego kontrolera Królestwa Polskiego i rzeczywistego radcy stanu Lewińskiego oraz dyrektora Komisji Komunikacji Lądowych i Wodnych radcy stanu Kozłowskiego.²³⁰

Dworzec pomieszczono między Alejami Jerozolimskimi a przedłużeniem ulicy Widok, na obszarze 17 mórg, stanowiących dotychczas własność książąt Ogińskich i Sułkowskich.

14 czerwca 1845 r. oddano do użytku pierwszy odcinek kolei żelaznej Warszawa-Grodzisk, długości 29,63 km. Otwarcie linii odbyło się bardzo uroczyście. O godzinie 14³⁰ ruszył pierwszy pociąg parowy, zabierając z sobą wykwintne towarzystwo uczestniczące w tej uroczystości. Generał Tomasz Łubieński donosił ojcu: „Inauguracja Drogi Żelaznej będzie dzisiaj o godzinie 3-ej po południu; 600 biletów zostało rozdanych tak całemu towarzystwu u marszałka bywającemu, jako też urzędnikom, albowiem każdej władzy pewną ilość biletów posłano. Książę namiestnik daje obiad w Grodzisku dla całego swojego towarzystwa na 150 osób, a dla reszty chłodniki. Droga do Grodziska od dnia dzisiejszego otwartą będzie dla publiczności, a na jesieni otwartą zostanie droga aż do Łowicza [...]”²³¹

Następnego zaś dnia generał Tomasz pisał: „[...] Wczoraj wszystko się odbyło jak najporządniej w Grodzisku. Księżę o wpół do 3-ej z licznym bardzo orszakiem wyjechał do Grodziska, gdzie był obiad wspaniały, a po obiedzie spacerowano w lasku, z którego zrobiono park, i w ogrodzie pana Mokronowskiego, który jako gospodarz przyjmował księcia i robił mu honory swego domu. Z dam polskich były tylko księżna Radziwiłłowa i pani Franciszkowa Potocka”²³². Nie zostali zaproszeni ani Łubieńscy, ani Steinkeller, którzy wówczas znajdowali się już w niełasce.

Przed otwarciem linii dokonano uroczystego poświęcenia trzech lokomotyw wyprodukowanych na zamówienie w zakładach Cockerillego. Rodzicami chrzestnymi pierwszej lokomotywy byli książę Paskiewicz i żona jednego z dostojników carskich. Parowozy otrzymały wdzięczne imiona: „Warszawa”, „Wisła” i „Rawka”. Równie uroczyście odbyło się poświęcenie następnych parowozów, które nadeszły później. Nazwano je pretensjonalnie: „Zorza”, „Nadzieja”, „Lew”, „Słoń”, „Orzeł”, „Bzura”, „Jan”, „Postęp” i „Błyskawica”.

Stopniowo oddawano do użytku następne odcinki kolei żelaznej:

15 X	1845 r.	— Grodzisk-Skierniewice	— 37,07 km
1 XI	1845 r.	— Skierniewice-Łowicz	— 21,07 „
13 X	1846 r.	— Skierniewice-Piotrków	— 77,87 „
13 XII	1846 r.	— Piotrków-Częstochową	— 85,88 „
13 XII	1847 r.	— Częstochowa-Ząbkowice	— 62,67 „
15 IV	1848 r.	— Ząbkowice-Granica	— 13,87 „

Tak więc od 15 kwietnia 1848 r. czynna była już cała linia Kolei Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej długości 328,06 km, wraz z odnogą Skierniewice-Łowicz, którą wybudowano na wyraźne zlecenie Paskiewicza.

Utworzone w 1844 r. w Krakowie Towarzystwo Drogi Żelaznej Krakowsko-Górnośląskiej, z bankierami J. Bochenkiem, L. Hölzlem, W. Kirchmayerem i W. Wolfem na czele, doszło do porozumienia z inżynierem Wysockim, kierującym budową Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, w sprawie połączenia obu linii kolejowych w Szczakowej. Dzięki temu Warszawa uzyskała w 1848 r. bezpo-

średnie połączenie kolejowe z Krakowem oraz z Wrocławiem przez Mysłowice.

Oto jak przedstawiał się ruch osobowo-towarowy na Kolei Warszawski-Wiedeńskiej w pierwszych latach po jej otwarciu.²³³

Rok	Ilość			Przewieziono		Dochód z przewozu w rublach*		Czysty dochód
	loko- moty- wy	wago- ny oso- bowe	wago- ny to- waro- we	osoby	towar w pu- dach**	pasaże- rowie	ładunki	
1845	10	58	62	140 405	304 996	45 466	13 780	17 120
1846	13	68	103	269 346	1 171 096	138 736	38 415	70 298
1847	19	75	200	346 732	1 791 592	234 829	84 932	130 646
1848	35	87	312	364 741	2 248 860	223 520	96 020	34 519
1849	43	89	319	391 887	3 808 875	264 495	224 436	121 594
1850	43	83	306	383 535	3 218 050	282 911	180 648	116 424
1851	43	89	377	393 448	3 141 426	323 180	189 704	153 937

Przytoczone liczby nie zapowiadają poważnego rozwoju transportu kolejowego, który miał wkrótce nastąpić. Jeszcze w latach pięćdziesiątych transport towarów wysunął się na pierwsze miejsce, a dochody z tego tytułu zwiększyły się kilkakrotnie. Wzrost ten stał się szczególnie szybki po przejściu kolei w 1857 r. przez prywatną spółkę z Hermanem Epsteinem, wybitnym bankierem warszawskim na czele.

Byłoby interesujące zorientować się, kto jeździł pierwszymi pociągami. Według danych za 1851 rok największy ruch panował na odcinku między Warszawą a Łowiczem — 54 798 pasażerów, najmniejszy zaś na odcinku Częstochowa-Ząbkowice — 4 235 pasażerów. Ogólna liczba pasażerów w tymże roku wynosiła 393 448 osób. I klasą podróżowało 3 980 osób, II klasą — 66 224 osoby, III klasą — 198 773 osoby i IV klasą — 124 471 osób.²³⁴

Taryfę cen biletów kolejowych ustalono w 1845 r. Od przewozu jednej osoby na przestrzeni 1 mili, czyli 7 wiorst, pobierano:

Na trasie długości	w klasie			
	I	II	III	IV
od 1 do 140 wiorst	18 kopiejek***	13,50 kopiejek	9 kopiejek	6 kopiejek
od 140 do 200 „	15 „	11,25 „	7,5 „	5 „
powyżej 200 „	12 „	9 „	6 „	4 „

* 1 rubel = 6 złotych polskich 20 groszy.

** 1 pud = 16,38 kg.

*** 1 kopiejka = 2 grosze.

Od dzieci do lat dziesięciu w klasach I, II i III pobierano opłatę niższą o jedną klasę, a w klasie IV połowę ceny biletu. Każdy pasażer miał prawo bezpłatnie przewozić do 50 funtów* bagażu.²³⁵

1 maja 1847 r. wprowadzono nową taryfę, według której od jednej osoby za przejechane 7 wiorst pobierano, niezależnie od długości trasy, następującą opłatę:²³⁶

w klasie I	—	15,00	kopiejek
w „ II	—	11,25	„
w „ III	—	7,50	„
w „ IV	—	5,00	„

W porównaniu z cenami biletów kolejowych w innych krajach opłata ta nie była wysoka. W 1851 r. podwyższono ją, co jednak nie wpłynęło w poważniejszym stopniu na wzrost dochodów z ruchu pasażerskiego na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

W pierwszych latach po uruchomieniu drogi żelaznej kolejami podróżowali przeważnie zamożni mieszczaństwo i ziemianie oraz osoby ze sfer biurokratycznych. W klasach III i IV jeździli ludzie z uboższych warstw społeczeństwa. Najrzadziej można było wówczas spotkać w pociągu chłopów. Trzeba jednak zaznaczyć, że kolej żelazna stała się od początku najbardziej demokratycznym środkiem komunikacji i stosunkowo szybko zaczęli z niej korzystać ludzie z szerokich kręgów społeczeństwa.

Zachowało się wiele wiadomości o inicjatorach budowy drogi żelaznej, dyskusjach nad ogólną koncepcją, przebiegu prac, kosztach, zyskach itp.

Najmniej wiemy o zwykłych robotnikach, którzy budowali kolej, o warunkach, w jakich żyli i pracowali. Dysponujemy dziś tylko jednym zbiorem dokumentów archiwalnych rzucającym pewne światło na to zagadnienie.

Pisaliśmy już, że w początkach 1842 r. Towarzystwo Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej zwerbowało do prac przy budowie kolei 3 tys. robotników z guberni rosyjskich. Zarząd, który po upadku Towarzystwa kierował budową kolei, sprowadzał tak-

* 1 funt = 405,5 g.

że robotników z guberni rosyjskich bądź ze wschodnich terenów Królestwa Polskiego, gdzie — jak na przykład w Augustowskiem — w związku ze słabszym niż w zachodnich i centralnych regionach kraju rozwojem miast i przemysłu łatwiej było o ręce do pracy.

Wspomniane materiały archiwalne dotyczą roku 1845, w którym przy przeprowadzaniu linii Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej było zatrudnionych kilkuset robotników pochodzących z gubernii augustowskiej. Zwerbowali ich prywatni przedsiębiorcy, którym Zarząd powierzył wykonanie określonych robót. Pracami kolejowymi na odcinku Skierniewice-Łowicz kierowali wówczas trzech przedsiębiorcy z Chęcin, Szydłowca i Warszawy. Sprowadzili oni w marcu 1845 r. z Augustowskiego około 200 robotników, zobowiązując się oprócz płacy dostarczać im żywności, która oczywiście była w kalkulowana w zarobki.

O tym, jak żyli ci robotnicy, jak się z nimi obchodzono, niech powie bezpośrednia relacja urzędowa: „Ludzie ci [robotnicy] od samego początku zajęcia się robotami, to jest od miesiąca kwietnia rb., skarżyli się niejednokrotnie na dozorców [...] że udzielają im bardzo lichą strawę, obchodzą się z nimi zbyt surowo, karzą cielesnie i nie wypłacają w zupełności należnych za robotę pieniędzy; z tej przyczyny niektórzy z robotników, zostawivszy u dozorców wspomnianych przedsiębiorców swe świadectwa legitymacyjne, oddalili się nie wiadomo dokąd, a wielu innych zachorowało od złego pokarmu [...] jeden robotnik nazwiskiem Tabulski umarł w barakach z choroby, pozbawiony również wszelkiej lekarskiej pomocy [...]” Następnie w wyniku wizji lokalnej przeprowadzonej przez przedstawicieli władz znaleziono w barakach: „8 robotników i jedną kobietę w stanie najsilniejszej choroby, pozbawionych wszelkich środków utrzymania się [...] Za przyczynę tego, że przedsiębiorcy krzywdzą robotników i dopuścili się tak nieludzkiego postępcu, że zostawili w barakach chorych ludzi bez pokarmu i lekarskiej pomocy, uważać należy tę okoliczność, że naczelnik p[owia]tu Polesiewicz, do którego nie raz zanoszone były skargi na przedsiębiorców przez robotników, [że] udzielają im najlichszą strawę i chleb tak surowy, że go jeść niepodobna, nie tylko na to nie zwrócił uwagi, ale nadto nie wszedł ani razu w rozpoznanie skarg, co mu obowiązkiem nakazy-

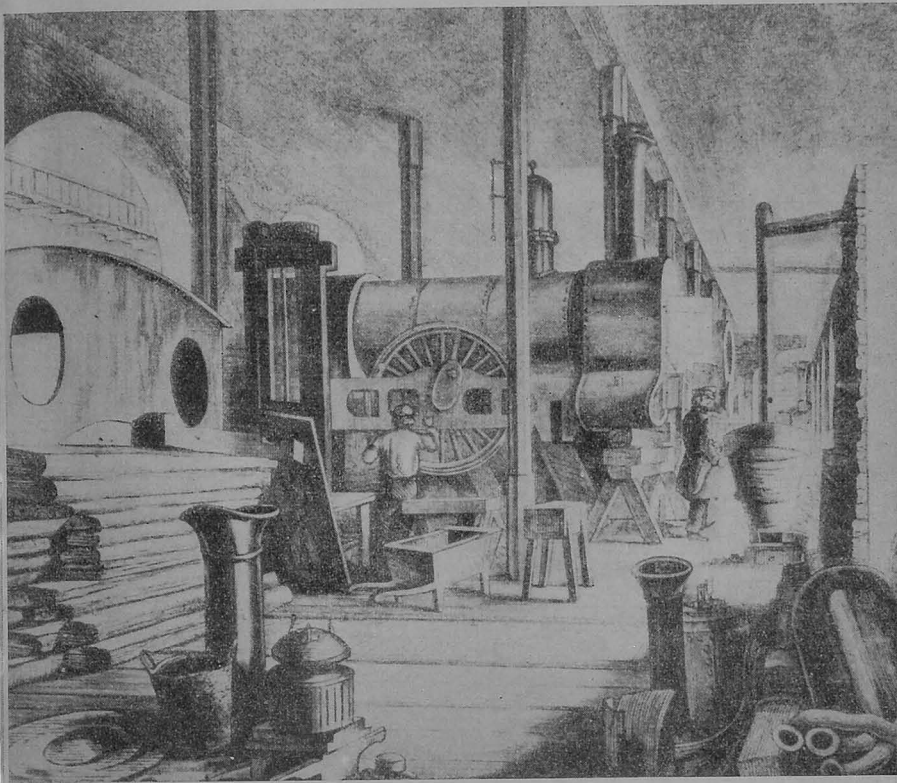
wał uczynić, i wtenczas dopiero delegował ze swej strony urzędnika na śledztwo, gdy się dowiedział, że podpułkownik Rozpopow [naczelnik drugiego Oddziału III Okręgu Korpusu Żandarmów] w towarzystwie lekarza Filipowicza udał się na drogę żelazną dla obejrzenia chorych robotników [...]” Jak widać, władze rozpoczęły śledztwo w przedstawionej wyżej sprawie.

Przeprowadzone dochodzenie potwierdziło całkowicie zarzuty o nieludzkim traktowaniu robotników, biciu i głodzeniu ich przez przedsiębiorców oraz wykazało kompletny brak opieki nad robotnikami ze strony miejscowych władz powiatowych. „Komisja śledcza — czytamy w drugim raporcie urzędowym — na miejscu przekonała się osobiście, że robotnicy nie mieli dostatecznej ilości słomy na poślanie, że udzielony im pokarm był zepsuty i nieposilny, a chleb niewypieczony i kocioł do gotowania pokarmu używany nie był wybielony, że w szpitalu w Łowiczu było ogółem chorych robotników 27, z tych 3 umarło, przyczyną zaś choroby ich podług świadectwa lekarza szpitalnego było usposobienie powietrza, a najgłówniejszą przyczyną śmierci 3 robotników było nierychłe odesłanie ich do szpitala, że robotnicy przez dozorców [...] cieleśnie byli karani, a jeden z nich z nazwiska Drobi-szewski był zraniony, że jeden z robotników imieniem Tabulski, będąc pozbawiony pomocy lekarskiej, w baraku umarł, że 80 robotników od robót uciekło [...]”²³⁷

Wstrząsający jest obraz stosunków panujących na tym odcinku robót kolejowych. Na pozostałych było prawdopodobnie niewiele lepiej, lecz tylko w jednym wypadku sprawy przybrały taki obrót, iż musiało dojść do interwencji władz zwierzchnich, dzięki czemu opisane wydarzenia trafiły do akt. Śledztwo trwało aż cztery lata i dopiero w 1851 r. zapadł wyrok skazujący przedsiębiorców winnych nadużyć na 6 miesięcy aresztu oraz grzywnę pieniężną. Wobec apelacji skazanych wniesionej do wyższych instancji sądowych wykonanie wyroku uległo zawieszeniu do 1856 r., kiedy to ostatecznie umorzono ciągnącą się przez tyle lat sprawę.

Powróćmy do Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Nie tu miejsce na kreślenie całej historii jej funkcjonowania. Ówczesna nazwa kolei pozostała do dziś tylko w pamięci wysłużonych weteranów polskiego kolejnictwa, którzy na tym szlaku kiedyś, jeszcze przed pierwszą wojną światową, zdobywali kwalifikacje w tak trud-

nym i odpowiedzialnym, a tak popularnym w Polsce zawodzie kolejarza. Dziś na tej samej, niedawno zelektryfikowanej trasie kursują nowoczesne elektrowozy, które zastąpiły wysłużone lokomotywy, a linia ta jest jedną z najbardziej ruchliwych arterii komunikacyjnych w Polsce. Tory kolejowe biegną szlakiem wytyczonym przed 120 laty, lecz w krajobrazie oglądanym z okien wagonu zmieniło się bardzo wiele. Wyrosły nowe miasta z lasami kominów fabrycznych — szczególnie za Częstochową, na terenie Zagłębia Dąbrowskiego. Ożywiły się miasta, osiedla i wioski, przez które biegnie linia kolejowa, a wiele z nich zawdzięcza jej swój awans gospodarczy. Sprawdziły się cytowane już w tym szkicu słowa entuzjasty budowy kolei: „Kolej żelazna [...] wyda owoc, którego żaden rozum [...] nawet w myśli wystawić jeszcze nie jest w stanie [...] wszystko na kolejach żelaznych pójdzie naprzód: przemysł, cywilizacja, rozum, moralność. Biada temu, kto na tę kolej nie siądzie, daleko on za nią w tyle pozostanie”.



W warsztatach kolejowych Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej
w Warszawie
Muzeum Historyczne m. st. Warszawy

W kierunku od Warszawy.

1. Do Granicy i Łowicza

z Warszawy . . . o g. 7 rano.
z Pruszkowa . . . , 7 25'' "
z Grodziska . . . , 7 55 "
z Rudy , 8 25 "
z Radziwiłłowa . . , 8 45 "
Do Łowicza } ze Skier- { „ 9 15 "
Do Granicy } niewie { „ 9 20 "
z Pływi , 9 40 "
z Rogowa , 10 20 "
z Rokicin , 11 10 "
z Bab (Małach.) „ 11 55 "
z Piotrkowa , 12 15 po po.
z Gorzkowic , 1 "
z Radomska , 1 45 "
z Kłomnicy , 2 20 "
z Częstochowy . . . , 3 25 "
z Poraja , 3 50 "
z Myszkowa , 4 20 "
z Zawiercia , 4 45 "
z Łazów , 5 "
z Ząbkowic , 5 29 "
ze Strzemieszyc „ 5 30 "
Przychodzi do Granicy „ 5 45 "

Z Granicy do stacji pruskiej Mysłowice o godzinie 7½ w wieczór, skąd narajutrz o godz. 8½ rano do Wrocławia, Berlina, Hamburga i t. d.

Osoby udające się do Krakowa, pozostają na stacji Granica do godziny 7 rano dnia następnego i przybývają do Krakowa o godzinie 9 rano.

2. Do Granicy

z Warszawy o g. 12 w połud.
z Pruszkowa . . . , 12 30'' po poł.
z Grodziska , 1 "
z Rudy , 1 30 "
z Radziwiłłowa „ 1 55 "
ze Skierawic „ 2 30 "
z Pływi , 3 "
z Rogowa , 3 45 "
z Rokicin , 4 30 "
z Bab (Małach.) „ 5 "
z Piotrkowa , 5 40 "
z Rozprzy , 5 50 "
z Gorzkowic , 6 30 "
z Kamieńska „ 6 45 "
z Radomska , 7 15 "
z Widzowa „ 7 30 "
z Kłomnicy , 8 "
z Rudnika , 8 15 "
Przych. do Częstoch. „ 8 30 "
z Częstochowy o g. 8 15 rano.
z Poraja , 8 45 "
z Myszkowa , 9 20 "
z Zawiercia , 9 30 "
z Łazów , 9 55 "
z Ząbkowic , 10 20 "
ze Strzemieszyc „ 10 30 "
Przych. do Granicy „ 10 45 "

Odjazd z Granicy do Wrocławia lub Wiednia o godz. 11½ rano do Krakowa „ 3 po poł.

W kierunku do Warszawy.

5. Do Warszawy

z Granicy . . . o g. 4 15" po poł.
z Żąbkowic. 4 45 "
z Łazów. 5 10 "
z Zawiercia 5 20 "
z Myszkowa 5 30 "
z Potaja 6 20 "
Przych. do Częstoch. . 6 45 "
z Częstochowy o g. 6 45 rano.
z Rudońka 7 "
z Kłomnicy 7 30 "
z Widzowa 7 45 "
z Radomska 8 10 "
z Kamińska 8 30 "
z Gorzkowic 9 "
z Rozpry 9 15 "
z Pietrkowa 9 55 "
z Bab (Małach.) . . 10 25 "
z Rokicin 11 "
z Rogowa 11 35 "
z Pływki 12 10 po poł.
ze Skierniowic . . 12 45 "
z Radziwiłłowa . . 1 10 "
z Rudy 1 40 "
z Grodziska 2 10 "
z Pruszkowa 2 35 "
Przychodzi do Warsz. . 3 "

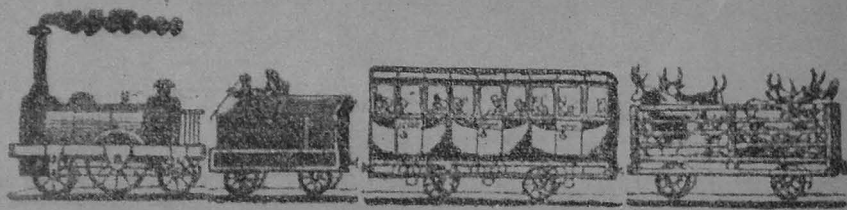
Osoby jadące z Wiednia lub Wrocławia, też wyjeżdżające z Krakowa o godzinie 10 rano, przybywają na ten pociąg do stacyi Granica.

6. Do Warszawy

z Łowicza o g. 6 rano
ze Skierniowic 6 45 "
z Radziwiłłowa 7 10 "
z Rudy 7 35 "
z Jaktorowa 7 45 "
z Grodziska 8 5 "
z Brwinowa 8 15 "
z Pruszkowa 8 30 "
z Włoch 8 40 "

Przychodzi do Warsz. . 9 "

Przy pociągu tym pojazdy klasy I^o tylko w razie zamówienia dniem wcześniejszym najmiej trzech miejsc, będą dawane.

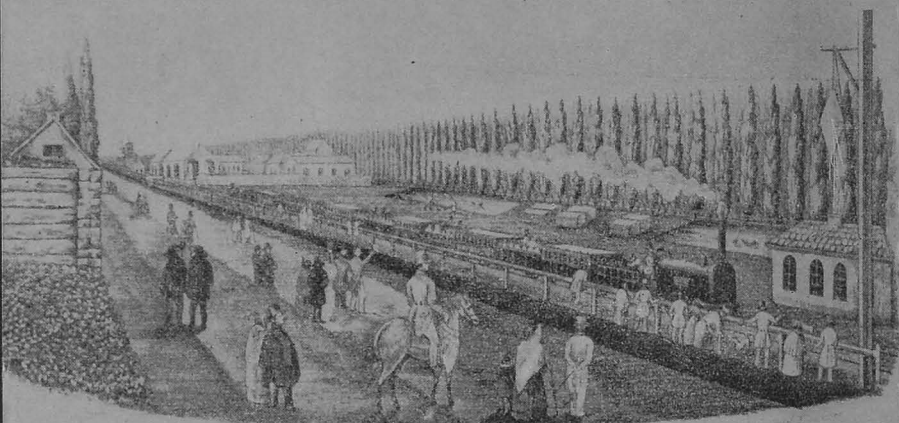


komotywa, tender, wagon osobowy, wagon towarowy do przewozu bydła.

Winieta z artykułu *Parowóz* w „Kalendanzu Krakowskim”,
wyd. J. Czecha, 1850

Muzeum Historyczne m. st. Warszawy

Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska
Muzeum Narodowe w Warszawie



Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska.

PRZYPISY BIBLIOGRAFICZNE

- 1 F. S. Dmochowski, *Wspomnienia*, Warszawa 1858, str. 205.
- 2 T. Lępkowski, *Przemysł warszawski u progu epoki kapitalistycznej (1815—1868)*, Warszawa 1960, str. 11.
- 3 F. M. Sobieszkański, *Pogląd na postać miasta Warszawy*, Warszawa 1847, str. 22.
- 4 Tamże, str. 24—25.
- 5 Tamże, str. 25.
- 6 *Nowy Kalendarzyk Polityczny na rok 1826*, Wyd. Netto, Warszawa, str. 608.
- 7 Archiwum Główne Akt Dawnych (AGAD), Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych (KRSW), nr 5845, k. 10.
- 8 „Gazeta Codzienna”, 1848, nr 11.
- 9 A. Morawski, *Samorząd Warszawy w dobie powstania listopadowego*, Warszawa 1934, str. 2.
- 10 *Nowy Kalendarzyk Polityczny...*, str. 517—520.
- 11 [S. Hiszpański], *W sprawie szewskiej*, z cyklu: *Gawędy starego szewca*, „Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza”, 1894, str. 272, 281. Hiszpański przytacza niniejszy fragment jako wspomnienia innej osoby, mamy jednak podstawy przypuszczać, że chodzi tu o niego samego (R. K.).
- 12 S. Siegel, *Ceny w Warszawie w latach 1816—1914*, Poznań 1949, str. 295, tabl. 62—70.
- 13 Tamże, str. 178—224.
- 14 T. Lępkowski, *Początki klasy robotniczej Warszawy*, Warszawa 1956, str. 244—245.
- 15 Tamże, str. 245.
- 16 A. Kraushar, *Resursa Kupiecka w Warszawie. Dawny Pałac Mniszców (1820—1928)*. Monografia historyczno-obyczajowa, Warszawa 1928, str. 69.
- 17 Tamże, str. 16—17.
- 18 T. Lipiński, *Zapiski z lat 1825—1831*, Kraków 1883, str. 51—52.
- 19 A. Kraushar, *Resursa Kupecka...*, str. 7, 11.
- 20 AGAD, Policja Tajna Konstantego (PTK), *Raporty Mackrotta*, t. 41, nr 380.
- 21 Tamże, t. 41, nr 164.
- 22 Tamże, t. 41, nr 161.
- 23 Tamże, t. 42, nr 19.
- 24 W. Łukasiński, *Pamiętnik*, Warszawa 1960, str. 92.

- 25 [J. Krasiński], *Pamiętniki Józefa hrabiego Krasińskiego od roku 1790—1831*, Skrócone przez Fr. Reuttowicza, Poznań 1877, str. 149.
- 26 T. Lipiński, *Zapiski...*, str. 68—69.
- 27 Tamże, str. 63.
- 28 Tamże, str. 77.
- 29 Tamże, str. 80.
- 30 [J. Krasiński], *Pamiętniki...*, str. 161—162.
- 31 AGAD, PTK, *Raporty Mackrotta*, t. 94, nr 33; t. 98, nr 558; t. 99, nr 1041.
- 32 Tamże, t. 96, nr 90.
- 33 Tamże, t. 96, nr 202.
- 34 T. Lipiński, *Zapiski...*, str. 169.
- 35 AGAD, PTK, *Raporty Mackrotta*, t. 99, nr 1226.
- 36 [J. Krasiński], *Pamiętniki...*, str. 163.
- 37 M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*, t. II, Poznań 1863, str. 12.
- 38 T. W. Łubieński, *Henryk Łubieński i jego bracia. Wspomnienia rodzinne odnoszące się do historii Królestwa Polskiego i Banku Polskiego*, Kraków 1886, str. 125.
- 39 [Zamoyski Andrzej], *Moje przeprawy. Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego o czasach powstania listopadowego (1830—1831)*, Wyd. A. Kraushar, t. I, Kraków 1911, str. 63.
- 40 R. Łubieński, *Generał Tomasz Pomian hrabia Łubieński*, t. II, Warszawa 1898, str. 3.
- 41 „Merkury”, 1831, nr 495.
- 42 R. Łubieński, *Generał Tomasz...*, t. II, str. 378.
- 43 J. Bystroń, *Warszawa*, Warszawa 1949, str. 206.
- 44 R. Łubieński, *Generał Tomasz...*, t. II, str. 225, 229.
- 45 „Kurier Warszawski”, 1840, nr 1.
- 46 „Gazeta Codzienna”, 1846, nr 85.
- 47 [A. Zalewski], *Towarzystwo warszawskie. Listy do przyjaciółki przez Baronową X.Y.Z.*, t. I, Kraków 1888, str. 249.
- 48 Tamże, str. 237.
- 49 Tamże, str. 250).
- 50 [I. Baranowski], *Pamiętniki Ignacego Baranowskiego (1840—1862)*, Wyd. A. Wrzosek, Poznań 1923, str. 57.
- 51 F. Hoesick, *Powieść mojego życia. Dom rodzicielski. Pamiętniki*, t. I, Wrocław 1959, str. 57.
- 52 Tamże, str. 23.
- 53 [I. Baranowski], *Pamiętniki...*, str. 326.
- 54 [A. Zalewski], *Towarzystwo warszawskie...*, t. I, str. 282.
- 55 Tamże, t. II, str. 47—48, 50—51.
- 56 K. Marks, *Histoire des doctrines économiques. Oeuvres complètes*, t. I, Paryż 1936, str. 50.
- 57 A. Ostrowski, *Pomysły o potrzebie reformy towarzyskiej*, Paryż 1834, motto.

- 58 J. Korzeniowski, *Krewni*, t. I, *Dziela wybrane*, t. IV, Kraków 1954, str. 220.
- 59 J. S. Bogucki, *Wizerunki społeczeństwa warszawskiego. Szkice obyczajowe*, Warszawa 1844, str. 53—54.
- 60 Tamże, str. 12—13.
- 61 „Kurier Warszawski”, 1853, nr 4.
- 62 W. Szymanowski, *Szkice warszawskie. Lichwiarze*, Warszawa 1855, str. 64—65.
- 63 W. Szymanowski, *Niedziela w mieście*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1860, nr 65.
- 64 J. S. Bogucki, *Wizerunki społeczeństwa warszawskiego...*, str. 196.
- 65 AGAD, KRSW, nr 5847, k. 235—236, 238.
- 66 J. S. Bogucki, *Wizerunki społeczeństwa warszawskiego...*, str. 154.
- 67 P. Wilkońska, *Moje wspomnienia o życiu towarzyskim w Warszawie*, Warszawa 1959, str. 197—199, 512 (przypis 27⁹).
- 68 [I. Baranowski], *Pamiętniki...*, str. 8—9.
- 69 „Kurier Warszawski”, 1853, nr 14.
- 70 „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, 1841, nr 48.
- 71 „Kurier Warszawski”, 1853, nr 126.
- 72 Cyt. za A. Krausharem, *Salony i zebrania literackie warszawskie na schyłku wieku XVIII-go i w ub. stuleciu*, Warszawa 1916, str. 36.
- 73 R. Kołodziejczyk, *Archiwum Paskiewicza w Leningradzie*, „Archeion”, 1961, nr XXXIV, str. 95—104.
- 74 A. Minkowska, *Organizacja spiskowa 1848 roku w Królestwie Polskim*, Warszawa 1923, str. 15.
- 75 Cyt. ze wstępu J. W. Gomulickiego, P. Wilkońska, *Moje wspomnienia...*, str. 11.
- 76 A. Giller, *Historia powstania narodu polskiego w 1861—1864 r...*, t. IV. Paryż 1871, str. 71—72.
- 77 P. Wilkońska, *Moje wspomnienia...*, str. 216.
- 78 Centralne Państwowe Archiwum Historyczne (CPAH) w Leningradzie, Zespół Paskiewicza, 1018, opis 4, nr 69.
- 79 Tamże, nr 70.
- 80 D. P. Sołncow, *Iz wspomnień 1864 goda* (rkps. w Bibliotece im. Lenina w Moskwie).
- 81 Tamże.
- 82 P. Wilkońska, *Moje wspomnienia...*, str. 94—95.
- 83 Tamże, str. 96.
- 84 [I. Baranowski], *Pamiętniki...*, str. 342.
- 85 A. Giller, *Podróż więźnia etapami do Syberii w r. 1851*, t. I, Lipsk 1866, str. 7—8.
- 86 „Wiadomości Handlowe”, 1830, nr 18.
- 87 T. Lipiński, *Zapiski...*, str. 93.
- 88 Cyt. za H. Radziszewskim, *Bank Polski*, Warszawa 1910, str. 37.
- 89 *Dziennik Praw Królestwa Polskiego*, t. XII, 1828, str. 119—153.

- 90 S. Kieniewicz, *Przemiany społeczne i gospodarcze w Królestwie Polskim (1815—1830). Wybór tekstów źródłowych*, Warszawa 1951, str. 21.
- 91 H. Radziszewski, *Bank Polski*, str. 30.
- 92 *Przymówienie się Rady Stano Lubowidzkiego na posiedzeniu Sądu z dnia 18 lipca 1848 r.* (rkps. udostępniony mi przez prof. dra R. Gerbera).
- 93 Tamże.
- 94 T. Lipiński, *Zapiski...*, str. 181—182.
- 95 Tamże, str. 189.
- 96 Tamże, str. 193.
- 97 Tamże, str. 195.
- 98 T. W. Łubieński, *Henryk Łubieński i jego bracia...*, str. 109, 111.
- 99 *Przymówienie się Rady Stano Lubowidzkiego na posiedzeniu Sądu z dnia 18 lipca 1848 r...*
- 100 Archiwum Państwowe m. Warszawy i Województwa Warszawskiego (AP Warszawa), Akta Stanu Cywilnego, Parafia św. Jana, 1835 r., nr 65, str. 435.
- 101 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria J. W. Bandtkiego, vol. 69, nr 6942.
- 102 CPAH w Leningradzie, raport J. Bossakowskiego, str. 213.
- 103 P. P[opiel], *Bracia Łubieńscy*, „Czas”, 1885, nr 268.
- 104 J. Jedlicki, *O efektywności państwowych inwestycji hutniczych w Królestwie Polskim 1831—1864, Ekonomia górnictwa i hutnictwa w Królestwie Polskim 1831—1864*, Warszawa 1958, str. 287.
- 105 Cyt. za H. Radziszewskim, *Bank Polski*, str. 224.
- 106 *Dziennik Józefa Lubowidzkiego* (rkps. udostępniony mi przez prof. dra R. Gerbera).
- 107 Tamże.
- 108 Tamże.
- 109 Tamże.
- 110 Tamże.
- 111 Tamże.
- 112 Tamże.
- 113 Tamże.
- 114 Tamże.
- 115 *Przymówienie się Rady Stano Lubowidzkiego na posiedzeniu Sądu z dnia 18 lipca 1848 r...*
- 116 *Dziennik Józefa Lubowidzkiego...*
- 117 Tamże.
- 118 Cyt. za Radziszewskim, *Bank Polski*, str. 238—239.
- 119 *Dziennik Józefa Lubowidzkiego...*
- 120 Cyt. za H. Radziszewskim, *Bank Polski*, str. 239.
- 121 P. Wilkońska, *Moje wspomnienia...*, str. 412.
- 122 Tamże, str. 421—422.
- 123 Tamże, str. 429—430, 434.
- 124 T. W. Łubieński, *Henryk Łubieński i jego bracia...*, str. 278.
- 125 R. Łubieński, *Generał Tomasz...*, t. I, str. 56.
- 126 Tamże, str. 33.

- 127 Tamże, str. 54.
- 128 Tamże, str. 51—52.
- 129 Tamże, str. 92.
- 130 Tamże, str. 95—96.
- 131 Tamże, str. 190—191.
- 132 AGAD, Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu (KRPiS), nr 1274.
- 133 *Kartki z dziejów Banku Polskiego, podług pamiętników byłego urzędnika*, Dodatek miesięczny do „Przeglądu Tygodniowego”, 1885, t. II, str. 176.
- 134 T. W. Łubieński, *Henryk Łubieński i jego bracia...*, str. 125.
- 135 „Dziennik Narodowy”, 1831, nr 244.
- 136 „Gazeta Codzienna”, 1835, nr 516.
- 137 „Roczniki Gospodarstwa Krajowego”, 1844, t. V, str. 128.
- 183 AGAD, KRPiS, nr 2359.
- 139 Tamże.
- 140 Tamże.
- 141 R. Łubieński, *General Tomasz...*, t. II, str. 219.
- 142 AGAD, KRPiS, nr 2785.
- 143 G. Plewako, *Henryk Łubieński i Benedykt Niepokojczycki, dwaj kierownicy Banku Polskiego. Przyczynek do dziejów tegoż Banku (1831—1865)*, „Niwa”, 1887, t. XXXI, str. 246; także: H. Radziszewski, *Bank Polski*, str. 223.
- 144 H. Radziszewski, *Bank Polski*, str. 223—224.
- 145 *Kartki z dziejów Banku Polskiego...*, t. II, str. 324—325.
- 146 Tamże, str. 177, 186.
- 147 AGAD, KRPiS, nr 2571.
- 148 Tamże, k. 4—5, 13—14.
- 149 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria J. W. Bandtkiego, vol. 76, nr 7627.
- 150 AGAD, KRPiS, nr 2571, k. 8—9.
- 151 Tamże, nr 2814; także: „Roczniki Gospodarstwa Krajowego”, 1844, t. V, str. 196—198.
- 152 AGAD, KRPiS, nr 2344.
- 153 Tamże.
- 154 *Kartki z dziejów Banku Polskiego...*, t. II, str. 341—342.
- 155 CPAH w Leningradzie, raport J. Bossakowskiego, str. 484.
- 156 G. Plewako, *Henryk Łubieński i Benedykt Niepokojczycki...*, str. 251.
- 157 T. W. Łubieński, *Henryk Łubieński i jego bracia...*, str. 133.
- 158 R. Łubieński, *General Tomasz...*, t. II, str. 536.
- 159 J. Wawel-Louis, *Kupcy krakowscy w epoce przejściowej (1773—1846)*, Kraków 1883, str. 40.
- 160 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria J. W. Bandtkiego, vol. 58, nr 5796.
- 161 Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Krakowie (WAP Kraków), Akta Senackie Wolnego Miasta Krakowa (WMK), V—55, fasc. 14.
- 162 H. Radziszewski, J. Kindelski, *Piotr Steinkeller — dwie monografie*, Warszawa 1905, str. 19.
- 163 Cyt. za M. Ajzenem, *Polityka gospodarcza Lubeckiego (1821—1830)*, Warszawa 1932, str. 39.

- 164 H. Radziszewski, J. Kindelski, *Piotr Steinkeller...*, str. 22—23, 293; także: AGAD, KRPIs, nr 2785, k. 30; także: M. Ajzen, *Polityka gospodarcza Lubeckiego...*, str. 42—46.
- 165 L. Jenike, *Piotr Steinkeller*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1859, str. 51—52.
- 166 T. Lipiński, *Zapiski...*, str. 104—105.
- 167 „Gazeta Codzienna”, 1840, nr 2811, 2851; także: „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, 1840, nr 372.
- 168 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria J. W. Bandtkiego, vol. 53, nr 5283.
- 169 M. Meloch, *Sprawa włościańska w powstaniu listopadowym*, Warszawa 1953, str. 41—42.
- 170 Cyt. za H. Radziszewskim, J. Kindelskim, *Piotr Steinkeller...*, str. 157.
- 171 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria J. W. Bandtkiego, vol. 68, nr 6873.
- 172 Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Kielcach (WAP Kielce), KRPIs, nr 1568.
- 173 WAP Kielce, KRPIs, nr 1568; także: Komisja Województwa Krakowskiego, Wydział Skarbowy, nr 1106.
- 174 Cyt. za H. Radziszewskim, J. Kindelskim, *Piotr Steinkeller...*, str. 162.
- 175 L. Meyet, *Losy pewnego projektu Steinkellera*, „*Ekonomista*”, 1903, t. III, str. 137, 139—152, 156—157.
- 176 „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, 1837, nr 54.
- 177 Tamże.
- 178 *Zarki, Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. XIV, Warszawa 1895, str. 736—738.
- 179 AGAD, KRPIs, nr 2360, pismo Banku Polskiego do KRPIs z 28 V (9 VI) 1845 r.
- 180 R. Lubiński, *General Tomasz...*, t. II, str. 400.
- 181 W. Surowiecki, *Dzieła*, Kraków 1861, str. 240.
- 182 H. Radziszewski, J. Kindelski, *Piotr Steinkeller...*, str. 235 (przypis).
- 183 Cyt. za H. Radziszewskim, J. Kindelskim, *Piotr Steinkeller...*, str. 233.
- 184 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria Al. Engelkego, vol. 58, nr 866.
- 185 [Piotr Steinkeller], *Uwiedomienie Ekspedycji Głównej Karety Kurierskiej Piotra Steinkellera*, Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego, sygn. 16779—I.
- 186 AGAD, KRPIs, nr 2360.
- 187 Tamże, nr 2358.
- 188 Tamże.
- 189 Tamże, nr 2359, nr pisma 3917.
- 190 Tamże, nr 2358.
- 191 H. Radziszewski, J. Kindelski, *Piotr Steinkeller...*, str. 187.
- 192 AGAD, KRPIs, nr 2360.
- 193 *Kopalnie cynku krajowego*, „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, 1836, nr 14; także AGAD, KRPIs, nr 2359.
- 194 AGAD, KRPIs, nr 2360.
- 195 H. Radziszewski, *Bank Polski*, str. 254.
- 196 H. Radziszewski, *Bank Polski*, str. 254; także: H. Radziszewski, J. Kindelski, *Piotr Steinkeller...*, str. 83—85.

- 197 AGAD, KRPIŚ, nr 2360.
- 198 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria St. Jasińskiego, vol. 4.
- 199 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria Al. Bryndzy, vol. 13, nr 41/660.
- 200 Zestawienie opracowane na podstawie: P. P. Pawlicki, *Droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska w 50-letnim okresie swego istnienia, od r. 1845 do 1895*, Warszawa 1897, str. 15—17.
- 201 Cyt. za H. Hilchenem, *Historia Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej 1835—1848—1898*, Warszawa 1912, str. 25.
- 202 Tamże, str. 26.
- 203 Tamże, str. 26—27.
- 204 „Kurier Warszawski”, 1839, nr 31.
- 205 R. Łubieński, *Generał Tomasz...*, t. II, str. 283.
- 206 Cyt. za J. Blochem, *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosji*, t. V, Warszawa 1880, str. 2—3.
- 207 M. M. Szczerbatow, *Rządy księcia Paskiewicza w Królestwie Polskim*, Warszawa 1900, str. 160—162.
- 208 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria Al. Engelkego, vol. 58, nr 962; także: R. Kołodziejczyk, *Akt założenia Towarzystwa Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej*, „Rocznik Warszawski”, 1962, t. III, (w druku).
- 209 J. Bloch, *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosji*, t. I, Warszawa 1880, str. III—IV; także: „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, 1839, nr 264, 265, 266, 267.
- 210 R. Łubieński, *Generał Tomasz...*, t. II, str. 264.
- 211 Tamże, str. 272.
- 212 Tamże, str. 213—214.
- 213 Cyt. za H. Hilchenem, *Historia Drogi Żelaznej...*, str. 30—31.
- 214 R. Łubieński, *Generał Tomasz...*, t. II, str. 260—261.
- 215 Tamże, str. 276—277.
- 216 H. Hilchen, *Historia Drogi Żelaznej...*, str. 42.
- 217 Tamże, str. 57, 59.
- 218 R. Łubieński, *Generał Tomasz...*, t. II, str. 311—313.
- 219 J. Wysocki, *Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1859, nr 14; także: H. Hilchen, *Historia Drogi Żelaznej...*, str. 51—53.
- 220 R. Łubieński, *Generał Tomasz...*, t. II, str. 283.
- 221 „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, 1840, nr 406.
- 222 AP Warszawa, Notariat, Kancelaria J. Jeziorańskiego, vol. 11, nr 401.
- 223 H. Hilchen, *Historia Drogi Żelaznej...*, str. 70.
- 224 „Biblioteka Warszawska”, 1841, t. II.
- 225 „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, 1841, nr 76.
- 226 Tamże, nr 82.
- 227 [Jean Baptist Biot], *Pismo podręczne dla budującego drogi żelazne albo wykład zasad ogólnych sztuki budowania drogi żelaznej przez Biota*, Warszawa 1842, str. 5—6.
- 228 AGAD, KRŚW, nr 7199, k. 16—18.
- 229 „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, 1842, nr 67.

230 Cyt. za P. P. Pawlickim, *Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska...*, str. 33.

231 R. Łubieński, *General Tomasz...*, t. II, str. 422.

232 Tamże, str. 423.

233 „Kalendarz Obserwatorium Astronomicznego na r. 1860”, str. 110—117; także „Kurier Warszawski”, 1853, nr 34, 35; także: P. P. Pawlicki, *Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska...*, str. 50—53; także: H. Hilchen, *Historia Drogi Żelaznej...*, str. 88—89.

234 „Kurier Warszawski”, 1853, nr 34, 35.

235 *Rozkład jazdy na Drodze Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej od dnia 15 kwietnia 1849 roku*, AGAD, KRSW, vol. 7199, k. 119—120; także: P. P. Pawlicki, *Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska...*, str. 107; także: H. Hilchen, *Historia Drogi Żelaznej...*, str. 100.

236 P. P. Pawlicki, *Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska...*, str. 108; także: H. Hilchen, *Historia Drogi Żelaznej...*, str. 100.

237 AGAD, KRSW, nr 7198, k. 176—179, 213—214; także: *Wybór tekstów źródłowych do historii kształtowania się klasy robotniczej na ziemiach polskich w XIX wieku* pod red. N. Gąsiorowskiej, Wrocław 1958, str. 135—138.

